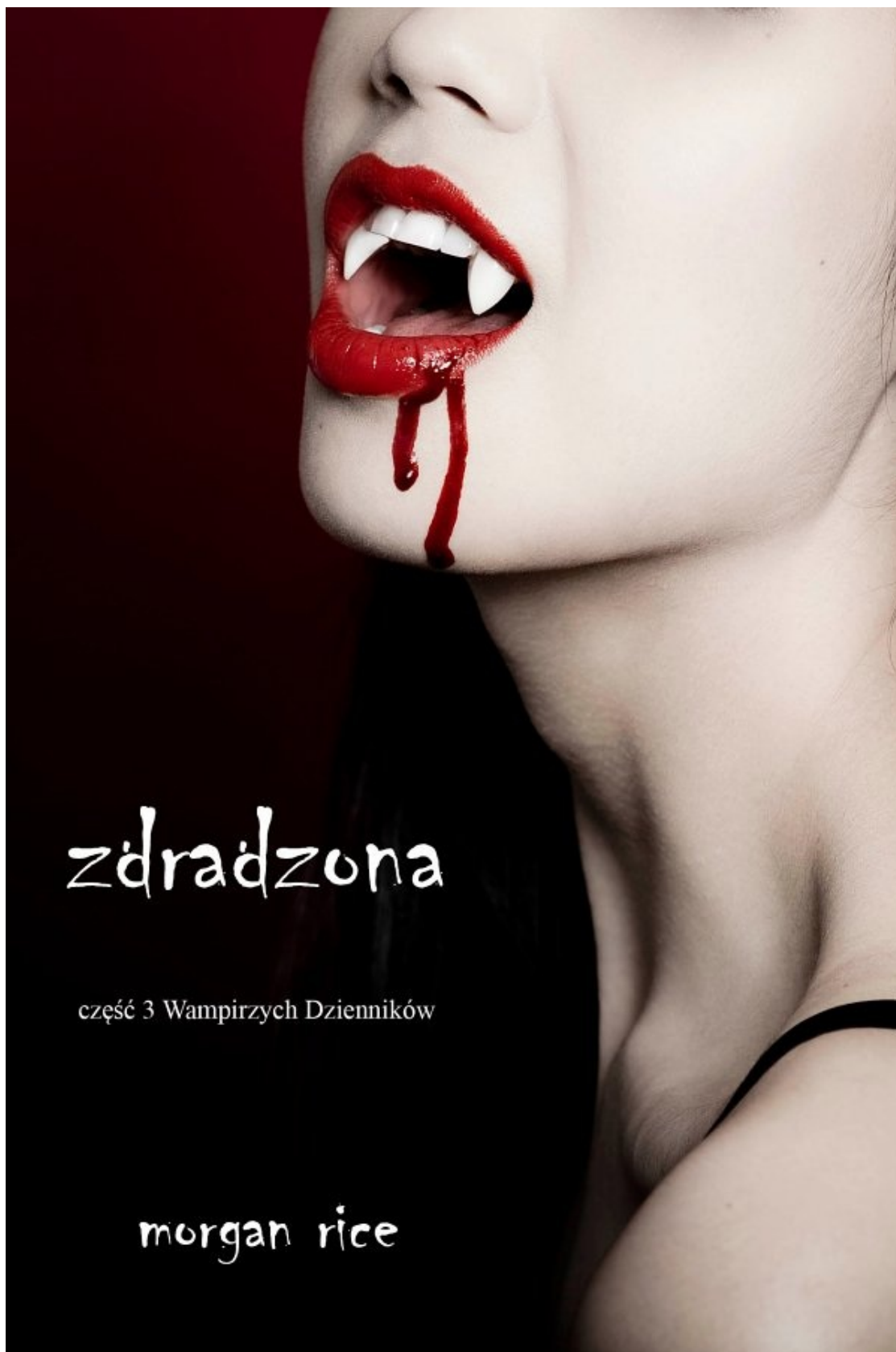


zdradzona

część 3 Wampirzych Dzienników

morgan rice



Zdradzona

(część 3 Wampirzych Dzienników)

Morgan Rice

przekład: Michał Głuszak

Wybrane komentarze Wampirzych Dzienników

– ZDRADZONA to wspaniała kontynuacja cyklu Wampirze Dzienniki.

Morgan Rice przedstawia kolejny epizod, który bije na głowę poprzednie dwie części. Opowieść jest wartka, pełna akcji, miłości oraz intryg. Jeśli nie czytałeś dwóch poprzednich książek z tego cyklu, zrób to teraz, a dopiero potem zabierz się za ZDRADZONĄ. Ja czytałam je w kolejności. Każda z nich jednak stanowi odrębną całość i nawet, jeśli nie czytałeś części pierwszej i drugiej, to przeczytaj ZDRADZONĄ. Jestem pewna, że natychmiast zabierzesz się za poprzednie –

obydwie warto przeczytać... nawet dwukrotnie! –

- VampireBookSite

– Książka PRZEMIENIONA okazuje się godnym rywalem ZMIERZCHU

oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Jest jedną z tych książek, od których nie sposób się oderwać! Jeśli pociągają cię książki o przygodach, miłości i wampirach, to ta książka nadaje się idealnie dla ciebie! –

- Vampirebooksite.com

– Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta; to dobry początek nowego cyklu powieści o wampirach, który z pewnością okaże się przebojem wśród czytelników poszukujących lekkiej, aczkolwiek wciągającej lektury. –

- Black Lagoon Reviews

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE

SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ

CZARNOKSIEŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

[PRZEMIENIONA](#) (pierwsza część serii Wampirze Dzienniki)),
[ARENA ONE](#)

(Księga 1 cyklu Survival Trilogy), [WYPRAWA BOHATERÓW](#)
(Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz [RISE OF THE DRAGONS](#) (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie na Google Play!

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Książki autorstwa Morgan Rice KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZĘŚĆ 8)

NIEBO ZAKLEĆ (CZĘŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZĘŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZĘŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZĘŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZĘŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZĘŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)

ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVESRUNNERS (BOOK 1)

ARENA TWO (BOOK 2)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARĘCZONA (CZEŚĆ 6)

ZASŁUBIONA (CZEŚĆ 7)

ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Kliknij tutaj by pobrać książki Morgan Rice z Play!](#)



Posłuchaj cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!

Copyright © 2012 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby.

Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket art ©iStock.com /© Jen Grantham

Spis Treści

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

FAKT:

Sześćdziesiąt mil na północ od Manhattanu, otoczona wodami rzeki Hudson, leży niewielka, mało znana wysepka, na której spoczywają ruiny szkockiego zamczyska. Wyspę zowią Pollepel od imienia młodziutkiej dziewczyny Polly, która wieki temu utknęła na krze skutej lodem rzeki i wylądowała właśnie na brzegu tej wysepki. Według legendy została w romantyczny sposób ocalona przez swego ukochanego, który właśnie tam ją poślubił.

– Lat siedemdziesiąt dobrze zapamiętam, W ich ciągu straszne
widziałem godziny,

I sprawy dziwne, ale przy tej nocy

Fraszka są wszystkie minione wspomnienia. –

— William Shakespeare, *Makbet*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyspa Pollepel, Rzeka Hudson, Nowy Jork

(Współcześnie)

– Caitlin? – odezwał się cichy głos. – Caitlin?

Caitlin Paine usłyszała go. Spróbowała otworzyć oczy. Powieki były jednak zbyt ciężkie; bez względu na jej wysiłki, nie mogła ich

podnieść. W końcu jej się to udało, ale tylko na ułamek sekundy. Chciała sprawdzić, skąd dochodził głos.

To Caleb.

Kłęczał u jej boku z wyrazem troski na twarzy, trzymając jej dłoń w swoich.

– Caitlin? – zapytał ponownie.

Spróbowała dojść nieco do siebie, podźwignąć gęstą pajęczynę otulającą jej głowę. Gdzie była? Zdołała dostrzec opustoszały pokój, jego kamienne ściany.

Była noc, a przez wielkie, otwarte okno wlewała się do środka poświata księżycowej pełni. Zauważyła kamienną posadzkę, kamienne ściany i kamienny, zwieńczony łukiem sufit. Kamień wyścielający wnętrze był gładki i wyglądał

staro. Czyżby trafiła do średniowiecznego klasztoru?

Poza blaskiem księżycy pokój rozjaśniała jedynie niewielka pochodnia zatknięta na odległej ścianie, rzucająca skąpe światło na wnętrze. Było zbyt ciemno, aby zobaczyć coś więcej.

Spróbowała skupić wzrok na twarzy Caleba. Był tak blisko, o niecałą stopę od niej i wpatrywał się w jej oczy z nadzieją. Jego źrenice zdawały się jarzyć.

Uścisnął jej dłoń jeszcze mocniej. Miał ciepłe ręce. A jej były takie zimne. Nie czuła ich wcale.

Mimo szczyrych chęci nie zdołała utrzymać swych oczu otwartych. Jej powieki były zbyt ciężkie. Czuła się... *chora*. Nie, to nie to. Czuła się...

ociężała. Jakby dryfowała, zawieszona, utknąwszy między światami. Nie czuła swego ciała. Nie czuła już, że jest częścią tego świata, ale też nie była martwa.

Jakby próbowała obudzić się z bardzo głębokiego snu.

Próbowała usilnie przypomnieć sobie cokolwiek. Boston... King's Chapel...

Miecz. A później... jak została pchnięta. Jak leżała i umierała. I Caleba tuż obok. I... jego kły. Jak zbliżały się do niej.

Czuła tępy, pulsujący ból z boku szyi. Pewnie to tam została ukąszona. Sama o to prosiła – wręcz *blagała*.

Teraz jednak, czując się tak jak się czuła, nie była już tego taka pewna. Coś było nie tak. Czuła, jak jej żyły rozpiera lodowato zimna krew. Jakby umarła,

lecz nie zrobiła następnego kroku. Jakby utknęła gdzieś pomiędzy.

Nade wszystko jednak czuła ból. Tępy, pulsujący ból w prawym boku. I w żołądku. Promieniował z miejsca, w które weszło ostrze miecza.

– To normalne, co teraz czujesz – powiedział cicho Caleb. – Nie bój się.

Wszyscy przez to przechodzimy podczas przemiany. Poczujesz się lepiej.

Obiecuję. Ból minie.

Chciała uśmiechnąć się, sięgnąć dłonią ku jego twarzy i pogłaskać ją.

Dźwięk jego głosu sprawiał, że świat stawał się idealny. Wszystko nabierało sensu. Będą już razem po wieki i z tego czerpała nadzieję.

Była jednak zbyt zmęczona. Jej ciało nie reagowało na polecenia płynące z umysłu. Nie zdołała zmusić ust do uśmiechu. Nie udało jej się zebrać sił i unieść dłoni. Czuła, że zapada z powrotem w sen...

Nagle jakaś myśl wytrąciła ją z odrętwienia. Miecz... leżał nieopodal, a potem... zniknął. Ktoś go ukradł.

Wówczas przypomniała sobie. Jej brat Sam. Pozbawiony przytomności. A później zabrał go ten wampir. Co się z nim stało? Czy był bezpieczny?

I Caleb. Dlaczego był akurat tutaj? Przecież powinien podążać za mieczem.

Powinien ich powstrzymać. Może pojawił się tu przez nią? Może poświęcił to wszystko, by stanąć u jej boku?

W jej umyśle każde pytanie rodziło kolejne i kolejne.

Zebrała wszystkie siły i otworzyła usta. Ledwie co.

– Miecz – zdołała wydusić. Jej gardło wyschło tak bardzo, że każde słowo sprawiało jej teraz ból. – Musisz iść... – dodała. – Musisz ocalić...

– Cii – odparł Caleb. – Odpoczywaj.

Tyle chciała mu powiedzieć. Jak bardzo go kocha. Jaka jest mu wdzięczna.

Że ma nadzieję, że już nigdy jej nie opuści.

Lecz musiała z tym poczekać. Poczowała kolejny przypływ osłabienia. Nie mogła otworzyć ust. Wbrew sobie czuła, jak zapada coraz głębiej w mrok, z powrotem w swój nieśmiertelny sen.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kyle przelatywał właśnie nad północnym Manhattanem. Nigdy jeszcze nie czuł tak wielkiej euforii. Tuż za nim leciał Sergei, jego posłuszny żołnierz. Dalej zaś setki innych wampirów, które przyłączyły się do nich po drodze. Za pasem Kyle'a tkwił legendarny miecz. Nic więcej nie trzeba było dodawać. Wieści o tym dotarły już do mrocznych wampirów zamieszkujących całe Wschodnie Wybrzeże. Wiele klanów, widząc go teraz, miało chęć przyłączyć się do niego.

Wiedzieli, że zbliża się wojna. A reputacja Kyle'a znacznie go wyprzedzała.

Wyrachowane wampiry wiedziały dobrze, że gdziekolwiek się udawał, nic dobrego to nie wróżyło. I chciały być tego częścią.

Kyle poczuł, jak przeszył go dreszcz na myśl o rosnących szeregach jego armii. Kolejny raz, lecąc nad miastem, utwierdził się w przekonaniu o swej racji.

Sergei spisał się świetnie, kiedy chwycił miecz i ugodził nim tę dziewczynę, Caitlin. W zasadzie, nawet go tym zadziwił. Nigdy nie myślał, że Sergeia byłoby na to stać. Nie doceniał go. W nagrodę postanowił go oszczędzić. Uświadomił

sobie, że będzie z niego niezły pomagier. Sergei wywarł na nim szczególnie pozytywne wrażenie, kiedy uniżenie wręczył mu miecz zaraz po opuszczeniu King's Chapel. O tak, Sergei wiedział, gdzie jego miejsce. Jeśli nadal miał tak postępować, Kyle gotów był go nawet awansować. Mógłby nawet obdarować go własnym oddziałem. Kyle nie cierpiał większości ludzkich przywar. Jediną rzeczą, którą sobie cenił była lojalność.

Zwłaszcza po tym, co jego własni bracia, klan Blacktide, mu zgotowali. Po tysiącach lat oddania, Rexius, ich najwyższy przywódca, pozbył się go ot tak, jakby Kyle był nikim, jakby tysiące lat jego wiernej posługi nic nie znaczyły. I to wszystko z powodu jednego, niewielkiego błędu. Nieprawdopodobne.

Plan Kyle'a powiódł się całkowicie. Teraz to on dzierżył miecz i nic, absolutnie nic, nie było w stanie stanąć mu na drodze. Wojna z rasą

ludzką i innymi wampirzymi gatunkami miała już wkrótce się rozpocząć i to za jego przyczyną.

Szybował dalej nad centrum, nad Harlemem, aż w pewnej chwili zniżył lot.

Używając wampirzego wzroku, powiększył znajdujące się poniżej szczegóły widoku. I uśmiechnął się szeroko.

Rozsiana przez niego dzuma zbierała obfite żniwo. Zapanował całkowity chaos. Żałosne, ludzkie miniatury szamotały się na wszystkie strony, pędząc w swych samochodach po jednokierunkowych ulicach pod prąd, kłócąc się ze sobą nieustannie i plądrując sklepy. Dostrzegł też, że w większości ich ciała

pokrywały okropne rany, oznaki zarazy. Widział trupy ułożone w wysokie stosy na każdej ulicy. Istny Armagedon. Nic innego nie było w stanie go bardziej uszczęśliwić.

Jeszcze tylko kilka dni i większość ludzi w mieście zginie. Wówczas Kyle i jego poplecznicy z łatwością rozprawią się z pozostałymi przy życiu. Będą ucztować, jak nigdy przedtem. Pozostałości ludzkiej rasy staną się zaś ich sługami.

Jedyną niewielką przeszkodą, która stała jeszcze na jego drodze, był Biały Klan. Żałosne wampiry, żywiące się wyłącznie zwierzętami, myślały, że są lepsze od wszystkich. Tak, zapewne spróbują. Lecz w starciu z mieczem ich szanse będą nikłe. Kiedy skończy z rasą ludzką, zetrze i ich z powierzchni ziemi.

Po pierwsze, i najważniejsze, odzyska dawne stanowisko w swoim klanie. I to w brutalny sposób. Rexius popełnił poważny błąd, karząc go w ten sposób.

Sięgnął dłonią do twarzy i dotknął przecinających ją twardniejących blizn.

Potworne zrządenie losu. Jego kara za to, że pozwolił, by Caitlin udało się wymknąć. Rexius zapłaci za każdą bliznę z osobna. Był potężny, jednak w tej chwili, z mieczem u boku, moce Kyle'a znacznie go przewyższały. Nie spocznie, póki nie uśmierci Rexiusa, własną ręką zada mu śmierć. Póki nie obwołają go nowym najwyższym przywódcą.

Uśmiechnął się na myśl o tym. Najwyższy przywódca. Po tych wszystkich tysiącach lat. Dokładnie na to zasługiwał. Takie było jego przeznaczenie.

Kyle przeleciał wraz z całym swoim oddziałem najpierw nad Central Park, potem nad Midtown, Union Square i Greenwich Village... aż w końcu dotarli do parku przy Miejskim Ratuszu.

Wylądował z gracją na obu nogach. Zaraz za nim wylądowały setki wampirów. Jego armia urosła liczebnie ponad wszelkie wyobrażenie. Cóż za powrót, pomyślał.

Miał skierować swe kroki ku bramom Miejskiego Ratusza, rozwalić je i rozpocząć wojnę, kiedy kątem oka dostrzegł coś, co zwróciło jego uwagę.

Swym wampirzym wzrokiem przybliżył obraz kilku przecnic, przyjrzał się dokładnie chaosowi panującemu przed Mostem Brooklyńskim. Setki aut utknęło w korku, cisnąc się jedno przy drugim, zalegając przed wjazdem na most.

Ludzie chcieli wydostać się stąd jak najszybciej.

Most jednak był zamknięty kordonem. Drogę blokowały czołgi i wojskowe ciężarówki. Dziesiątki żołnierzy mierzyło do tłumu z karabinów maszynowych.

Najwyraźniej nie mieli zamiaru wypuścić kogokolwiek z wyspy, na której leżał

Manhattan. Wojskowi nie chcieli dopuścić do tego, by zaraza rozprzestrzeniła się jeszcze bardziej. Prawdopodobnie zamknęli wszystkie mosty i tunele.

Z jednej strony, dokładnie tego chciał Kyle: tylko ułatwiali mu zadanie.

Wszyscy ludzie uwięzieni na Manhattanie. Mógł teraz z łatwością ich pozabijać.

Z drugiej strony jednak, kiedy zobaczył to w końcu na własne oczy, poczuł, jak wszystko się w nim przewraca. Nienawidził oznak zwierzchnictwa – w jakiegokolwiek formie. Włączając w to władzę wojskową. Niemal współczuł

masom ludzi domagających się głośno, by pozwolono im opuścić wyspę. Na ich drodze stało uosobienie zwierzchniczej władzy. Krew zagotowała się w nim na samą myśl o tym.

W tym samym momencie coś przyszło mu do głowy. Dlaczego nie miałyby pozwolić kilku z nich opuścić wyspę? W istocie przysłużyłoby się to jeszcze bardziej jego planom. Ponieśliiby zarazę dalej. Na początek do Brooklynu. O tak.

To naprawdę bardzo by mu odpowiadało.

Nagle uniósł się w powietrze i poszybował w kierunku Brooklyńskiego Mostu. Setki wampirów poszły natychmiast w jego ślady.

Dobrze, pomyślał. Byli lojalni i posłuszni. I nie zadawali pytań.

Odpowiadała mu taka armia. Naprawdę.

Wylądował tuż przy wjeździe na Brooklyński Most, na masce jednego z samochodów, a setki podążających za nim wampirów stanęły na innych, stukając w charakterystyczny sposób butami o ich powierzchnię.

Nagle rozległ się dźwięk klaksonów. Wyglądało na to, że ludziom nie za bardzo spodobalo się, że ktoś chodzi po ich autach.

Kyle poczuł przyływ gniewu, kiedy pomyślał, jak niewdzięczni okazują się ci żałośni ludzie, trąbiąc w ten sposób, kiedy on przybył do nich z pomocą.

Zatrzymał się, stanąwszy na dachu SUVa marki Saab, którego kierowca natychmiast wcisnął klakson. Miał zamiar zeskoczyć z niego i rozprawić się z wojskowymi. Zamiast tego jednak odwrócił się powoli i zajrzał do środka pojazdu przez szybę czołową. Zobaczył rodzinę, która utkwiała w nim wzrok.

Typowa, szycowna rodzina. Na przedzie siedzieli mąż i żona, około czterdziestki, a za nimi ich dwoje dzieci. Odkręciwszy boczną szybę, mąż wychylił się i pomachał pięścią w stronę Kyle'a.

– Spieprzaj z maski mojego wozu! – wrzasnął mężczyzna.

Kyle uklęknął na jednym kolanie, wziął zamach i przebił szybę pięścią.

Chwycił człowieka za kołnierz jego golfu i jednym ruchem przyciągnął do siebie, przez szybę. Kawałki szkła wystrzeliły we wszystkich kierunkach, a wrzaski żony i dzieci kierowcy przeszyły otaczający ich nocny mrok.

Kyle stał na masce pojazdu i uśmiechał się. Trzymał mężczyznę wysoko nad głową.

Człowiek skamlał i płakał. Jego głowę pokrywała krew.

Kyle wziął zamach i z szerokim uśmiechem na twarzy cisnął nim w powietrze, niczym papierowym samolocikiem. Mężczyzna poszybował setki

stóp i wylądował gdzieś tam, na masce innego samochodu. Martwy.

Przynajmniej Kyle miał taką nadzieję.

A potem zrobił to, po co tu przybył. Zeskoczył z samochodu i podbiegł do olbrzymich czołgów blokujących drogę na most. Wyczuwał za sobą setki wampirów postępujących za jego przykładem.

Kiedy zbliżył się jeszcze trochę, zauważył, jak wszyscy żołnierze nagle spięli się, a niektórzy nawet unieśli karabiny i wycelowali w jego kierunku.

Szeroki na dobre sto stóp pas ziemi oddzielał ludzi i ich auta od czołgów i nikt nie był skory go przekroczyć.

Kyle jednak przekroczył linię z nieskrywaną radością, wyszedł na otwartą przestrzeń, wprost naprzeciw czołgu.

– Stój! – wrzasnął jakiś żołnierz przez megafon. – Ani kroku dalej!

Będziemy strzelać bez ostrzeżenia!

Kyle uśmiechnął się tylko szerzej i pomaszerował dalej, wprost w kierunku czołgu.

– Powiedziałem STÓJ! – ponownie wrzasnął żołnierz. – To OSTATNIE

ostrzeżenie! Zarządzono godzinę policyjną. Mamy rozkaz strzelać do każdego po zmroku!

Kyle wyszczerzył się jeszcze bardziej.

– Zmrok należy do mnie – odparł.

Szedł dalej w ich kierunku. Nagle otworzyli ogień. Dziesiątki żołnierzy zaczęło strzelać w Kyle'a i jego zastępy.

Czuł ból sprawiany przez kule, które odbijały się od niego. Jedna za drugą rykoszetem odbijały się od jego piersi, ramion, głowy i nóg. Czuł, jakby to krople deszczu padały na jego ciało, tyle, że z większą siłą. Uśmiechnął się na myśl o żalosznej, ludzkiej broni.

Widział przerażenie na twarzach żołnierzy, kiedy zaczęli uświadamiać sobie, iż szedł dalej, niewzruszony, w ich stronę. Nie potrafili najwyraźniej zrozumieć, jak mógł nadal iść ot tak. Ani też, jak udawało się to innym jego kompanom.

Nie mieli już jednak czasu na jakąkolwiek reakcję. Kyle podszedł do najbliższej stojącego czołgu, schylił się i obie dłonie wcisnął pod gaśnice.

Następnie, przy pomocy swych nadludzkich sił, podniósł czołg wysoko nad głowę i przeszedł z nim kilka stóp do barierki mostu. Kilku siedzących w nim żołnierzy straciło równowagę i pospadało na ziemię. Inni przywarli do podłogi, przytrzymując się metalowych części, próbując za wszelką cenę pozostać na miejscu.

Duży błąd.

Kyle wziął krótki rozbieg, zamachnął się czołgiem w tył i cisnął przed siebie

ze wszystkich sił.

Czołg pomknął w powietrzu, ścinając krawędź barierki stojącej na jego drodze.

Przeleciał nad Mostem Brooklyńskim, po czym runął w dół, setki stóp ku rzece. Obracał się w powietrzu, wyrzucając wrzeszczących żołnierzy. W końcu uderzył w powierzchnię rzeki z ogromnym pluskiem.

Nagle cały ruch uliczny ożył. Bez chwili wahania, choć pełni niepokoju, nowojorczyacy wcisnęli gaz i pomknęli na most przez powstałą lukę. W

przeciągu kilku sekund setki aut opuszczały Manhattan w pośpiechu. Kyle przyglądał się twarzom uciekinierów. Widział, że niektórzy z nich już nosili oznaki zarazy.

Uśmiechnął się szeroko. Czekala go wspaniała noc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Samantha obserwowała, jak olbrzymie, podwójne drzwi otwierają się przed nią, skrzypiąc przeciągle. Miała złe przeczucie. Weszła do komnaty przywódcy w towarzystwie kilku wampirzych strażników. Nie skrepowali jej – nie śmieliby

– jednak szli tuż obok. To i tak wystarczyło. Nadal była jedną z nich, lecz nałożono na nią areszt domowy. Przynajmniej do czasu spotkania z Rexiusem.

Wezwał ją do siebie jako jednego ze swych żołnierzy, ale również jako więźnia.

Drzwi zamknęły się za nią z hukiem. Spostrzegła od razu, że komnata była pełna. Dawno już nie widziała tak licznej frekwencji. Setki znajomych wampirów zgromadziły się tu, chcąc najwyraźniej wszystko zobaczyć, usłyszeć wieści, dowiedzieć się, co stało się z mieczem. Dlaczego go straciła.

Najbardziej jednak chodziło im o to, by zobaczyć, jaka czekała ją kara.

Wiedzieli, że Rexius nie wybacza, że ich dowódca nie daruje najmniejszego choćby błędu. Że wykroczenie o tak istotnym znaczeniu spotkać się mogło tylko z wymyślną karą.

Samantha wiedziała o tym dobrze. Nie próbowała uniknąć swego losu.

Zgodziła się wziąć udział w misji i zawiodła. To prawda, odnalazła miecz. Ale potem go straciła. Pozwoliła, by Kyle i Sergei zabrali go jej.

A wszystko wyglądało już tak idealnie. Przypomniała sobie miecz tkwiący w posadzce nawy King's Chapel, zaledwie kilka stóp od niej. Tylko kilka sekund dzieliło ją od wejścia w jego posiadanie, wypełnienia misji, zostania bohaterką klanu.

Wówczas akurat musieli pojawić się Kyle i ten jego ohydny pomagier Sergei. Wkroczyli bezpardonowo, ogłuszyli i zwinęli jej miecz sprzed nosa. To nie było w porządku. Jak w ogóle miałyby się tego spodziewać?

I teraz co? Kim była? Złoczyńcą. Tą, która pozwoliła, by miecz przepadł. Tą, która nie podołała swej misji. O tak, czekało ją za to piekło. Była tego pewna.

Zależało jej teraz tylko na jednym. Aby Sam był bezpieczny. Został znokautowany, pozbawiony przytomności i takiego stamtąd wyniosła.

Przytaszczyła go sama całą powrotną drogę. Chciała, by był blisko niej. Nie była gotowa na rozstanie, a nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby go sprowadzić.

Wśliznęła się niepostrzeżenie i ukryła Sama bezpiecznie, głęboko w jednej z pustych komnat należących do klanu. Nikt jej nie widział, przynajmniej tak się jej zdawało. Sam był tam bezpieczny, z dala od wścibskich spojrzeń wszystkich wampirów. Była gotowa stanąć przed Rexiusem, przyjąć karę, a później zaczekać do świtu, aż wszyscy położą się spać i uciec wraz z Samem.

Oczywiście, nie mogła tak po prostu stąd czmychnąć. Musiała najpierw stawić się przed Rexiusem i ponieść karę. Inaczej, jej klan wytropiłby ją i zmusił

do ucieczki. I tak do końca jej dni. Po odbyciu kary zaś nikt już nie będzie ich ścigał. Wówczas będzie mogła zabrać Sama i uciec

daleko stąd, znaleźć swoje miejsce i ułożyć życie tylko we dwoje.

Nie spodziewała się, że ten chłopiec, Sam, zawładnie jej uczuciami w taki sposób. Kiedy myślała teraz o swoich priorytetach, to on był na pierwszym miejscu. Chciała być z nim. *Musiła* z nim być. W istocie, bez względu na to, jak szalone to się wydawało nawet dla niej samej, nie potrafiła wyobrazić już sobie życia bez niego. Była wściekła na siebie. Nie miała pojęcia, jak mogła do tego dopuścić. Zadurzyła się w nastolatku. Co gorsza, w człowieku.

Nienawidziła siebie za to. Lecz stało się. Nie było sensu próbować zmienić tego, co do niego czuła.

Myśl ta dodała jej siły. Powoli zbliżyła się do tronu Rexiusa gotowa usłyszeć wyrok. Miała znieść nieopisany ból, była tego świadoma. Lecz myśl o Samie czyniła ją silną i pozwalała jej przejść przez to wszystko. Miała do czego wracać. A Sam był bezpieczny. Dzięki temu mogła znieść najgorszą karę.

Tylko czy Sam będzie ją kochał po tym, jak podda się karze? Znajac Rexiusa, zgotuje jej kąpiel w Kwasiu Jorowym, oszpeci jej twarz na każdy możliwy sposób. Jej uroda znacznie na tym ucierpi. Czy Sam nadal będzie ją kochał? Miała nadzieję, że tak.

W izbie zapanowała cisza. Setki wampirów zbliżyły się jeszcze bardziej, nie mogąc doczekać się wymiany zdań. Samantha podeszła kilka kroków do Rexiusa, po czym uklękła na jednym kolanie i pochyliła głowę w ukłonie.

Rexius, siedząc na tronie ledwie kilka stóp dalej, spoglądał na nią surowym wzrokiem, swymi lodowatymi, błękitnymi oczyma, które świdrowały ją na wylot. Gapił się na nią przez chwilę, która zdawała się trwać kilka minut, choć Samantha wiedziała, że mogło upłynąć zaledwie kilka sekund. Nie podnosiła głowy. Dobrze wiedziała, że nie należy spoglądać mu w oczy.

– Cóż – zaczął Rexius swym chropawym głosem, który rozdarł panującą wokół ciszę. – Nadszedł czas, by ponieść konsekwencje swych czynów.

Minęło kolejnych kilka minut ciszy, w trakcie których Rexius bacznie się jej przyglądał. Dobrze wiedziała, że na nic zdałyby się jakiegokolwiek próby usprawiedliwiania się w tej chwili. Trzymała zatem głowę pochyloną nisko.

– Wysłałem cię z bardzo łatwą misją – ciągnął dalej. – Po porażce Kyle'a potrzebowałem kogoś, komu mógłbym zaufać. Mojego najcenniejszego żołnierza. Nigdy jak dotąd mnie nie zawiodłaś.

Przez tysiące lat – powiedział, wciąż gapiąc się na nią. – A jednak teraz, z tym jednym, prostym zadaniem nie poradziłaś sobie. Poniosłaś sromotną porażkę.

Samantha spuściła głowę jeszcze niżej.

– Powiedz mi zatem, co stało się z mieczem? Gdzie on teraz jest?

– Mistrzu – zaczęła z wolna – wytropiłam tę dziewczynę, Caitlin. I Caleba.

Znalazłam ich oboje. I miecz. Udało mi się nawet sprawić, by Caitlin wypuściła go z dłoni. Leżał na podłodze zaledwie kilka stóp ode mnie. Jeszcze kilka sekund i byłby mój. Przyniosłabym go tobie.

Przełknęła ślinę.

Nie mogłam przewidzieć, co stało się chwilę później. Zostałam zaskoczona.

Kyle zaatakował mnie–

W pokoju podniósł się głośny szmer szeptających między sobą wampirów.

– Zabrał miecz zanim zdążyłam go chwycić – ciągnęła dalej. – Kyle zabrał

go. Uciekł z kościoła. Nic więcej nie mogłam zrobić. Próbowałam go odszukać, lecz już dawno go tam nie było. Miecz jest teraz w jego rękach.

W pokoju podniósł się jeszcze głośniejszy szmer. Strach zgromadzonych wampirów stał się niemal namacalny.

– CISZA! – wrzasnął któryś.

Powoli szepty ucichły.

– Tak więc – zaczął Rexus – po tym wszystkim pozwoliłaś, by Kyle zabrał

miecz. Praktycznie mu go wręczyłaś.

Mimo, że dobrze wiedziała, jak powinna w tej chwili się zachować, Samantha nie mogła się powstrzymać. Musiała powiedzieć cokolwiek na swoją obronę. – Mistrzu, nic nie mogłam zrobić–

Rexus przerwał jej, potrząsając tylko głową. Nienawidziła tego gestu.

Oznaczał, że nadchodzą nieprzyjemności.

– Dzięki tobie muszę gotować się na dwie wojny. Tę żalną z ludźmi, a do tego jeszcze tę z Kyle’em.

W pokoju zapadła głucha cisza. Samantha czuła, że jej kara zbliża się nieuchronnie. Była na nią gotowa. Uczepiła się wizerunku Sama w swym umyśle oraz tego, że nie mogli jej w żadnym wypadku zabić. Nie uczyniliby tego nigdy. Potem wróci do życia, w jakiejś jego wersji, w której będzie miejsce dla Sama.

– Przygotowałem karę zarezerwowaną wyłącznie dla ciebie – powiedział

powoli Rexius, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Samantha usłyszała otwierające się za nią podwójne drzwi i odwróciła się.

Jej serce zamarło.

Dwa wampiry wprowadziły właśnie, zakutego w łańcuchy u rąk i stóp, Sama.

Znaleźli go.

Zakneblowany, rzucał się i zwijał, chcąc wydać z siebie jakiś dźwięk. Lecz

nie mógł. Jego oczy rozwarły się szeroko ze strachu. Był wstrząśnięty. Zawlekli go na stronę, brzęcząc łańcuchami, i przytrzymali solidnie. Zmusili go, by przyglądał się wszystkiemu.

– Wygląda na to, że nie tylko straciłaś miecz, ale też obdarzyłaś sympatią człowieka, wbrew wszelkim zasadom naszej rasy – powiedział Rexius. – Twoją karą, Samantho, będzie oglądanie jak cierpi najbliższa twemu sercu osoba.

Wyczuwam, że to nie ty nią jesteś. Jest nim ten chłopiec. Ten żalony, ludzki chłopiec. Dobrze więc – powiedział i nachylił się bliżej, wciąż się uśmiechając.

– Oto, w jaki sposób zostaniesz ukarana. Sprawimy, by ten chłopiec doznał

przeraźliwego bólu.

Serce Samantha zaczęło bić mocniej. Nie przewidziała tego. I nie mogła na to pozwolić. Pod żadnym względem.

Ruszyła na przybyłych, skacząc w kierunku sług przytrzymujących Sama.

Zdołała dotrzeć do pierwszego i kopnąć go mocno w pierś. Wampir poleciał w tył.

Zanim jednak zaatakowała drugiego, kilka wampirów zważyło się na nią, przytrzymało i przygwoździło do ziemi. Walczyła ze wszystkich sił, lecz było ich zbyt wielu. Nie mogła mierzyć się z tyloma na raz. Patrzyła bezradnie, jak kilka wampirów odciągnęło od niej Sama na środek pokoju. Do miejsca zarezerwowanego dla tych, których poddawano kąpieli w Kwasiu Jorowym.

Zabieg ten przysparzał wampirowi nieopisanego bólu. I oszpecał na całe życie.

W przypadku człowieka jednak ból ten był znacznie gorszy. Kara ta oznaczała pewną i straszliwą śmierć. Prowadzili go na egzekucję. A ją zmuszali, by na to patrzyła.

Rexius uśmiechnął się jeszcze szerzej. Kiedy przykuli Sama na miejscu, Rexius skinął głową i jeden ze sług zdarł taśmę z ust człowieka.

Sam spojrzał natychmiast na Samanthę. W jego oczach czał się strach.

– Samantho! – wrzasnął. – Proszę! Ratuj!

Wbrew sobie, Samanta rozszlochała się. Nie mogła nic zrobić. Zupełnie nic.

Sześć wampirów przytoczyło ogromny, żeliwny kocioł, bulgoczący i syczący, umieszczony na szczycie drabiny. Umieścili go dokładnie nad głową Sama.

Sam podniósł wzrok i spojrzał w górę

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, była ciecz wylewająca się z kotła, bulgocząca i sycząca, wprost na jego twarz.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Caitlin biegła. Kwiaty rosnące na polu sięgały jej do pasa. Brnąc przez nie, pozostawiała za sobą widoczny ślad. Krwistoczerwone słońce wisiało nad horyzontem niczym ogromna kula.

Na horyzoncie, odwrócony tyłem do słońca, stał jej ojciec. Albo przynajmniej tak jej się zdawało, sądząc po jego sylwetce. Nie mogła rozróżnić szczegółów, jednak była pewna, że to on.

Biegła i biegła, kierowana rozpaczliwym pragnieniem ujrzenia go i objęcia rękoma, kiedy słońce nagle zaszło. Zbyt szybko. Wszystko potoczyło się zbyt szybko. Po kilku sekundach słońce znikło zupełnie.

Biegła teraz przez pole kwiatów pośród ciemnej nocy. Jej ojciec stał tam nadal i czekał. Czowała, że chciał, by przyspieszyła, chciał wziąć ją w objęcia. Lecz jej nogi nie potrafiły ponieść jej szybciej. Bez względu na to, jak bardzo się starała, jej ojciec z każdą chwilą jakby się od niej oddalał.

Biegła wciąż, kiedy nad horyzont wzniósł się nagle księżyc – wielki, krwistoczerwony, wypełniający całe niebo. Caitlin widziała wszystkie szczegóły, wszystkie karby i kratery. Wszystko było takie wyraźne, krystaliczne. Jej ojciec stał tam nadal. Jego sylwetka zarysowana na tle księżycy, przyciągała ją do siebie. Caitlin starała się biec coraz szybciej i szybciej. Jakby mknęła ku samemu księżycowi.

Jednakże na nic się to zdało. Jej nogi i stopy nagle przestały się poruszać.

Całkowicie. Zerknęła w dół i dostrzegła, że to kwiaty owinęły się wokół nich i przeistaczały w pnącza. Chwilę później były już na tyle grube i silne, że wcale nie mogła się poruszać.

W pewnym momencie zauważyła ogromnego węża, który pełzł po polu w jej kierunku. Próbowwała walczyć, wyrwać się, ale była bezradna. Mogła jedynie obserwować, jak zbliżał się do niej. Wtem poderwał się z ziemi, rzucił wprost ku jej szyi. Odwróciła się i krzyknęła. I poczuła długie kły wbijające się w jej skórę.

Poraził ją okropny ból.

Zerwała się ze snu. Usiadła wyprostowana na łóżku, oddychając ciężko.

Sięgnęła dłonią do szyi i dotknęła dwóch zasklepionych blizn. Przez chwilę pomyliła jawę ze snem i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu węża. Nie było żadnego.

Roztarła bolące miejsce na szyi. Rana nadal dawała o sobie znać, jednak nie tak bardzo, jak w tym śnie. Odetchnęła głęboko.

Oblewał ją zimny pot, a jej serce nadal waliło mocno. Przetarła twarz i skronie i poczuła swe zimne, mokre włosy sklezione ze skórą. Ile to czasu minęło od ostatniej kąpieli? Kiedy ostatni raz myła włosy? Nie mogła sobie przypomnieć. Jak długo tu leżała? I co to było za miejsce?

Rozejrzała się po pokoju. Przypominał to samo miejsce, w którym kiedyś w przeszłości już była – a może przyśnił się jej tylko, albo przebudziła się na chwilę wcześniej i stąd te przebłyski? Pokój wykuty był w całości z kamienia i posiadał jedno strzeliste okno,

przez które widziała nocne niebo i potężny księżyc w pełni, którego poświata rozlewała się po pokoju.

Usiadła na brzegu łóżka i rozmasowała czoło, próbując cokolwiek sobie przypomnieć. W tym momencie poczuła rozdzierający ból w boku. Sięgnęła dłonią i poczuła strup pokrywający ranę. Próbowwała przypomnieć sobie, skąd się wziął. Czy ktoś na nią napadł?

Rozmyślała gorączkowo, aż w końcu, z wolna, wszystko zaczęło wracać.

Boston. Freedom Trail. King's Chapel. Miecz. A potem... jak została zaatakowana. A potem...

Caleb. On tam był. Spoglądał na nią. Czowała, jak życie wymyka się z jej ciała.

I poprosiła go. *Przemień mnie*, wyszeptała błagalnym tonem...

Uniosła dłonie i dotknęła dwóch śladów na szyi. Wiedziała, że ją posłuchał.

To wszystko wyjaśniało. Zerwała się na nogi, uświadomiwszy sobie, że została przemieniona. Zabrali ją gdzieś, pewnie po to, by doszła do siebie, zapewne pod czujnym okiem Caleba. Poruszyła rękoma i nogami, pokręciła szyją, ciałem...

Czowała się jakoś inaczej. Tego była pewna. Nie była już sobą. Czowała nieograniczoną siłę czającą się w jej ciele. Czowała pragnienie, by biec, pędzić, przebijać się przez ściany, skoczyć wysoko.

Wyczuwała też coś jeszcze: dwie niewielkie wypukłości na plecach, tuż za łopatkami. Niewielkie, lecz była pewna, że tam są. Skrzydła. Wiedziała, że gdyby miała ochotę poszybować, otworzyłyby się dla niej.

Nowo nabyte siły odurzały ją. Czowała desperacką wręcz chęć wypróbowania ich. Tu zaś było jak w więzieniu – nie miała pojęcia, jak długo tu tkwiła – i chciała sprawdzić, jak wygląda to jej nowe życie. Czowała też coś innego, nowego: miała wrażenie, iż stać ją teraz na większą brawurę. Czowała, że nie może już umrzeć. Że może popełniać błędy, że ma przed sobą nieskończoną ilość żyć.

Chciała dotrzeć do granic możliwości.

Odwróciła się i spojrzała przez okno na nocne niebo. Okno miało kształt szerokiego łuku, a ponieważ nie było oszklone, pokój był podatny na działanie żywiołów. Coś jak w starym, średniowiecznym klasztorze.

W przeszłości, Caitlin, a raczej jej stara, ludzka wersja, zawahałaby się,

namyśliła nad tym, co miała zamiar zrobić. Przewidziałyby konsekwencje.

Jednak w odrodzonej Caitlin nie było miejsca na rozterkę. Właściwie, sekundę po tym, jak przyszło jej to na myśl, ruszyła pędem do okna.

W kilku krótkich krokach dotarła do parapetu i zanurkowała w powietrze, na zewnątrz.

Coś w niej, jakiś instynkt, podpowiadał jej, że kiedy już znajdzie się w powietrzu, jej skrzydła same się rozwiną. Gdyby się myliła, oznaczałoby to ciężki upadek, setki stóp w dół na ziemię. Jednak odrodzona Caitlin czuła, że nie może się mylić. Nigdy

I tak było. Kiedy skoczyła w mrok, jej skrzydła wyrosły nagle zza łopatek.

Przeszył ją dreszcz rozkoszy. Leciała. Szybowała w powietrzu. Poczowała zachwyt i zadowolenie z długich i szerokich skrzydeł. Ekscytował ją powiew świeżego, nocnego powietrza muskającego jej twarz i ciało. Była noc, jednak księżyc stał

w pełni, był tak ogromny, że rozświetlał ciemność, jakby to był dzień.

Spojrzała w dół. Roztaczał się przed nią widok z lotu ptaka. Wyczuła wodę i miała rację. Była na wyspie. Wszędzie dokoła rozciągały się spokojne, rozświetlone księżycowym blaskiem wody potężnej, zjawiskowej rzeki. Była najszersza ze wszystkich, jakie Caitlin do tej pory widziała. A na środku leżała maleńka wysepka. Ta, na której jeszcze niedawno spała. Niewielka wyspa liczyła niewiele ponad kilkadziesiąt akrów. Nad jednym z jej brzegów górował

niszczejący, szkocki zamek, który w połowie zdążył już popaść w ruinę. Resztę wyspy skrywał gęsty las.

Unosiła się w powietrzu targana jego prądami, raz w górę, raz w dół. Zawracając co chwila, pikując i nurkując, otoczyła wysepkę kolejny raz.

Położony na niej zamek okazał się wielki i wspaniały. Częściowo przypominający rumowisko, posiadał jednak niektóre elementy, te niewidoczne z zewnątrz, zupełnie nietknięte: wewnętrzne dziedzińce i podwórza, wały, wieżyczki, kręte schody i niezliczony ciąg

ogrodów. Był na tyle duży, że z łatwością pomieściłby niewielką armię.

Zanurkowała i spostrzegła, że wewnątrz zamku jaśniało światłem płonących pochodni. Dostrzegła też kłębiących się tam ludzi. Wampiry? Jej zmysły podpowiadały, że miała rację. Jej własny rodzaj. Chodzili w tę i z powrotem i rozmawiali ze sobą. Niektórzy trenowali, walczyli na miecze, grali. Wyspa tętniła życiem. Kim byli? Dlaczego ją tu sprowadzili? Czyżby ją przygarnęli?

Kiedy zamknęła krąg, zauważyła pokój, z którego wyskoczyła. Umieścili ją na szczycie najwyższej wieży otwierającej się na potężny wał zwieńczony szerokim, otwartym tarasem. Na nim stał jeden, osamotniony wampir. Nie musiała podlatywać bliżej, żeby wiedzieć, kto to. Znała go dobrze. W głębi serca i duszy. Jego krew płynęła teraz w jej żyłach. Kochała go całym swym sercem.

Teraz zaś, kiedy już ją przemienił, darzyła go czymś silniejszym nawet od miłości. Wiedziała, mimo dzielącej ich odległości, że osobą przechadzającą się na zewnątrz jej pokoju był Caleb.

Na jego widok serce zabiło jej mocniej. Był tu. Naprawdę tu był. Stał i czekał przed jej pokojem. Musiał czekać przez ten cały czas, wypatrywać oznak poprawy jej stanu.

Kto wie, ile czasu minęło? Trwał cały czas u jej boku. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się stało. Co działo się wokół nich. Kochała go bardziej, niż mogłaby to wyrazić. I teraz mieli już być ze sobą na wieki.

Stał oparty o blanki, spoglądając na rzekę. Wyglądał na zaniepokojonego i smutnego zarazem.

Caitlin zanurkowała w jego stronę, mając nadzieję, że go zaskoczy, zaimponuje odkrytą właśnie umiejętnością.

Caleb podniósł wzrok zszokowany, a jego twarz rozpromieniła radość.

Kiedy jednak Caitlin zaczęła zbliżać się ku schodom, coś poszło nie tak.

Poczuła, że traci równowagę, koordynację ruchów. Miała wrażenie, że obniża się zbyt szybko i nie miała czasu na skorygowanie tego. Kiedy przeleciała nad blankami, rozdarła kolano o kamienną krawędź, po czym wylądowała zbyt gwałtownie i potoczyła się boleśnie po kamiennym podłożu.

– Caitlin! – krzyknął Caleb, biegnąc w jej kierunku.

Leżała na twardym kamieniu i czuła falę nowego bólu promieniującego w górę nogi. Poza tym czuła się dobrze. Gdyby przydarzyło się to dawnej Caitlin, tej ludzkiej, z pewnością połamałaby kilka kości. Odrodzona Caitlin wiedziała jednak, że pozbiera się szybko, dojdzie do siebie prawdopodobnie w kilka minut.

Była jednak zażenowana. Chciała zaskoczyć Caleba i mu zaimponować. A teraz wyszła na idiotkę.

– Caitlin? – zapytał ponownie. Ukłękął przy niej i położył dłoń na ramieniu. – W porządku?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się głupawo.

– Niezły sposób, żeby wywrzeć na tobie wrażenie – powiedziała, czując się jak dureń.

Przesunął dłonią wzdłuż jej nogi, sprawdzając jej obrażenia.

– Już nie jestem człowiekiem – odburknęła. – Nie musisz się o mnie martwić.

Natychmiast pożałowała swych słów. I ich tonu. Zabrzmiały jak oskarżenie, jakby żałowała niemal, że została przemieniona. Nie chciała też powiedzieć tego w tak szorstki sposób. Wręcz przeciwnie, uwielbiała jego dotyk, to, że nadal był

wobec niej tak opiekuńczy. Chciała mu podziękować, powiedzieć o tym i innych rzeczach. Lecz jak zwykle wszystko schrzaniła.

Powiedziała nie to, co trzeba,

nie w tym momencie.

Jako nowa Caitlin, wywarła tragiczne pierwsze wrażenie. I nadal nie potrafiła trzymać języka za zębami. Najwyraźniej niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały. Nawet w przypadku nieśmiertelności.

Wyprostowała się i już miała położyć dłoń na jego ramieniu, by go przeprosić, kiedy nagle usłyszała skomlenie. Poczowała puszysty kłębek na twarzy.

Odchyliła się i zorientowała, co to.

Róża. Jej wilcze szczenię. Skoczyła w ramiona Caitlin. Skamlała z entuzjazmem i lizała ją po całej twarzy. Caitlin nie zdołała powstrzymać się i wybuchnęła śmiechem. Uściskała Różę, odsunęła od siebie i objęła wzrokiem.

Róża, choć nadal była szczeniędem, urosła ostatnio i była większa, niż Caitlin ją zapamiętała. Dziewczyna przypomniała sobie

wówczas, kiedy ostatnio ją widziała. Były w King's Chapel i wilczyca leżała na ziemi zakrwawiona, postrzelona przez Samanthę. Caitlin była pewna, że Róża nie żyje.

– Wykurowała się – powiedział Caleb, czytając jak zwykle w jej myślach. –

Jest twarda. Jak jej matka – dodał z uśmiechem.

Caleb zapewne zajmował się nimi obydwoma przez ten cały czas.

– Jak długo byłam zamroczona? – zapytała Caitlin.

– Tydzień – odparł Caleb.

Cały tydzień, pomyślała. *Niewiarygodne.*

Miała wrażenie, jakby przespała lata. Czowała się tak, jakby umarła i wróciła do świata żywych, lecz w nowej formie. Czowała się oczyszczona, jakby zaczynała życie na nowo.

Jednak z chwilą, kiedy przypominała sobie wszystko, kiedy minione wydarzenia wracały do niej jedno za drugim, zdała sobie sprawę, że ten jeden tydzień trwał w istocie wieczność. Miecz został skradziony, a jej brat Sam uprowadzony. I od tego czasu minął już cały tydzień. Dlaczego Caleb nie ruszył

za nimi? Przecież liczyła się każda minuta.

Caleb wstał, a za nim Caitlin. Stała naprzeciwko i spojrzała mu w oczy.

Serce zaczęło jej łomotać. Nie miała pojęcia, co robić. Co przewidywał protokół, jakiej procedury mieli się trzymać teraz, kiedy oboje byli prawdziwymi wampirami? Kiedy to on był tym, który ją przemienił? Czy mieli być razem?

Czy kochał ją równie mocno teraz, kiedy już była tej samej rasy? Kiedy mogli być ze sobą na wieki?

Czowała podenerwowanie, jakby na szali leżało coś więcej, jak nigdy przedtem.

Podniosła dłoń i położyła delikatnie na jego policzku.

Zajrzał jej w oczy. Jego błyszczały w księżycowej poświacie.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Chciała powiedzieć: *kocham cię*, ale wyszło nie tak. Chciała zapytać: *czy*

zostaniesz już przy mnie na zawsze? Czy kochasz mnie jeszcze?

Wbrew wszystkiemu jednak, na przekór jej nowym mocom, nie potrafiła zdobyć się na odwagę. Mogłaby przynajmniej powiedzieć: *dziękuję za ocalenie*, albo, *dziękuję za opiekę*, lub też, *dziękuję za to, że tu jesteś*. Wiedziała, z jak wielu rzeczy zrezygnował, by być tu teraz z nią, ile poświęcił w tym celu.

Jednak wszystko, na co się zdobyła, to słowo: *Dziękuję*.

Uśmiechnął się powoli, podniósł dłoń i delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy, zaczesując je za ucho. Potem przesunął wierzchem dłoni, tak gładkim, po jej twarzy, przyglądając się jej badawczo.

Była ciekawa, o czym myślał. Może chciał powiedzieć jej o uczuciu, swej wiecznej miłości do niej? Może miał zamiar ją pocałować?

Czuła, że było tak w istocie i nagle ogarnęło ją podenerwowanie. Niepokój o to, jak będzie wyglądać ich dalsze życie. O to, co się stanie, jeśli im nie wyjdzie.

Zamiast zatem rozkoszować się chwilą, musiała odezwać się i wszystko zepsuć, otworzyć swą wielką, gadatliwą jadaczkę, kiedy tak naprawdę chciała jedynie trzymać ją zamkniętą na kłódkę.

– Co z mieczem? – zapytała.

Wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Spojrzenie pełne miłości i namiętności zastąpiła troska i zakłopotanie. Zauważyła to natychmiast, jakby ciemna chmura przesłoniła letnie niebo.

Odwrócił się i podszedł kilka kroków w kierunku kamiennych blanek.

Odwrócony do niej tyłem, spojrzał na rzekę.

Ale z ciebie kretynka, pomyślała. Musiałaś w ogóle się odzywać? Czemu po prostu nie pozwoliłaś mu się pocałować?

Zależało jej na mieczu, to prawda, jednak nawet w połowie nie tyle, co na nim. Na nich obojgu, na ich związku. Tą chwilę jednak udało jej się zaprzepaścić.

– Obawiam się, że go straciliśmy – powiedział ściszym głosem, nie odwróciwszy się nawet, wciąż rozglądając się po okolicy. – Ukradli go.

Najpierw Samantha, a potem Kyle. Zaskoczyli nas. Nie przewidziałem, że się tam pojawią. A powinienem.

Caitlin podeszła do niego, stanęła tuż obok, podniosła ostrożnie dłoń i położyła na jego ramieniu. Miała nadzieję, że może uda się jej znów zmienić nastrój.

– Czy z twoimi ludźmi wszystko w porządku? – zapytała.

Odwrócił się i spojrzał na nią wzrokiem przepelnionym jeszcze większą troską.

– Nie – odparł beznamiętnie. – Mój klan jest w poważnym niebezpieczeństwie. I z każdą minutą mojej nieobecności zagrożenie to rośnie.

Caitlin zamyśliła się.

– Dlaczego zatem do nich nie wróciłeś? – spytała.

Znała już jednak odpowiedź, zanim jeszcze zadała to pytanie.

– Nie mogłem cię zostawić – powiedział. – Musiałem upewnić się, że z tobą wszystko w porządku.

To wszystko? pomyślała. Czy naprawdę zależało mu tylko na tym, aby sprawdzić, co u niej? A kiedy już przekonałby się, że jest w porządku to co, miał

zamiar ją opuścić?

Z jednej strony, poczuła nagły przyływ miłości, wiedząc ile poświęcił. Z

drugiej zaś zastanawiała się, czy zależało mu jedynie na jej dobrym samopoczuciu. A nie na ich związku?

– Więc... – zaczęła – teraz, kiedy już wiesz, że dobrze się czuję... po prostu odejdziesz?

Jej słowa zabrzmiały zbyt szorstko. Co z nią było nie tak? Dlaczego nie potrafiła zdobyć się na uprzejmość, delikatność, tak jak on? Z pewnością nie robiła tego naumyślnie. Po prostu, wszystko psuła. Chciała jedynie powiedzieć: *Proszę, nie zostawiaj mnie już nigdy.*

– Caitlin – zaczął łagodnym tonem. – Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała.

Moja rodzina, moi ludzie, mój klan – znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. Gdzieś tam jest miecz i to w niewłaściwych rękach. Muszę do nich wracać. Muszę ich ocalić. W zasadzie to powinienem wyruszyć już tydzień temu... i teraz, kiedy już doszłaś do siebie, no cóż... to nie tak, że *chcę* cię tu zostawić. Ja po prostu muszę uratować swoją rodzinę – powiedział

cicho.

– Mogę lecieć z tobą – odparła z nadzieją w głosie. – Mogę pomóc.

– Jeszcze nie odzyskałaś pełni sił – powiedział. – Ten upadek podczas lądowania nie był przypadkowy. Musi minąć trochę czasu zanim wampir osiągnie pełnię swych mocy. Ty zaś dodatkowo ucierpiałaś od pchnięcia mieczem. Może minąć kilka dni, a nawet tygodni, zanim ta rana zagoi się na dobre. Jeśli polecisz, możesz zranić sama siebie. Pole bitwy to na razie nie miejsce dla ciebie. Tutaj otrzymasz wyszkolenie. Z tego powodu cię tu sprowadziłem.

Odwrócił się i przeszedł z nią przez taras. Spojrzeli w dół na dziedziniec.

Tam, w oddali, dziesiątki wampirów ćwiczyły w świetle pochodni, walcząc ze sobą, ścierając się na koniach i w walce wręcz.

Na tej wysepce mieszka jeden z najwspanialszych klanów – powiedział. –

Zgodzili się ciebie przyjąć. Będą cię uczyć. I szkolić. Sprawią, że będziesz silniejsza. Wówczas, kiedy twe moce w pełni się rozwiną, kiedy odzyskasz

zdrowie, będę zaszczycony, widząc ciebie walczącą u mego boku. Do tego czasu jednak, nie mogę ci na to pozwolić. Wojna, na którą idę, będzie bardzo niebezpieczna. Nawet dla wampira.

Caitlin zmarszczyła brwi. Bała się, że powie właśnie coś takiego.

– A jeśli nie wrócisz? – spytała.

– Jeśli przeżyję, to wrócę po ciebie. Obiecuję.

– A jeśli nie przeżyjesz? – spytała, obawiając się już samych tych słów.

Caleb odwrócił się i spojrzał na horyzont. Odetchnął głęboko, wpatrując się w chmury, lecz nic nie powiedział.

Postanowiła skorzystać z okazji. Rozpaczliwie pragnęła zmienić temat.

Caleb podjął już decyzję o swym odejściu. Widziała to. Nic nie było w stanie go zatrzymać. Było jasne, że nie może zabrać jej ze sobą. Poczula się wyczerpana.

Wiedziała, że miał rację: nie była jeszcze gotowa na walkę. Musiała wyzdrowieć.

Nie chciała marnować ani chwili dłużej na próbach zatrzymania go przy sobie. Nie chciała też rozmawiać o wampirach, wojnach, czy mieczach. Pragnęła wykorzystać tę odrobinę drogiego czasu, jaki im został, na rozmowę o nich.

O Caitlin i Calebie. O nich, jako o parze. O ich przyszłości. Ich wzajemnej miłości. Ich oddaniu. Na czym tak naprawdę stoją?

Co ważniejsze, uświadomiła sobie, że przez ten cały czas, od momentu, kiedy go poznała, zawsze uważała jego obecność za coś normalnego. Nigdy nie poświęciła choćby chwili, by spojrzeć mu w oczy i powiedzieć dokładnie, jak głębokim uczuciem go darzy. Była już kobietą. Czuła, że nadszedł dla niej czas, by się postawić, postąpić dojrzałe, jak kobieta. Powiedzieć mu, co tak naprawdę do niego czuje. Chciała, by wiedział. Być może to przeczuwał, czuł, jak bardzo go kocha, jednak ona nigdy jeszcze mu tego nie powiedziała. *Caleb, kocham cię od chwili, w której cię poznałam. Zawsze będę cię kochać.*

Serce jej waliło. Tak przerażona nie była jeszcze nigdy w życiu. Cała drżąc, podniosła dłoń i przyłożyła delikatnie do jego policzka.

Powoli odwrócił się do niej.

Była gotowa, w końcu, by powiedzieć, co myśli.

Kiedy spróbowała, słowa ugrzęzły jej w gardle.

W tej samej chwili spojrzął na nią z niepokojem i otworzył usta, by przemówić.

– Caitlin, muszę ci o czymś powiedzieć– zaczął.

Nie dane mu było jednak dokończyć zdania.

Nagle dotarł do nich dźwięk otwieranych drzwi. Caitlin wyczuła natychmiast, że nie byli już sami.

Obrócili się na pięcie oboje w kierunku, z którego dobiegł hałas, by zobaczyć, kto to.

Ktoś, jakiś wampir, piękne, niesamowite stworzenie było wyższe, szczuplejsze i lepiej zbudowane od Caitlin. Miało długie, opadające rude włosy i błyszczące zielone oczy.

Kiedy uświadomiła sobie, kim była ta osoba, jej serce stanęło.

Nie, niemożliwe.

To Sera. Była żona Caleba.

Caitlin spotkała ją tylko raz i to przelotnie, w Cloisters. Nigdy jednak jej nie zapomniała.

Sera podeszła do nich w gracją stworzenia, które spędziło na tej planecie tysiące lat, pewna siebie. Nie zwolniwszy ani na chwilę, z oczami utkwionymi w Caitlin, podeszła do Caleba.

Podniosła bladą, cudowną dłoń i położyła na barku Caleba, po czym spojrzała na Caitlin z nieukrywaną pogardą.

– Calebie? – powiedziała cicho ze złowrogim uśmiechem na twarzy.
–

Powiedziałeś jej o nas?

Te kilka słów sprawiło, że Caitlin poczuła, jakby ktoś zatopił jej nóż w sercu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Samantha obserwowała z przerażeniem, jak kocioł przechyla się na twarz Sama. Walczyła ze wszystkich sił, ale w żaden sposób nie mogła wyrwać się z rąk swych oprawców. Była bezradna. Musiała stać i patrzeć, jak unicestwiają osobę, którą pokochała.

Kiedy ciecz poleciała na Sama, Samantha spięła się, oczekując przeraźliwych wrzasków towarzyszących tak często kąpielom w Kwasiu Jorowym.

Kiedy jednak Sam zniknął kompletnie pod kwasowym wodospadem, nie usłyszała, co dziwne, żadnego dźwięku.

Czyżby zabił go tak szybko, tak zupełnie, że Sam nie miał nawet szansy krzyknąć? Ciecz zleciała i Sam wynurzył się z niej.

Samantha była w prawdziwym szoku. Jak każdy wampir w komnacie.

Samowi nic się nie stało. Zamrugnął powiekami i rozejrzył się. Najwyraźniej w ogóle nie ucierpiał. Patrzył wręcz wyzywająco.

Nie do wiary. Samantha nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego – ani nikogo, czy to człowieka, czy wampira, kto byłby odporny na kwas. To znaczy, nikogo poza jedną osobą. Teraz sobie przypominała. Caitlin. Jego siostra. Ona również była odporna. Co to mogło znaczyć? Czy to dlatego, że byli spokrewnieni? Przypominała sobie napis na jego zegarku. Róża i Cierń. Czy dynastia przetrwała w nich obojgu? Czy mogło być tak, że ona nie była Wybrańcem?

Że on nim był?

Caitlin była o kilka lat starsza od Sama i być może oznaki dojrzewania pojawiły się u niej wcześniej. Być może, gdyby poczekali kilka lat, Sam również zacząłby przejawiać symptomy przemiany w półkrwi mieszańca.

Jakakolwiek była tego przyczyna, najwyraźniej był uodporniony. Co sprawiało, że był potężny, bardzo potężny. I bardzo niebezpieczny dla jej klanu.

Samantha rozejrzała się. W pokoju, w którym przebywały przecież setki wampirów, nie usłyszała żadnego dźwięku. Wszyscy gapili się tylko oniemiałi.

Sam wyglądał na wściekłego. Podniósł dłoń zakutą w łańcuch i starł płyn ze swej twarzy. Szarpnął za łańcuch, ale nie mógł się uwolnić.

– Czy ktoś może wyciągnąć mnie z tej pieprzonej kałuży!?! – wrzasnął.

I wtedy stało się.

Nagle rozległo się łomotanie w drzwi.

Samantha obróciła się na pięcie i zobaczyła, jak wielkie, podwójne drzwi runęły z łoskotem.

Nie mogła w to uwierzyć. Stał przed nią Kyle ze swą w połowie oszpeconą twarzą, z Sergeiem u boku i setkami zaciężnych wampirów za sobą.

Ale to nie wszystko. Kyle miał go. Trzymał wysoko. Miecz.

Wydał z siebie przeraźliwy okrzyk i natarł jak szalony. Jego ludzie podążyli krok za nim, wrzeszcząc i demolując wszystko po drodze. W pomieszczeniu zapanował chaos.

Wampir wystąpił przeciw wampirovi. Kyle i jego poplecznicy atakowali brutalnie wszystko, co się ruszało. Jednak klan Blacktide toczył wojnę od wieków i nie miał zamiaru tak łatwo się poddać. Wampiry Rexiusa odpierały atak z jednakową determinacją.

Rozgorzała walka wręcz, wampir z wampirem. Żaden nie ustępował pola.

Kyle jednak niesamowicie parł naprzód. Trzymał miecz obiema rękoma uniesiony wysoko i wymachiwał nim na wszystkie strony. Gdziekolwiek się pojawił, gęsto ścielił się wampirzy trup. Ręce, nogi, głowy... Był niczym jednoosobowa armia. Wycinał szlak w tłumie setek wampirów, mordując wszystkich jak popadnie.

Samantha była w szoku. Jak żyje, od tysięcy lat nie widziała zamordowanego wampira, tak naprawdę, ostatecznie, zgładzonego. Nigdy nie wyobrażała sobie wampira, jako ofiary. Ten miecz budził strach i podziw zarazem. I był bardzo, ale to bardzo śmiercionośny.

Nie czekała ani chwili dłużej. Jakiś wampir zaatakował ją, wrzeszcząc, mierząc swymi zakrwawionymi, zaostrzonymi kłami w jej twarz. Zrobiła unik, pozwoliła, by nad nią przeleciał i puściła się biegiem.

Popędziła przez komnatę wprost w kierunku Sama.

Rychło w czas. Jakiś łajdak wpadł bowiem na ten sam pomysł i biegł już do zakutego w kajdany, skamieniałego ze strachu chłopca. Skoczył na niego w wysuniętymi kłami, celując w jego gardło. Sam był niczym jagnię uwięzione w klatce pełnej lwów.

Samantha dotarła do niego na czas. Skoczyła, zderzyła się z napastnikiem w powietrzu i powaliła na ziemię. Zanim zdążył wstać, Samantha zdzieliła go po głowie, pozbawiając przytomności.

Skoczyła na nogi i rozdarła krępujące Sama łańcuchy. Kiedy już go oswobodziła, Sam rozejrzał się wokół z całkowitą dezorientacją. Jakby był

świadkiem ziszczenia się jakiegoś niesamowitego koszmaru.

– Samantho – powiedział – co u licha się tu dzieje–

– Nie teraz – odparła, rozerwawszy ostatnie łańcuchy. Chwyliła jego ramię i pociągnęła za sobą, prowadząc przez zamęt. Kierowała się ku wyjściu.

Kolejny wampir skoczył na nich z obnażonymi kłami.

Samantha chwyciła Sama i przewróciła na ziemię, sama nurkując, i wampir

przeleciał dosłownie nad ich głowami.

Szybko odzyskała równowagę i pociągnęła Sama za sobą, pędząc przez komnatę. Samantha prowadziła go cały czas, unikając atakujących i lawirując między nimi z powodzeniem. Wiedziała, że jeśli uda jej się dotrzeć do drzwi, za nimi znajduje się korytarz i tylne schody prowadzące na ulicę. Kiedy tam dotrą, będzie mogła zabrać ich daleko stąd.

Nikt nie zauważył ich w tym całym zgiełku. Była już niemal przy drzwiach, kilka kroków dosłownie.

Wówczas, kiedy praktycznie do nich dotarła, poczuła ciężar na barkach i przewróciła się na podłogę. Ktoś wskoczył na nią od tyłu.

Obróciła się i podniosła wzrok, chcąc zobaczyć napastnika. Sergei. Ten podły, karłowaty Rosjanin, pomagier Kyle'a. Ten, który wyrwał miecz jej z dłoni.

Wyszczerzył zęby w nikczemnym, okrutnym uśmiechu, a Samantha znienawidziła go jeszcze bardziej.

Sam, musiała mu to przyznać, nie okazywał strachu. Nadal omotany resztką kajdan skoczył na plecy Sergeia i owinął łańcuch wokół jego szyi. Chłopak miał

krzepę. Zacisnął w zasadzie na tyle mocno, że Sergei zwolnił uścisk na Samancie, która wykorzystując to, wyturlała się spod niego.

Sam jednak nie mógł równać się z wampirem. Mimo wszystko. Sergei wstał, warcząc, i zrzucił z siebie Sama niczym szmacianą lalkę. Sam wylądował z łoskotem na ścianie, dziesięć stóp dalej.

Samantha spróbowała skoczyć na nogi, jednak w tej samej chwili rzuciło się na nią kilkunastu innych wampirów. Widziała też, jak otaczają Sama. Byli w pułapce.

Ostatnią rzeczą, którą ujrzała była uśmiechnięta w okrutnym grymasie twarz Sergeia i jego pięść zmierzająca ku jej twarzy.

*

Kyle przedzierał się przez ogromną komnatę klanu Blacktide, dzierżąc miecz i zadając ciosy na oślep, powalając wampiry jeden za drugim. Jeszcze nigdy nie czuł się tak ożywiony. Krew tryskała na wszystkie strony, pokrywając go całego, zraszając jego dłonie, ręce wymachujące z coraz większym zapałem. Nadeszła pora zemsty. Mścił się za tysiące lat lojalnej służby, za to, w jaki sposób go potraktowali. Jak śmieli w ogóle. Teraz poznają znaczenie słowa zemsta.

Wszyscy przeproszą, co do jednego, pochylą się przed nim w niskim ukłonie, do samej ziemi, i przyznają, że mylili się i to mocno.

Wszystko szło idealnie. Po wydarzeniach na Brooklyńskim Moście, poprowadził lojalnych mu pobratymców wprost przez drzwi Miejskiego Ratusza, zabijając tych kilku wampirów, którzy mieli śmiałość stanąć mu na

drodze. Potem przeszli sekretnym przejściem, idąc jeden za drugim, niżej i niżej w czeluście Ratusza, wprost do gniazda jego klanu. Żaden wampir nie śmiał

stanąć na drodze jego armii, która wdarła się szturmem do komnaty. Wielu z nich, zobaczywszy Kyle'a, a zwłaszcza miecz, przyłączyła się natychmiast do jego szeregów. Cieszył się, że aż tylu członków jego starego klanu pozostało mu wiernych. Wiedział, że nadszedł dzień upomnienia się o prawowite przywództwo.

Rexius był słaby. W innym przypadku sam odnalazłby miecz. Wieki temu.

Nigdy nie posłałby innych po miecz. Uwielbiał karać ich za własne przewiny, kiedy to on tak naprawdę zasługiwał na karę. Władza uderzyła mu do głowy.

Skazanie Kyle'a na wygnanie było ostatnią, rozpaczliwą próbą usunięcia wszystkich z jego otoczenia. Jednak obróciło się to przeciw niemu.

Kyle przedzierał się przez pokój, kierując się w stronę tronu Rexiusa. Ten zauważył go i otworzył oczy szeroko ze strachu.

Następnie zeskoczył z tronu i spróbował wymknąć się chyłkiem, oby jak najdalej od walki. Ich niby przywódca pokazał swoją prawdziwą naturę, kiedy nadszedł czas wojny.

Kyle miał jednak inny plan.

Podbiegł do drugiego końca pomieszczenia, chcąc stanąć twarzą w twarz z Rexiusem. O ile łatwo byłoby po prostu zatopić ostrze miecza w jego plecach, Kyle nie chciał pozwolić, aby Rexius przegrał tak łatwo. Chciał, by Rexius dobrze się przyjrzał osobie, która ich zgładziła.

Rexius zatrzymał się, kiedy drogę odciął mu barczysty Kyle z błyszczącym, lśniącem mieczem.

Szczęka mu zadrzała. Podniósł trzęsącą się dłoń i skierował palec na twarz Kyle'a. W tej jednej chwili wyglądał, jak zwyczajny starzec. Słabowity, stary, przerażony mężczyzna. Jakie to żałosne.

– Zostałeś wygnany! – wrzasnął nieprzekonująco. – Rozkazałem ci się wynieść!

Teraz to Kyle uśmiechnął się szerokim, złośliwym gestem.

– Nie możesz zwyciężyć! – dodał Rexius. – Nie wygrasz!

Kyle podszedł beztrąsko do niego i jednym, czystym pchnięciem przebił

serce Rexiusa.

– Już wygrałem – skwitował krótko.

Wszyscy w sali, mimo, że pogrążeni w szaleńczej walce, odwrócili się i wlepili wzrok w tę scenę. Usłyszeli przeraźliwy wrzask, który ogarnął całą kamienną komnatę. Zdawał się nie mieć końca; Rexius krzyczał. Na oczach zgromadzonych jego ciało nagle rozplynęło się

w powietrzu, przeistoczyło w obłok dymu, później smugę, która uniosła się ku sufitowi.

Wszyscy utkwili wzrok w Kyle'u.

Kyle podniósł miecz wysoko i zaryczał, zawył okrzykiem zwycięstwa.

Wszystkie wampiry, które jeszcze żyły, bez względu na to, po której stronie walczyły, zwróciły się w kierunku Kyle'a. Jak jeden padli na kolana i pochylili nisko głowy w ukłonie do samej ziemi. Było po walce.

Kyle oddychał ciężko, próbując pojąć to wszystko. Został właśnie ich nowym przywódcą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Caitlin opuściła pośpiesznie Caleba i Serę, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

Nie potrafiła znieść tak wiele naraz. Czy naprawdę to widziała, czy tylko jej się zdawało? Jak to w ogóle było możliwe?

Myślała, że dobrze zna Caleba, że byli sobie teraz bliżsi niż kiedykolwiek przedtem. Była pewna, że stali się parą, byli razem już na zawsze. Widziała ich wspólne przyszłe życie i to bardzo wyraźnie. Była pewna, że nic im nie stanie na przeszkodzie.

A teraz to. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że w życiu Caleba mogła być jakaś inna kobieta. Jak mógł przemilczeć ten fakt?

Caitlin pamiętała oczywiście Serę ze swej krótkiej wizyty w Cloisters –

Caleb jednak zaprzeczył, że coś go z nią łączyło, że jeżeli nawet coś do niej czuł, to było to lata temu – setki lat temu.

To co ona tutaj robiła? Zwłaszcza teraz? Kiedy między Calebem i Caitlin miało już dojść do osobistych zwierzeń, kiedy Caitlin dopiero co wybudziła się ze snu, przemieniona w wampira dzięki krwi Caleba? Skąd w ogóle wiedziała, gdzie są? Czy to Caleb ją tu zaprosił? Pewnie tak. Tylko dlaczego?

Czuła przytłaczające, rosnące z każdą chwilą cierpienie. Po prostu nie było na to wytłumaczenia. Zawsze wzbraniała się otworzyć przed innymi, zwłaszcza mężczyznami, właśnie z tego powodu. Z Calebem jednak postanowiła zaryzykować, zaufała mu bezgranicznie. Otworzyła się przed nim, jak nigdy wcześniej przed

żadnym innym, z którym była. A on zranił ją o wiele bardziej, niż mogłaby to sobie wyobrazić.

Nadal nie rozumiała, jak mogła aż tak błędnie go osądzić. Jak mogła aż tak się w nim zakochać, tak pomylić. Czuła, jak jej cały wewnętrzny świat rozpada się na kawałeczki. I jak miałoby teraz wyglądać jej nieśmiertelne życie, bez niego? Jak wyrok. Jak dożywotni wyrok. Czuła, że chce umrzeć. Co gorsza, czuła się jak skończona idiotka.

– Caitlin! – zawołał za nią Caleb. Usłyszała jego kroki. Próbował ją dogonić.

– Proszę, pozwól mi to wytłumaczyć.

Co takiego chciał jej tłumaczyć? Wiadomo było, że musiał zaprosić tu Serę.

Najwidoczniej, nadal ją kochał. I zapewne jego uczucia do Caitlin nie były tak głębokie, jak jej do niego.

Ręka Caleba spoczęła na jej ramieniu. Caleb pociągnął ją w błagalnym geście, pragnąc, by odwróciła się i spojrzała na niego.

Ona jednak wyrwała mu się. Nie mogła znieść jego dotyku. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nigdy więcej.

– Caitlin! – krzyknął. – Dlaczego nie dasz mi po prostu tego wyjaśnić?

Caitlin nie zwolniła jednak. Była już inną osobą, inną istotą i wyczuwała to na wiele sposobów. Wraz z nowo odkrytą, wampirzą mocą, zyskała też szereg nowych, wampirzych cech. Czuła również, że jej uczucia stały się silniejsze, o wiele bardziej od tych, które miała jako człowiek. Odczuwała wszystko o wiele wyraźniej. Nie była zwyczajnie przygnębiona – czuła, jakby dosłownie umierała.

Nie czuła się ot tak – zdradzona – raczej jakby jej serce przebiło ostrze. Chciała rozszarpać swoje ciało, zrobić cokolwiek, byleby ten ból, który rozdzierał jej wnętrze ustąpił.

Przeszła przez taras do swojego pokoju i trzasnęła za sobą dębowymi drzwiami.

– Caitlin, Caitlin proszę! – dotarł do niej zza drzwi stłumiony głos.

Caitlin odwróciła się i walnęła w drzwi.

– Odejdź! – krzyknęła. – Wracaj do swojej żoneczki!

Po chwili wyczuła, że odszedł.

Została sama. W ciszy. Usiadła na brzegu łóżka w swoim niewielkim pokoju, przykryła twarz dłońmi i zapłakała. Szlochała i łkała przeszywającym serce płaczem. Czuła, że zabrano jej wszystko, dla czego chciała żyć.

Usłyszała skomlenie i poczuła na swojej twarzy delikatne muśnięcie. To Róża otarła się pyszczkiem o jej twarz. Polizała policzki Caitlin, próbując zmasać z nich łzy.

To wyrwało Caitlin z odrętwienia. Pogłaskała miękkie futerko Róży, gdy ta wskoczyła jej na kolana. Była jeszcze wystarczająco mała. Caitlin wtuliła się w nią.

– Przynajmniej *ty* mi jeszcze zostałeś, Rózo – powiedziała. – Nie opuścisz mnie, prawda?

Róża odchyliła się i ponownie polizała ją po twarzy.

Lecz cierpienie Caitlin było nie do zniesienia. Nie mogła znieść tego miejsca ani chwili dłużej. Miała wrażenie, że zaraz wyskoczy przez ścianę.

Spojrzała na wielkie okno, kuszący nocny nieboskłon i bez wahania odłożyła Różę, zeskoczyła z łóżka, zrobiła dwa długie kroki i wyskoczyła.

Wiedziała, że jej skrzydła się rozwiną i poniosą daleko. Po części jednak żałowała, że jej nie zawiodą, że nie pozwolą runąć w dół, wprost na ziemię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kilku wampirów przytrzymało Samanthę zakutą w łańcuchy w stalowym uścisku i wlokło ją przez ogromną komnatę. Wnętrze przypominało rzeźnię.

Gdziekolwiek spojrzała, widziała tysiące wampirzych trupów, członków jej klanu i krew pokrywającą całą podłogę. Ten przeklęty miecz Kyle'a pociął ich wszystkich na kawałki; posiadał moc wykraczającą poza wszelkie wyobrażenie.

Mimo tej całej jatki kilkuset wampirom udało się jednak przeżyć. Teraz byli już ludźmi Kyle'a. Z każdą kolejną chwilą przez otwarte drzwi wlewały się dziesiątki nowych. W zasadzie, nie było widać końca potoku wampirów, przybywających złożyć przysięgę wierności Kyle'owi. Był to już zdecydowanie *jego* klan. Wobec śmierci Rexiusa nie było nikogo innego, komu mogliby złożyć przysięgę. A Kyle sobie na to zasłużył. Udało mu się zgładzić każdego wampira, który go zdradził.

Setki wampirów pomagały Kyle'owi w jego bitwie z Rexiusem. Niektórzy byli szczerze mu oddani, innymi zaś kierował czysty oportunizm. Jeszcze inni po prostu nie darzyli Rexiusa sympatią i czekali tylko na okazję, by go zdradzić.

Z całego miasta przybywały liczne klany wampirów. Wieści rozchodziły się szybko w ich świecie – wszyscy chcieli być częścią nadchodzącej wojny. Bez względu na osobiste pobudki, właśnie tworzyli armię Kyle'a.

Kiedy zatem Kyle został przywódcą, kiedy dzierżył miecz, oczywiste było, że wkrótce wybuchnie wojna na szeroką skalę, niepodobna do jakichkolwiek prowadzonych do tej pory przez wampiry. Kyle był bezwzględny i łaknął krwi.

Nawet taka rzeź go nie zadowoliła. Był przewrażliwiony i po prostu nie umiał

wyżyć się tej cechy. Wszystkie wampiry, które nie pojawiły się, by złożyć mu hołd, miały za to zapłacić. Razem z całym niewinnym ludzkim rodzajem. Jego vendetta sięgała daleko. Samantha wiedziała, że Nowy Jork wkrótce stanie się jego placem zabaw.

Zawlekli Samanthę brutalnie przez panujący dokoła chaos wprost na środek komnaty.

Kyle siadł na tronie Rexiusa, rozkoszując się władzą. Szczerzył zęby w szerokim, złowrogim uśmiechu, podczas gdy inne wampiry kłaniały się przed nim nisko.

Stojący u jego boku Sergei uderzył metalową laską o ziemię trzykrotnie.

Tysiące wampirów wypełniających całe pomieszczenie stanęły w rzędach w idealnym porządku. Wszyscy unieśli pięści i zawołali: – Niech żyje Kyle!

Samantha była zdumiona tym niesamowitym wręcz pokazem siły i lojalności. Nigdy w życiu nie widziała jeszcze przejawu takiego posłuszeństwa.

Kyle zniewalał. W mgnieniu oka stał się tyranem.

Kyle'a jednak nie interesowali w tej chwili jego żołnierze. Utkwił wzrok w Samancie. Pozostali, zaciekawieni jego zachowaniem, podążyli za jego spojrzeniem. Ich szepty ucichły. Pragnęli usłyszeć zbliżającą się wymianę zdań.

– No cóż – powiedział do niej. – Pokonałaś mnie w wyścigu po miecz, ale jak widzisz, to ja nim władam.

– Na razie – wydusiła z siebie Samantha.

Niech ma o czym myśleć, pomyślała. Po prawdzie, wierzyła, że przyjdzie dzień, kiedy miecz nie będzie już należał do niego. Kimkolwiek była osoba, której pisane było dzierżyć tę broń, w końcu ją przejmie. Samantha wiedziała w głębi serca, że Kyle nie był tą osobą.

Kyle uniósł brwi.

– Czy wiesz, dlaczego tak długo trzymałem cię przy życiu? – zapytał.

Samantha patrzyła na niego wyzywająco. Nie widziała powodu, by wdawać się w tę rozmowę. Nowy klan nie obchodził jej w najmniejszym stopniu. Chciała opuścić to miejsce, znaleźć się jak najdalej stąd. Chciała jedynie zabrać Sama i wyjść. Gdyby im pozwolił.

Sama nie było jednak w zasięgu wzroku. Nie widziała go od momentu, kiedy pojмали ich żołnierze Kyle'a. Musiała zachować spokój przynajmniej do momentu, kiedy dowie się, gdzie go trzymają. Musiała grać na zwłokę, złożyć nawet przysięgę wierności, jeśli zajdzie taka potrzeba. Do chwili, kiedy będzie mogła uciec stąd razem z Samem.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Rexius posłał po miecz ciebie zamiast mnie. Jak wszyscy dobrze wiedzą, jestem lepszym wojownikiem. Aczkolwiek przyznam, że posiadasz pewne umiejętności – powiedział.

– Nie dlatego jednak trzymam cię przy życiu. Rexius zamierzał cię ukarać. Z

tego powodu, jak przypuszczam, nie pozostaniesz mu lojalna? Nadchodzi wojna i przydadzą mi się tak wytrawni wojownicy jak ty. Jeśli jesteś gotowa złożyć mi przysięgę na wierność, rozważę kwestię zachowania cię przy życiu.

Samantha namyśliła się. Nie widziała problemu ze złożeniem przysięgi, gdyż wiedziała, że już wkrótce zostawi to wszystko za sobą. Musiała jednak dowiedzieć się, co z Samem.

– A co z chłopakiem? – spytała. – Gdzie go zabraliście?

Kyle uśmiechnął się.

– A, tak. Chłopiec. Dochodzimy do sedna sprawy, którą chcę z tobą omówić.

Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, skąd w tobie słabość dla tego człowieka. A przecież złamałaś tym nasze zasady. Jak wiesz, mógłbym rozkazać cię za to zabić. Jednakże, naprawdę mnie to zaintrygowało i stało się jednym z

powodów, dla których jeszcze żyjesz.

– Zrozum Samantha, musisz ponieść karę. Każdy wampir, który kiedykolwiek był lojalny wobec Rexiusa zamiast mnie, musi zostać ukarany. To część procesu inicjacji mojej nowej armii. Nauczysz się być posłuszną mi i tylko mi.

– W twoim przypadku przyszło mi do głowy idealne rozwiązanie: zrobisz coś, dzięki czemu udowodnisz mi swoją lojalność oraz poniesiesz zasłużoną karę. Moi ludzie zaprowadzą cię do chłopca. Przyprawisz go tu z powrotem i na oczach wszystkich zabijesz.

Serce Samantha zamarło. Nigdy, przenigdy, nie byłaby zdolna tego uczynić.

Prędzej odebrałaby życie sobie samej, niż jemu. Kyle, jak zwykle, okazał się obłudny. I okrutny. O tak, był odpowiednim następcą Rexiusa.

– Przyjemnie będzie popatrzeć, jak własnoręcznie zadajesz mu śmierć –

powiedział Kyle, uśmiechając się na samą tę myśl. – Zrozum, według mnie ten chłopiec jest tylko ciężarem. Pochodzi z tego samego rodu, co jego siostra, a z tego, co mi wiadomo, obdarzeni są odpornością, która może nam wszystkim zaszkodzić. Nie ufam żadnemu z nich. Nie wspominając już, że to człowiek.

Kyle objął twarz Samantha badawczym spojrzeniem.

– Jeśli to zrobisz, wynagrodzę cię, zapewniając pozycję, honor i prestiż. W

moim nowym klanie będzie miejsce zarezerwowane wyłącznie dla ciebie.

Nadchodzi wspaniała wojna, jedna z najwspanialszych, jakie nasza rasa widziała. A ty możesz zostać jednym z jej głównych architektów.

– Jeśli jednak odmówisz... zostaniesz poddana torturom, powolnym, wiecznym mękom, a twoje imię zostanie wymazane z

książ historii naszego klanu.

W pomieszczeniu zapanowała głucha cisza. Samantha zastanawiała się, poszukując szalenie jakiegoś rozwiązania.

– Dlaczego sam go nie zabijesz? – spytała w końcu.

Kyle odchylił się i roześmiał powoli.

– Cała przyjemność polega na tym – odparł – że ty to zrobisz. Jedną z moich ulubionych pasji jest oglądanie, jak ludzie zabijają tych, którzy są im bliscy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Caitlin leciała już przez jakiś czas. Nie miała pojęcia, dokąd, jednak gdziekolwiek nie poniosłby ją wiatr, dla niej było to w porządku. I tak czuła, że nie miała gdzie wracać, ani też żadnego powodu, by żyć. Jej ukochany Caleb zdradził ją. Jedyna osoba, na której jej zależało poza nim, jej brat Sam, najprawdopodobniej też ją zdradził. Sprowadził przecież Samanthę i te wszystkie nikczemnie wampiry prosto do niej, do King's Chapel. Czy nie było już nikogo, komu mogłaby zaufać? Czy taki był jej los, że każdy, kto pojawiał się w jej życiu, w końcu wbijał jej nóż w plecy?

Przeleciała wysoko nad rzeką Hudson i spojrzała na nią, lśniąca w świetle księżyca. Nocne powietrze przyjemnie muskało jej twarz i włosy, ścierając łzy z policzków. Była już daleko od wyspy, która jawiła się na horyzoncie w postaci niewielkiej kropki. Leciała coraz dalej i dalej, pragnąc rozpaczliwie oczyścić myśli.

Zanurkowała w powietrzu w kierunku wody i szybowała nad jej powierzchnią, prawie jej dotykając. Przyjemnie było znaleźć się tak blisko wody.

Coś popychało ją, by zanurkować, zanurzyć się całkowicie. Jednak coś innego, jej nowa, wampirza natura podpowiadała, że to bezcelowe. Wampir nie mógł

umrzeć. Nawet przez utonięcie.

Kiedy szybowała tak nad wodą, wokół zaczęły wyskakiwać ryby nad jej powierzchnię. Musiały wyczuć jej obecność. Czy to jej wampirza krew tak na nie działała?

Wzniosła się wyżej, jeszcze wyżej w powietrze i dopiero teraz zaczęła trzeźwo myśleć. Przypomniała sobie wszystkie wydarzenia minionych dni.

Szczegóły już zaczęły zacierać się w pamięci. Czy to możliwe, że wszystko wyolbrzymiała? Teraz, kiedy o tym pomyślała, zastanawiała się, co takiego zrobił Caleb? Owszem, Sera pojawiła się tam i jej obecność była niewybaczalna.

Im jednak więcej Caitlin o tym myślała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie знаła dokładnie ani powodu obecności Sery, ani też sposobu, w jaki tam dotarła. Nie była też pewna, czy to Caleb ją zaprosił. Nie mogła być również pewna, czy ich dwoje wróciło do siebie. Czy było możliwe, że istniało jakieś inne wytłumaczenie?

Może zareagowała zbyt pochopnie. Zawsze tak robiła, nigdy nie potrafiła zapanować nad sobą.

Wzniosła się jeszcze wyżej i nagle zawróciła gwałtownie w kierunku jej małej wyspy. Czuła, że coś ją do tego miejsca przyciągało. Zaczęła zastanawiać

się nawet, czy tam nie wrócić. Bo gdzie indziej mogła polecieć?

Frunąc tam, poczuła, że znalazła nowy cel w życiu. Może powinna dać Calebowi przynajmniej jedną szansę, by wszystko wytłumaczył. Tyle już razy ocalił jej życie. Opiekował się nią przez te dni. Jego troska przywróciła ją do życia. Może nadal ją kochał. Może...

Nie była jednak przekonana. Aczkolwiek, im dalej leciała, tym bardziej uświadamiała sobie, że była winna Calebowi choćby jedną szansę, możliwość wytłumaczenia się.

Tak, miała zamiar dać mu ją. A potem podejmie ostateczną decyzję.

*

Caleb był wściekły. Kolejny raz Sera pojawiła się w jego życiu, niszcząc wszystko. Nie był w stanie przypomnieć sobie, ile razy prosił ją, przez te wszystkie tysiące lat, by trzymała się z dala od niego, ile razy dał jej jasno do zrozumienia, że nic do niej nie czuł, że nie chciał jej w swoim życiu. Zawsze jednak potrafiła pojawić się w nieodpowiednim momencie. Jakby wiedziała, wyczuwała, kiedy był z kimś nowym, osobą, na której mu naprawdę zależało.

Była najbardziej zaborczym i zazdrosnym stworzeniem, jakie kiedykolwiek przyszło mu spotkać. I nękała go przez te wszystkie tysiące lat życia.

Tym razem nie mógł się z tym pogodzić. Nie zamierzał pozwolić jej na to.

Zbyt wiele jego związków już zniszczyła, a ten przeważył szalę. Zależało mu na Caitlin, jak na nikim innym – czy to wampirze, czy człowieku – z którym się związał. A Sera musiała to wyczuć, niczym ćma lecąca do światła. To dlatego zapewne wychyliła nos ze swojej kryjówki, dlatego wytropiła go i tym razem.

Miała wymówkę – zawsze jakąś miała. W tym tkwił szkopuł – nigdy nie można było obarczyć ją stuprocentową winą, gdyż zawsze przybywała z jakąś pilną wiadomością, zawsze miała uzasadnienie. W tym przypadku oczywiście ich klan stanął w obliczu wojny. Jak twierdziła, Kyle wrócił do Nowego Jorku z mieczem i kwestią dni była otwarta wojna wampirów. Przybyła z wiadomością od jego klanu: chcieli, by wrócił. Byli gotowi wybaczyć mu wcześniejsze wykroczenia. Potrzebowali każdego żołnierza w nadchodzącej wojnie, a Caleb był jednym z najlepszych, jakich mieli.

Z jednej strony zatem nie mógł być na nią zły – co tylko sprawiało, że sytuacja stała się jeszcze bardziej nie do zniesienia. Z drugiej zaś, podejrzewał, że czekała dokładnie na coś takiego, by wkraść się z powrotem do jego życia.

Bez względu jednak na te wieści, nie miała prawa dać Caitlin do zrozumienia, że nadal byli parą.

Podbiegł do niej z twarzą czerwoną ze złości.

– Sera! – warknął. – Musiałaś to powiedzieć? Musiałaś użyć dokładnie takich słów? Nic nas już nie łączy! I, jak zapewne dobrze wiesz, *nic* przed nią

nie zataiłem. Pojawiłaś się tu, by przekazać wiadomości od klanu. To wszystko.

Ale nie, ty musiałaś dać do zrozumienia, że mam jakąś tajemnicę, że ty i ja nadal jesteśmy ze sobą.

Jego złość nie zniechęciła jej. Jeśli już, to wydawało się, że sprawiała jej przyjemność. Udało się jej go zirytować i wyglądało na to, że właśnie na tym jej zależało.

Powoli na jej twarzy zagościł uśmiech. Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– A nie jesteśmy? – zapytała uwodzicielsko. – Gdzieś w głębi serca czujesz, że jesteśmy. I dokładnie dlatego tak bardzo się denerwujesz. Gdybyś nic do mnie nie czuł, w ogóle nie zawracałbyś sobie tym głowy.

Caleb zrzucił jej dłoń z ramienia.

– Wiesz, że to kompletna bzdura. Zerwaliśmy ze sobą setki lat temu. I *nigdy* już do siebie nie wrócimy. Sam nie wiem, ile razy mam ci to powtarzać – odparł

rozdrażniony. – Chcę, byś trzymała się z dala od mego życia. A już przede wszystkim od Caitlin. Ostrzegam cię, zostaw ją w spokoju.

Na jej twarzy, w mgnieniu oka, pojawił się gniew.

– Ta żałosna dziewczucha – warknęła. – Tylko dlatego, że jest teraz jedną z nas, nie oznacza, że ma nade mną przewagę. Ona *nie może* się ze mną równać.

Nie rozumiem nawet, dlaczego wodzisz za nią oczyma. Nie wspominając o tym, że nasz klan nigdy nie zatwierdził twojej decyzji o jej przemianie – powiedziała i rzuciła mu pochmurne spojrzenie.

Caleb wiedział, co oznaczało. Groźbę. Ostrzegała go, ostrzegała przed skutkami złamania prawa. Mógł ponieść za to dotkliwą karę – a ona groziła, że ujawni prawdę przed wszystkimi.

– Twoje groźby mnie nie powstrzymają – odparł ponuro. – Możesz powiedzieć, co chcesz i komu chcesz. Przyjmę wszystko, z czym przyjdzie mi się zmierzyć.

– Jesteś odrażający – warknęła. – Mamy wojnę. Cała nasza rodzina, nasz klan stanął w obliczu zagrożenia, a ty co? Chowasz się tu, na tej wyspie, czekając aż ta żałosna dziewczyna wyzdrowieje. Powinieneś być w domu, bronić swoich ludzi, jak prawdziwy mężczyzna, którym kiedyś byłeś.

– Mój klan mnie porzucił – odburknął Caleb – po setkach lat oddanej służby.

Nic im nie jestem winien. Mają dokładnie to, na co zasłużyli.

Odetchnął.

– Mimo to, zależy mi na nich i nie zawiodę ich ze względu na sytuację, jaką mamy. Powiedziałem ci, że wrócę, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

– Powiedziałeś, że wrócisz, kiedy ona dojdzie do siebie. Najwyraźniej zdążyła już wyzdrowieć. Nie masz żadnych wymówek. Musisz wrócić i to w tej chwili!

– Dotrzymam słowa, jak zwykle. Chcę jednak, abyś dobrze mnie zrozumiała: wrócę tylko po to, aby ocalić klan, ludzi, których czeka

rzeź – i odzyskać miecz. Nie łudź się, że jest jakiś inny powód. Kiedy tylko moja misja dobiegnie końca, odejdę ponownie i tym razem na dobre. I nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Nie snuj fantazji, że wróciliśmy do siebie i jesteście parą. Bo nie jesteście.

– Och, Calebie – odparła z mrocznym uśmiechem – wierz, w co tylko chcesz. W głębi serca czujesz, że ty i ja byliśmy razem od zawsze, i na zawsze pozostaniemy razem. Im bardziej z tym walczysz, tym bliższy mi się stajesz.

Wiem, jak bardzo mnie kochasz. Czuję to. Każdego dnia.

– Masz urojenia – powiedział Caleb. – Z każdą chwilą ci się pogarsza.

Sera uśmiechnęła się szeroko. – Tak, tak – odparła. – Powtarzaj to sobie.

Walcz z uczuciami. Walcz z tym, o czym oboje dobrze wiemy.

Nagle podeszła do niego w dwóch odważnych krokach, uwiesiła mu się na szyi i przyciągnęła do siebie jednym, silnym pociągnięciem.

Zanim zdążył zareagować, pocałowała go w usta intensywnie i z niesamowitą siłą.

Caleb wzdrygnął się ze wstrętem. Podniósł ręce i odepchnął ją. Wówczas, kątem oka spostrzegł, że ktoś wylądował na ziemi tuż przy nich.

Caitlin.

*

Kiedy zbliżyła się do wyspy, poczuła, jak na powrót wzbiera w niej nadzieja.

Miała przejrzyste myśli. Zdała sobie sprawę, że Caleb nie zrobił przecież nic złego. Jaka była głupia. Powinna dać mu szansę, pozwolić, by wytłumaczył

wszystko. Z tego, co wiedziała, Sera przybyła nieproszona, a między nimi nic nie było. Absolutnie nic. Dlaczego zatem postąpiła tak pochopnie?

Kiedy obniżyła lot i w zasięgu jej wzroku pojawiła się wyspa, zobaczyła potężny, kamienny zamek rozpościerający się poniżej. Dostrzegła liczne wampiry trenujące przy świetle pochodni. Miejsce to było naprawdę wspaniałe i wdzięczna była Calebowi, że ją tu sprowadził. Odniosła wrażenie, że wszystko się ułoży. Zrobiła jeszcze jedno okrążenie i wylądowała na górnym wale.

Kiedy podfrunęła bliżej, kiedy wylądowała, jej serce zamarło.

Zobaczyła Caleba i Serę. Tym razem jednak zwartych w pocałunku.

Całowali się. Świadomość tego zakłuła ją bardziej, niż miecz. Nie mogła się poruszyć. Nie potrafiła myśleć. Ani oddychać. Całowali się. Naprawdę się *całowali*.

A więc *byli* ze sobą. Nie było żadnego nieporozumienia. Nadal był w niej zakochany.

Zdradzał Caitlin, jakby nic dla niego nie znaczyła, I robił to na jej oczach.

Caleb podbiegł do niej i tym razem Caitlin nie uciekła. Stała w miejscu, unieruchomiona doznany szokiem, czując wzbierający w niej gniew. Czuła, jak ogarnia ją wściekłość, większa od jakiegokolwiek, której doświadczyła, będąc człowiekiem.

– Caitlin – zaczął Caleb. – To nie to, na co wygląda. Proszę, pozwól mi wyjaśnić–

Kiedy podszedł do niej, kiedy zaczął mówić, Caitlin podniosła jedynie palec i wskazała na horyzont.

– ODEJDŹ! – krzyknęła zagniewana.

Wydała mu rozkaz. Nie pytanie. Nie pozostawiła miejsca na jakąkolwiek dyskusję.

Caleb stał, sam zastygł w bezruchu, najwidoczniej zaszokowany jej ostrym tonem. Musiał dostrzec, jak bardzo była zrezygnowana.

– POWIEDZIAŁAM ODEJDŹ! – wykrzyknęła ponownie. – Nie chcę cię widzieć. Już nigdy w całym moim życiu!

Caleb stał bez ruchu, wyglądając na zszokowanego i zranionego, niczym mały chłopiec, któremu właśnie ktoś zrobił burę. Wyglądało na to, że miał jej wiele do powiedzenia, ale też wiedział, że nie wysłucha ani jednego jego słowa.

Zwiesił głowę powoli, przybity.

Odwrócił się, podszedł do krawędzi wału, wziął rozbieg, odbił się od poręczy i wyskoczył w powietrze. Wkrótce unosił się na wietrze, młóćąc swymi wielkimi skrzydłami, i oddalał się w ciemną noc.

Caitlin zauważyła, że Sera odwróciła głowę i patrzyła, jak Caleb odlatuje.

Wyglądała na zmartwioną, jakby chciała polecieć za nim. Wyglądała też na wewnętrznie rozdartą, jakby chciała przekazać coś Caitlin,

zanim odleci.

Podeszła nagle do Caitlin i stanęła kilka stóp od niej.

– Nienawidzę cię – powiedziała powoli, a jej słowa ociekały jadem.

–

Zawsze będę cię nienawidzić. Próbowałaś odebrać mi mojego mężczyznę. *Nigdy* ci się to nie uda. Caleb nie chce ciebie. Chce mnie. Tylko mnie. Tak było zawsze.

Caitlin odczuwała zbyt wielki gniew, by zaprzętać sobie głowę odpowiedzią.

Poza tym i tak nie miała jej nic do powiedzenia.

Sera rozwinęła skrzydła, gotując się do odlotu. Zanim zdążyła się odwrócić, nachyliła się nisko i wyszeptała coś jeszcze: – Z Calebem łączy mnie coś, czego ty nigdy nie będziesz miała. Nigdy w całym swym życiu. Jestem pewna, że ci nie powiedział. I że nigdy ci nie powie.

Caitlin spojrzała na nią z równą wściekłością, zastanawiając się jednocześnie, co też ta wstrętna kreatura mogłaby dodać, by jeszcze bardziej ją

rozsierdzić. Nie sądziła, żeby jej się to udało.

Kiedy jednak usłyszała następne słowa, uświadomiła sobie, że rzeczywiście było coś, co mogło wprawić ją w jeszcze gorszy nastrój.

– Mam z nim dziecko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Samantha szła kamiennym korytarzem w eskorcie dwóch niezdarnych strażników, wampirów. Trzymali się blisko niej, ale żaden nie śmiał jej dotknąć.

Była wojownikiem o zbyt wysokiej randze – nigdy nie okazaliby takiego braku szacunku. Pomimo swych rozmiarów, pomimo tego, że byli mężczyznami, była od nich obydwu znacznie potężniejsza – i dobrze o tym wiedzieli.

Prowadzili ją głębiej i głębiej w czeluście siedziby klanu, do komnaty, w której trzymali Sama. Zeszli po kolejnych kamiennych schodach. Odgłos ich kroków, uderzeń twardych, skórzanych butów odbijał się echem od ścian. W

sklepionych korytarzach zapadał coraz większy mrok, rozjaśniony gdzieniegdzie pochodniami.

Samantha była wściekła. Idąc za strażnikami, myślała, aby zabić ich tu, na miejscu. Lecz jeszcze nie teraz. Chciała, by zaprowadzili ją najpierw do miejsca, w którym przetrzymywali Sama. Gdziekolwiek to było. Musiała go ocalić.

Kyle był głupi. Czy naprawdę myślał, że zależało jej aż tak bardzo na własnym życiu, własnym honorze, że gotowa była przyprowadzić Sama i zabić go na oczach wszystkich? Musiał uważać ją za kolejnego pionka, jednego z wielu. Musiał wiele się jeszcze nauczyć. Samantha była inna. I to bardzo. Nie przeżyła tysięcy lat, ulegając innym. Robiła, co chciała i kiedy chciała. Czasami wymagało to śmiałych czynów.

Minęli kolejny korytarz, tym razem głębszy i mroczniejszy. Komnaty pod siedzibą ich klanu w Miejskim Ratuszu ciągnęły się w nieskończoność. Można było zgubić w nich drogę na lata. Bardzo dogodne miejsce na przetrzymywanie więźniów. W zasadzie, chodziły słuchy, że nadal więziono tu niektóre legendarne wampiry, czasami nawet od tysięcy lat. Niewielu tak naprawdę znało rozmiar czeluści, głębię, do której ciągnęły się te komnaty, tysiącletnią historię wampirów zapisaną w tych murach.

W końcu zatrzymali się przed strzelistymi, drewnianymi drzwiami. Jeden ze strażników chwycił jej ramię, a drugi wydobył ze swej kieszeni wielki pęk kluczy. Wsadził jeden z nich do dziurki i przekręcił.

Kiedy tylko Samantha usłyszała kliknięcie zamka, kiedy zobaczyła, jak otwierają się drzwi, wiedziała, że nadeszła właściwa chwila.

Jednym, szybkim i zdecydowanym ruchem ręki strąciła z siebie dłoń strażnika, obróciła się na pięcie i nasadą dłoni ugodziła go w szyję.

Zadała idealny cios.

Strażnik padł na kolana z wybałuszonymi oczyma i objął szyję obydwoma

rękoma. Próbował złapać oddech. Nadaremnie. Trzy tysiące lat nauczyło ją wyprowadzać idealny cios w krtani z siłą, która powalała największych na kolana. Po kilku sekundach, tak jak przewidywała, mężczyzna runął na bok, uderzając głową o kamienną posadzkę, i stracił przytomność. Był wampirem, więc to go nie zabiło. Ale unieruchomiło na bardzo, bardzo długi czas.

Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła, jak dwie wielkie, muskularne ręce zacisnęły się na niej w dławiącym uścisku. Zaatakował ją drugi strażnik. Był

szybszy niż się tego spodziewała. Chwycił ją mocno i ścisnął.

Nie był jednak tak zwinny jak ona. Czowała, że był silny, ale brakowało mu finezji. Młody wampir, który nawet w połowie nie dorównywał jej doświadczeniem. Pewnie dlatego powierzyli mu obowiązki strażnika.

Przykucnęła, zrobiła krok w bok, postawiła nogę za jego stopą i kiedy się podniosła, wykorzystując ciężar ciała mężczyzny przeciwko niemu samemu, strażnik poleciał do tyłu. Przeleciał nad jej ramieniem i wylądował na plecach.

Zauważyła, że udało się jej pozbawić go tchu i zanim wstał, stanęła na jego krtani, miażdżąc ją obcasem buta. Trzymała stopę w miejscu, naciskając coraz mocniej, aż w końcu przestał z nią walczyć i również stracił przytomność.

Odwróciła się w kierunku drzwi. Sprawdziła obie strony korytarza, upewniła się, że nikt nie nadchodzi i szybko weszła do komnaty, zamykając i ryglując drzwi za sobą. Wiedziała, że wkrótce pojawi się więcej strażników. Ale na razie miała trochę czasu.

Był tam. Sam. Widok jego twarzy wynagrodził jej cały trud. Tkwił przykuty łańcuchami do odległej ściany. Biedny dzieciak: pewnie nigdy nie miał na sobie kajdan tak często, jak w ostatnich dniach. Był bardzo blady, jak na człowieka nawet i najwyraźniej było z nim źle.

Przede wszystkim wyglądał na przerażonego. Na jej widok otworzył szeroko oczy. Natarł na łańcuchy, próbując coś powiedzieć, ale w jego ustach tkwił

knebel.

Samantha podbiegła i wyjęła knebel. Z ust Sama natychmiast popłynął potok słów.

– Samantho, o co u diabła chodzi!?! – zapytał pospiesznie. – Czy to prawda?

Oni wszyscy są wampirami? I ty też? Zabijesz mnie? Powiedz, że to sen.

Zanim zerwała z niego kajdany, objęła dłońmi policzki, nachyliła się i go pocałowała. Zastygli w długim pocałunku. Sam najpierw próbował się opierać.

Był przerażony, lecz wkrótce jego opór złagodniał i zaczął całować ją równie namiętnie.

Im dłużej trwał ich pocałunek, tym lepiej to czuła. Sam nadal ją kochał.

Tyle jej wystarczyło. Była zdecydowana.

– Samantho, proszę – powiedział. – Rozkuj mnie. Zabierz mnie stąd. Chcę

być z tobą. Chcę wydostać się stąd. Proszę–

– Cii – uciszyła go, podnosząc palec do ust. – Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Też chcę być z tobą. I nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Nie ma stąd ucieczki.

Wszystkie wyjścia zostały zablokowane. Wiele nowych wampirów zebrało się tu teraz i nie ma jak stąd uciec. Na razie musimy to zaakceptować.

– Zaakceptować co? O czym ty mówisz

– Sam – powiedziała, głaszcząc go po twarzy. – Kocham cię i muszę wiedzieć, czy ty czujesz to samo.

Sam spojrział wprost na nią zdziwiony.

– Ja też cię kocham – powiedział. – Pójdę za tobą wszędzie. Ale zabierz mnie stąd. Proszę. Nieważne, czy jesteś wampirem, czy czymś innym. Ja jedynie chcę być z tobą.

Samantha uśmiechnęła się. Czuła, jak w jej sercu wzbiera uczucie, którego od wieków nie doznawała. Czuł to samo, co ona.

– W porządku – powiedziała. – W takim razie musisz mi zaufać. Nie ma innego sposobu. Nie możemy uciec. Jeśli zaprowadzę cię na górę, on po prostu cię zabije. Chcę cię uratować. Ale jest na to tylko jeden sposób.

– Co masz na myśli? – zapytał. – Kto mnie zabije? I dlaczego?

– Sam – powiedziała z naciskiem – nie ma na to czasu. Musisz mi po prostu zaufać. Chcesz na zawsze być ze mną? Przemyśl to dobrze. I to nie jest zwykła prośba. Naprawdę musisz to poważnie przemyśleć.

Patrzyła mu w oczy, zielone oczy, w których odbijały się jej niebieskie.

Wyglądał, jakby oniemiał.

Spytała jeszcze raz powoli, z całą powagą, na którą było ją stać: Czy chcesz być ze mną już na zawsze?

W końcu ochłonął, uspokoił oddech i spojrzał dokładnie w jej oczy.
Musiał

wyczuć, z jakim namaszczeniem podchodziła do tego.

– Tak – odpowiedział śmiało równie poważnie. – Chcę być z tobą na zawsze.

Uśmiechnęła się.

– Na początku możesz być na mnie wściekły, jednak chcę, byś wiedział, że nie ma innego wyjścia. Inaczej, stracisz życie. W każdej formie. I nie spotkamy się już nigdy. Robię to dla ciebie. Dla *nas*. Wierzę, iż posiadasz moc, której nie ma nikt z nas. I że to ona ciebie ocali.

Odchyliła się i pozwoliła, by ogarnęło ją pragnienie. Oddychając głęboko, dała ponieść się zapachowi jego skóry, a jej kły zaczęły wydłużać się – wkrótce stały się bardzo długie.

Zauważyła, że powodowany strachem chłopiec otworzył szeroko oczy, uświadomiwszy sobie, co zamierzała zrobić.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale było już za późno. Nie mogła pozwolić, by zepsuł tę chwilę.

Pożądała go.

Na wieki.

Zanim Sam zdołał krzyknąć, nachyliła się nad nim. Zatopiwszy kły w szyi chłopca, poczuła doskonały, wręcz wyborny, słonawy smak i zaczęła pić jak nigdy dotąd.

O tak. Teraz już wieczność należała do nich obojga.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Caitlin leżała na łóżku zwinięta w kłębek. Godziny mijały jedna za drugą.

Caleba nie było już od dawna. Sery zresztą też nie. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, od kiedy kazała mu się wynieść. Od tamtej chwili nie była w stanie się ruszyć. Po prostu leżała, nieruchoma, pragnąc umrzeć.

Jak mógł jej to zrobić? Dziecko? Jak mógł to przemilczeć?

Z drugiej strony – pomyślała – czy rzeczywiście był do tego zobowiązany?

Poznali się zaledwie kilka tygodni temu – a może dni? Zdziwiła się. Wydawało się, że byli już ze sobą od lat. Być może ich związek był tylko chwilowy, wbrew temu, co czuła?

Nie. To nieprawda. Musiało być coś więcej. Zdecydowanie. Widziała to w jego oczach. Czuła w jego sercu. Darzył ją gorącym uczuciem, bez dwóch zdań.

Dlaczego zatem nie wspomniał jej o tajemnicy z przeszłości?

Być może czekał na właściwy moment. Formalnie rzecz biorąc, nawet nie umawiali się na oficjalne randki. Kim zatem byli? Caitlin odnosiła wrażenie, że takie szufladkowanie ich nie dotyczyło, że pominęli ten etap znajomości. To, co ich łączyło, było silniejsze. W głębi serca czuła, że są parą. Już na zawsze. Istne szaleństwo. Wiedziała o tym, właśnie to czuła. I sądziła, że Caleb czuł to samo.

Powinien jej powiedzieć. Jeżeli rzeczywiście oczekiwał, że spędzą wieczność ze sobą, mógł znaleźć chwilę i podzielić się z nią tą wiadomością.

Mam z Serą dziecko. Dlaczego nie zdobył się na to, żeby to powiedzieć?

Dlaczego ukrywał to przed nią? Nie miała prawa o tym wiedzieć?

I co z dzieckiem? Ciekawe, czy to chłopiec, czy dziewczynka? Ile ma lat?

Wyobrazila sobie chłopca. Czy Caleb utrzymywał z nim bliski kontakt? A jeśli nie, to dlaczego?

I czego jeszcze jej nie mówił?

Pytania te kołatały się w jej głowie bezustannie, w miarę jak próbowała doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu. Po części chciała mu wybaczyć, wyjaśnić wszystko bez reszty. Leżąc zwinęta na łóżku, pluła sobie w brodę, że nie wysłuchała go do końca, nie poznała jego wersji wydarzeń.

Z drugiej strony, ta silniejsza Caitlin czuła, że została zdradzona. Jakby nie było, widziała, jak się całowali. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. I mogło oznaczać tylko jedno: Caleb nadal kochał Serę. Nie było innego, logicznego wytłumaczenia.

Zwinęła się w kłębek jeszcze ciaśniej, chcąc po prostu rozpuścić się w powietrzu. I akurat teraz, w tej właśnie chwili, jej nieszczęściem była

nieśmiertelność. Cierpiała i to aż zanadto; teraz skazana była na udrękę nie tylko przez kilkadziesiąt lat życia – ale na wieczność. Może nie powinna prosić, by ją przemienił. Może powinna przyjąć śmierć wtedy w kościele. Z pewnością byłoby to mniej bolesne.

Poczuła coś mokrego na twarzy. Podniosła wzrok i ujrzała Różę, która lizała ją i zachęcająco trącała pyszczkiem. Zaczęła kwilić i lizać Caitlin z większą natarczywością. Musiała wyczuć nastrój Caitlin.

Caitlin podniosła dłoń i pogłaskała ją po pyszczku. Dzięki Bogu, miała jeszcze ją. Nie wiedziała, co by bez niej zrobiła.

Róża wciąż przymilała się. Caitlin podniosła się i powoli zaczęła dochodzić do siebie. Rozejrzała się po pokoju: *i co teraz?* Wiedziała, że gdzieś tam na dole przebywała cała kolonia wampirów, które zdecydowały się przyjąć ją do siebie.

Zapewne czekali, by ją poznać. Czy powinna iść do nich teraz?

Nie czuła się jednak na siłach, by spotykać się z kimkolwiek. Doskwierał jej intensywny ból. Musiała w odosobnieniu przemyśleć swoje uczucia.

Obejrzała się. Na małym, wiekowym biurku w rogu pomieszczenia leżał jej dziennik. Jej wierny, stary przyjaciel.

Właśnie, pomyślała. Tego było jej teraz trzeba. Pióra i papieru. By to wszystko rozwikłać. Jak zwykle, wszystko potoczyło się zbyt szybko. Z

ledwością pamiętała wydarzenia z kilku ostatnich dni, a co tu mówić o ostatnich tygodniach. Musiała to wszystko sobie przypomnieć.

Podeszła do biurka i usiadła na niewielkim, pamiętającym średniowiecze krześle. Zapaliła świecę, która rozświetliła sfatygowane strony jej dziennika.

Przewracała je powoli. Suchy papier wydawał z siebie cichy szelest. W blasku świecy podniosła pióro, oparła głowę o rękę i zaczęła pisać:

*

Jak ja się tutaj znalazłam? I gdzie tak naprawdę jestem? Nawet tego nie wiem. Jestem w pokoju na szczycie wieży, na jakiejś odległej wyspie, pośród wód rozległej rzeki. Niczym baśniowa księżniczka. Z tym wyjątkiem, że mój bajkowy królewicz właśnie mnie opuścił.

Od czego by tu zacząć? Caleb. Zawsze był na pierwszym miejscu. Od kiedy się poznaliśmy, nie mogłam myśleć o niczym innym. Mijały dni i tygodnie, a on wciąż dominował w moich myślach. I uczuciach.

Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, nagle pojawił się obok i uratował mnie, pędząc za mną ulicami w zawrotnym tempie. Mam wrażenie, że nic się od tamtej pory między nami nie zmieniło. Cały czas wydarzenia następują w tej samej kolejności: kiedy grozi mi niebezpieczeństwo, on zjawia się i mnie ratuje.

Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że nigdy tak naprawdę nie miałam okazji

mu podziękować, ani powiedzieć, jak bardzo go kocham.

Ostatnie parę tygodni były cudowne... Nowy Jork, Salem, Martha's Vineyard, Edgartown, klify Aquinnah i w końcu Freedom Trail. Zawsze na tropie mitycznego miecza, który rzekomo miał ocalić ludzkość.

Im bardziej zagłębialiśmy się w poszukiwaniach, tym bardziej zaczynałam w to wszystko wierzyć, w to, że może naprawdę jestem tą Wybraną. Może to wszystko prawda. Może jednak wywodzę się z jakiegoś wyjątkowego rodu, który mógł przynieść ratunek ludzkości...

Tropy prowadziły do następnych wskazówek, aż w końcu odnaleźliśmy go.

Ale wszystko po kolei.

Najpierw Caleb i ja odnaleźliśmy siebie nawzajem. W Martha's Vineyard, na plaży pod klifami Aquinnah spędziliśmy ze sobą magiczną noc. W końcu mieliśmy szansę wyznać sobie miłość. Staliśmy się parą i wszystko między nami zmieniło się już na zawsze.

Jednak, kiedy znaleźliśmy miecz, złowrogie wampiry wykradły go. Porwały również mojego brata Sama. A potem wbiły we mnie miecz. Caleb musiał zostać przy mnie, zamiast udać się w pogoń za nimi.

Mogłam umrzeć. Powinłam. Czułam, jak życie ze mnie uchodzi. Lecz wówczas wymogłam na Calebie, aby mnie przemienił. Nie miałam pojęcia, czy to zrobi. Miałam taką nadzieję. I modliłam się o to.

I oto jestem. Wciąż żyję. Tym razem jednak życiem wiecznym.

Obudziłam się tutaj, na odległej wyspie. Jestem kimś innym. Nie zwykłym człowiekiem. Czuję się silniejsza, pewna siebie. Ale też zdolna do głębszych uczuć.

*Jak na ironię, najgorszy los dotknął tego, który był mi najdroższy.
Caleba.*

*Kiedy myślałam, że zostaniemy ze sobą na wieki, odkryłam, że nadal
coś łączy go z byłą żoną. I przyłapałam ich na całowaniu. Co
gorsza, powiedziała mi, że mają razem dziecko. Nie wiem, co jeszcze
Caleb przede mną ukrywa.*

*Kazałam mu odejść. Nie byłam w stanie rozmawiać z nim po tym
wszystkim.*

*Może mógłby to jakoś wyjaśnić, lecz naprawdę nie widzę w jaki
sposób. Odszedł.*

*Odleciał, a wraz z sobą zabrał całą moją nadzieję, wszystkie
marzenia.*

*Nie wiem, jak teraz ma wyglądać moje życie. Nie wiem, czy zależy
mi na...*

*

– Będiesz spała cały dzień, czy jak? – dobiegł skądś wesoły, szybki
i zaciągający ciężkim, irlandzkim akcentem głos.

Podniosła wzrok, chcąc zorientować się, gdzie jest, i kto do niej
przemówił.

Powoli usiadła prosto, poczuła zeszywniałe kości i zdała sobie
sprawę, że

zasnęła na krześle z głową wspartą na biurku. Przed sobą miała
otwarty dziennik. Musiała zasnąć w trakcie pisania.

Zauważyła promienie słoneczne wpadające przez okno do środka
pokoju.

Czyżby przespała w tej pozycji całą noc?

Podniosła wzrok i ujrzała śliczną dziewczynę, w wieku około
siedemnastu lat, która stała nad nią w odległości może jednej stopy i
przyglądała się. Uroda dziewczyny, jak i nagłe pojawienie się
zaskoczyły Caitlin. Jej skóra miała odcień półprzezroczystej bieli,
jej włosy były jasnobrązowe, a oczy, wielkie i błyszczące, mieniły
się błękitem. Na twarzy dziewczyny gościł szeroki uśmiech, a jej
postawa emanowała wręcz poczuciem szczęścia i radości.

Caitlin nie miała pojęcia, ani kim była, ani dlaczego do niej
przemówiła, ale zdążyła wyczuć, że była jedną z nich – wampirem –
oraz, że była uprzejma i pogodna.

– Wiesz, że przegapiłaś poranny dzwonek – powiedziała, uśmiechając się wciąż. – Aiden nie będzie zadowolony. Nie mówiąc już o dziesiątkach ludzi, których masz poznać. Wszyscy są bardzo podekscytowani. Zwłaszcza ja –

powiedziała w pośpiechu podnieconym głosem, po czym odchyliła się i wyciągnęła przed siebie dłoń. – Jestem Polly. Twoja nowa najlepsza przyjaciółka

– jeśli mogę być na tyle zuchwała. To znaczy, jeśli zechcesz. Nie ma tu zbyt wiele podobnych nam dziewczyn. Ogromnie ucieszyłam się, kiedy cię tutaj sprowadzili. Ale ty ciągle śpisz – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Nie mogłam się doczekać, kiedy się obudzisz!

Caitlin nie wiedziała, na którą część jej przemowy zareagować najpierw.

Polubiła ją od razu. Wyciągnęła dłoń i, ścisnąwszy lodowato zimną rękę dziewczyny, przywitała się z nią. Powoli wybudzała się ze snu i próbowała ogarnąć całą sytuację. Polly mówiła szybko i z podnieceniem, a przy jej silnym, irlandzkim akcencie ciężko było wszystko od razu zrozumieć. Ale zdecydowanie sprawiła, że Caitlin zapomniała o swych niedawnych troskach.

– A to kto? – spytała Polly, a Róża podbiegła i skoczyła na nią. Polly uklękła i przytuliła Różę, na co ta zareagowała szaleńczym piskiem i polizała Polly po twarzy. – No! no! Nie powiedzieli mi o tobie! Nowy zwierzak na wyspie, co!? Podwójny powód do radości! Nie miałam pojęcia. Czy to prawdziwe wilcze szczenię? A jak się zwiesz, skarbie?

– To Róża – odparła Caitlin.

– Róża! Cudownie. Tak, idealnie. Niezła z ciebie Róża, co?

Caitlin nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nadal nie wiedziała, kim była ta dziewczyna, ani jak powinna zareagować. Wszystko działo się tak szybko.

– Wybacz... – zaczęła – możesz powtórzyć swoje imię?

– Nie jesteś sama na tej wyspie, moja droga – zaczęła Polly z uśmiechem. –

Jest tu nas wielu. Wszyscy czekają na dole. Jesteśmy, jak to się mówi, jedną, wielką rodziną. Ale nie ma sensu tu siedzieć i o tym rozmawiać. Chodźmy i przekonajmy się na własne oczy.

Wyznaczono mnie na twojego przewodnika.

Prawdę mówiąc, to zgłosiłam się na ochotniczkę. Marzyłam, by cię w końcu poznać. Chciałam być pierwsza – powiedziała i bez wahania chwyciła rękę Caitlin i wyprowadziła ją przez otwarte drzwi.

Kiedy wyszły na powietrze, Caitlin poczuła kłujący ból i wzdrygnęła się przed ostrym, słonecznym światłem. Natychmiast spuściła głowę i zasłoniła oczy dłońmi.

– Rany, jeszcze nie byłaś na zewnątrz, na słońcu, co? – spytała Polly.

Ból był intensywny, niepodobny do żadnego, jakiego doświadczyła w swoim życiu. Po raz pierwszy zetknęła się ze słońcem jako prawdziwy, pełnokrwisty wampir i doświadczenie to było przytłaczające. Próbowiła otworzyć oczy, ale nie mogła.

Poczuła dotyk miękkiej ręki na swym czole. – Odchyl się, złociutka. To nie potrwa nawet minuty.

Caitlin odchyliła głowę, a Polly wkropiła jej do oczu po dwie krople mikstury z niewielkiego pojemnika. Caitlin poczuła piekący ból i ponownie zasłoniła rękoma oczy. Poczekiła kilka sekund i w końcu zdołała je otworzyć.

Oddechnęła głęboko. Po bólu nie było śladu.

– Jesteś teraz jedną z nas – powiedziała Polly. – Paradowanie gdzie popadnie nie ujdzie ci już na sucho, tak jak człowiekowi. Słoneczne światło to teraz problem. Nie żartuję. Musisz wkrapiać te krople codziennie rano – powiedziała, wpychając jej pojemnik do ręki – i używać również okładu na skórę.

Polly przyjrzała się uważnie skórze Caitlin. – Widzę, że ktoś już to zrobił.

Dobrze, na razie wystarczy. Ale musisz go zmieniać przynajmniej raz na kilka dni.

Po czym ujęła Caitlin pod rękę i poprowadziła przez taras w dół, wąskimi kamiennymi schodami. – Rusz się, Różo, nie mamy całego dnia! – dodała.

Róża zawahała się na szczycie schodów, spoglądając w dół, aż w pewnej chwili ożywiła się i puściła pędem za nimi.

Polly roześmiała się. – Biedaczysko, pewnie umiera z głodu. Kiedy ostatnio ją karmiłaś?

Caitlin spróbowała zebrać myśli, lecz nie potrafiła sobie tego przypomnieć.

– I o ciebie zadbamy – powiedziała Polly do Róży pieszczotliwie.

W miarę, jak schodziły coraz niżej, Caitlin dochodziła do siebie. Czowała się na powrót sobą. Polubiła Polly od pierwszej chwili i już miała wrażenie, jakby знаła ją od wieków. Zyskała nową przyjaciółkę, której najwyraźniej na niej zależało. I miała też Różę. Uświadomiła sobie również, że od wielu dni nie była

na dziennym świetle. Na widok słońca i nieba jej nastrój się poprawił.

Nie wspomniawszy o tym, że Polly miała rację. Róża musiała dostać coś do jedzenia. Świat rządził się własnymi prawami i życie toczyło się dalej. Tak.

Musiała wziąć się w garść i ruszać przed siebie. Zdała sobie sprawę, że mogła żyć bez Caleba, bez względu na to, jak bolesna była to prawda.

Schodząc po schodach, Caitlin rozmyślała o wszystkich, z którymi przyjdzie się jej tutaj zaprzyjaźnić. O tym, że w zasadzie nie mogła się tego doczekać, jeśli okazaliby się podobni do Polly. Tak, musiała poznać nowych ludzi. Zrobić cokolwiek, byleby pozbyć się Caleba z własnej głowy.

Schodząc niżej po krętych schodach, Caitlin dostrzegła roztaczający się przed nią widok, niczym z lotu ptaka. Widziała całą wyspę. Była piękna.

Kamienny zamek wraz z wałami ciągnął się dookoła. Mury pięły się wysoko, gdzie indziej chyliły ku ziemi, krusząc i popadając w ruinę. Jednak część wewnętrzna, zwłaszcza ta od strony dziedzińca, była nietknięta i po prostu piękna. Dziedzińce i podwórza tętniły żywymi odcieniami zielonej trawy i ogrodów, a za murami zamku ciągnęły się akry ziemi porośniętej gęstym lasem.

Wydawałoby się, że wyspa popadła w ruinę, wbrew temu jednak była miejscem zapewniającym wygodne lokum. I ze wszystkich stron okalała ją rzeka, odbijając w swych wodach słoneczny blask. Podmuchy świeżego powietrza chłodziły schodzącą po schodach Caitlin.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała. – Mam na myśli tę wyspę. W jakim państwie?

Polly roześmiała się żartobliwie.

– Moja droga, straciłaś rozeznanie, co? Nadal jesteśmy w starych dobrych Stanach Zjednoczonych Ameryki. W gruncie rzeczy to nadal jesteśmy w Nowym Jorku. A te wody wszędzie wokoło to nie jakiś ocean, chociaż mogłoby się tak wydawać. To tylko rzeka. Hudson dla ścisłości. Jesteś w samym jej środku. I nawet niezbyt daleko od Manhattanu. Tylko siedemdziesiąt mil. Lub dwadzieścia minut lotu, uwzględniając nasz sposób przemieszczania się – powiedziała, mrugnawszy okiem.

Umysł Caitlin nie dawał sobie rady z natłokiem pytań, jednak zanim zdążyła któreś wypowiedzieć, Polly odezwała się radosnym głosem. – Tę wyspę nazywają Pollepel. Ludzie wolą nazywać ją Wyspą Bannermana, ale tylko dlatego, że nie znają jej prawdziwej nazwy. Czyli Pollepel. Leży tu od pradawnych czasów i od zawsze stanowi dla naszego rodzaju święte miejsce.

Korzystamy z niej od tysięcy lat na zasadzie wyłączności. Zakaz wstępu dla ludzi. Nawet Indianie obawiali się tego miejsca: było to praktycznie jedyne miejsce w całej Ameryce, do którego nie śmieli zaglądać. Wiedzieli, że należy do nas.

– Aż pojawili się Holendrzy, w XVII wieku, wraz ze swymi wielkimi żaglowcami. To wtedy wyspa otrzymała właściwą nazwę. Pollepel to po holendersku Polly. Nazwali ją po młodej dziewczynie, która utknęła na krze i tutaj zeszła na brzeg, uratowana przez człowieka, który później został jej mężem. To tak, w razie gdybyś chciała wiedzieć – powiedziała z uśmiechem. –

W ten sposób i ja otrzymałam swoje imię. Polly. Mam nadzieję, że ci się podoba.

Porzucili mnie tutaj, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem. Moi tak zwani rodzice.

A ten klan mnie przyjął. W zasadzie ta wyspa to jedyne znane mi miejsce. Kiedy tu wylądowałam, wampiry nie znały mojego imienia, więc dały mi nowe, po tej wyspie. Niektórzy powiadają, że nią *jestem*. Jak wspomniałam, nie znam żadnego innego miejsca. Nie dlatego, żebym nie chciała.

– Ale tu nie chodzi tylko o mnie. Często o tym zapominam – powiedziała w pośpiechu. – Żyją tu dziesiątki wampirów i wszystkie kocham – choć niesforne i czupurne w większości. Należymy do jednego klanu, Pollepel. I tworzymy, jak to się mówi, jedną wielką, szczęśliwą rodzinę – choć nie jesteśmy tak liczni i czasami do szczęścia we wspólnym gronie trochę brakuje. Takie piętno

wyciśnie na tobie życie na wyspie. Zwłaszcza, jeśli pozostaniesz nastolatką do końca swych dni.

Caitlin zerknęła w dół na stojących w niewielkich grupach nastoletnich wampirów, pogrążonych w przeróżnych formach treningu, walce na drewniane miecze, rzucaniu włócznią, skakaniu o tyczce. Odniosła wrażenie, że cały dziedziniec zamienił się w obóz wojskowy, jedynie z nieco mniejszą dyscypliną.

– Jesteśmy klanem odmieńców – ciągnęła dalej Polly. – Jest nas tu dwudziestu troje – w zasadzie dwudziestu czworo, wliczając ciebie.

Powiedziałabym, że dobrana z nas grupa. Jesteśmy tu, bo nikt inny nas nie chciał.

– Co masz na myśli? – spytała Caitlin, w końcu zdoławszy wtrącić swoje trzy grosze. Im dłużej Polly mówiła, tym bardziej Caitlin czuła się przy niej jak w domu. Jednakże, naprawdę ciężko było powiedzieć przy niej cokolwiek.

Mówiła zbyt szybko i praktycznie nie nabierała powietrza.

– Wszyscy jesteśmy wampirzymi odmieńcami – odparła Polly rzeczowo. –

Nie zostawią cię tutaj, chyba że zrobiłaś coś złego, albo jesteś potwornie męcząca. Lub ktoś, kto chce się ciebie pozbyć. Lub przed czymś uciekasz. Nasz klan przyjmuje właśnie takich, których nikt inny nie chce.

– Mnie, na przykład, porzucili tu, jako sierotę; inni trafili tu, bo są mieszańcami lub efektem zabronionych związków. Jeszcze inni zostali tu zesłani, gdyż posiadają wyjątkowe moce, niezrozumiałe w świecie pozostałych wampirów i dlatego niemożliwe do przyjęcia. Powiedziałabym, że szykuje się zabawna pogadanka w trakcie obiadu – dokończyła Polly, ponownie

mrugnawszy okiem.

A więc to dlatego Caleb mnie tutaj sprowadził – pomyślała Caitlin. – Żaden inny klan by mnie nie przyjął. A już z pewnością jego własny. Nie wiedział, dokąd mnie zabrać.

Wszystko nabrało sensu. Znów stała się wyrzutkiem. Co dziwne, tym razem miała wrażenie, że tutaj pasowała. Jakby nie była jedyną, dziwną osobą.

Może będzie mogła nawiązać tutaj przyjaźnie, odnaleźć wspólnotę, której zawsze jej brakowało. Wyspa była naprawdę przepiękna. Już

w tej chwili czuła się tu jak w domu. Może z czasem przestanie myśleć o Calebie. W zasadzie nie miała innego wyboru.

Wyszły na dziedziniec. Prowadzona przez Polly Caitlin przeszła ćwiczebny plac, wymijając po drodze kilku wampirów. Poczowała znajome skądinąd skrepowanie, jakby to był jej pierwszy dzień w nowej szkole. Uświadomiła sobie, że obawiała się tego spotkania. Miała nadzieję, że ją polubią.

– To Tyler, a to Taylor – powiedziała Polly, wskazując gestem. – Wampirze bliźnięta. Nie często się to zdarza. Ich klan się ich wyparł, więc wylądowali tutaj. Dobra nasza. Potrafią walczyć. A do tego, podczas gdy my zazwyczaj wiemy, co ktoś inny myśli, oni *naprawdę* znają swoje myśli.

Caitlin objęła ich wzrokiem. Identyczne rodzeństwo, brat i siostra, obdarzeni zostali zdumiewającą urodą. Mieli około szesnastu lat i w tej chwili walczyli ze sobą przy użyciu bambusowych mieczy, cios za ciosem, odpierając atak jeden za drugim. Walczyły zaciekle, oblewając się potem.

Kiedy Caitlin ich mijała, Taylor, bliźniacza siostra, odwróciła się, uśmiechnęła i pomachała ręką. Jej brat Tyler skorzystał z okazji, rzucił się do przodu i ciął siostrę swym bambusowym mieczem po nodze.

Taylor odwróciła się i wydarła na niego, pełna oburzenia. – To nie fair! To podłe.

Tyler tylko się roześmiał.

– Może skończycie już z tym i przyjdziecie przywitać się jak należy z naszą nową siostrą? – zbesztła ich Polly.

Siostrą. Caitlin spodobało się brzmienie tego słowa. Zawsze chciała mieć siostrę.

Kiedy Taylor i Tyler podbiegli do Caitlin, Róża skoczyła im na powitanie.

Oczy Taylor załśniły z zachwytu. – Mój Boże! Jakie чудо! – zawołała, po czym uklękła i wtuliła się w podekscytowaną Różę.

Róża polizała ją po twarzy.

Taylor wstała i mocno uściskała Caitlin.

– Mam wrażenie, jakbym znała cię od zawsze – powiedziała, odchyliła się i

przyjrzała twarzy Caitlin.

– Moja kolej – powiedział Tyler. Odsunął Taylor na bok, podszedł i również uściskał Caitlin.

Dziewczyna zdziwiła się. Nie miała za bardzo pojęcia, jak reagować. Już miała uściskać Tylera, kiedy nagle, dzięki nabytym wraz z wampiryzmem zmysłom, poczuła, jak przeszedł ją zimny prąd. Była w stanie naprawdę wyczuć uczucia tego wampira. I przeraziło ją to. Wiedziała, że ją pociąga.

Szybko wyswobodziła się z jego objęć, czując, jakby zdradzała Caleba. Tyler popatrzył na nią, a ona wyczuła jego magię niemal jak coś namacalnego.

– Ał! – wrzasnął Tyler.

Odwrócił się i zobaczył Taylor, która zadała mu swym bambusowym mieczem cios w plecy.

– O, tyle dostaniesz! – powiedziała Taylor. – Zostaw ją w spokoju.

Caitlin uśmiechnęła się i pomachała ręką. Polly chwyciła ją i pociągnęła dalej przez umocnienia zamku. Wkrótce podały inną ścieżką, prowadzącą na inny dziedziniec.

– Większość z nas teraz śpi – powiedziała. – Możemy oczywiście przebywać na słońcu, jednak większość tego unika. Jedynymi wampirami, które o tej porze nie śpią, są ci pełniący straż lub trenujący, przymuszeni do tego przez Aidenę.

– Aidenę? – zapytała Caitlin.

– Jest przywódcą naszego klanu. Coś jak trener, mentor i dyrektor szkoły w jednym. Jest wiekowy. I był tu od zawsze, pewnie dłużej nawet od tej wyspy.

Nikt nie wie dokładnie, kiedy tu przybył, ale z pewnością ma tysiące lat. I jest kochany, o tyle, o ile jesteś po jego stronie. To on wytyczy ci tutaj zadania. On utrzymuje to wszystko w porządku. I to on pilnuje, byśmy nie zeszli z właściwej drogi. Wszyscy odpowiadamy tutaj przed nim – jeśli chcemy tu zostać oczywiście. Mimo to, jest dla nas kimś w rodzaju ojca. Bardziej, niż kimkolwiek innym. I w dodatku jest jednym z najlepszych trenerów wampirów w okolicy.

– W każdym razie jest tak, jak mówiłam. Większość z nas teraz śpi.

Zobaczysz ich w pełnej okazałości dziś wieczór. O, widzisz – to tam śpimy.

Caitlin spojrzała w tę stronę. Przechodząc pod kolejnym kamiennym łukiem, zobaczyła kilka strzelistych drzwi na uboczu, prowadzących

do wnętrza zamku.

– A tam jemy – ciągnęła dalej, żywo gestykułując.

Caitlin ujrzała wielki, kamienny stół, wystarczająco długi, by pomieścić przynajmniej trzydzieści osób, stojący na brzegu dziedzińca.

– Zmieniamy się. Zazwyczaj któryś z nas zajmuje się łowiectwem, polując na jelenie, które potem wszyscy tutaj jemy. Na szczęście – ta wyspa obfituje w zwierzynę. Gęste lasy ciągną się w nieskończoność, jakbyś jeszcze nie zauważyła. Tak więc, osoba pełniąca ten obowiązek zapewnia mięso dla

wszystkich. To jedna z zasad Aideny. Chce, byśmy jedli razem, jak cywilizowani ludzie. W zasadzie, więcej w tym picia niż jedzenia, ale przynajmniej robimy to w swoim towarzystwie.

Róża podbiegła do stołu, wskoczyła na niego i zaczęła wszystko obwąchiwać. Wkrótce z jej pyszczka rozległ się skowyt.

– Chyba jest głodna – powiedziała Caitlin. – Jest tutaj coś do jedzenia?

Polly uśmiechnęła się. – Myślę, że możemy temu zaradzić.

Podeszła do kamiennego kotła, podniosła pokrywę, sięgnęła do środka i po chwili wyjęła kawał surowego mięsa. Na jego widok oczy Róży rozbliły się.

Polly rzuciła mięso na dziedziniec, a Róża skoczyła za nim, chwyciła i zjadła z rozkoszą.

– Dzięki – powiedziała wdzięczna Caitlin. Nie miała pojęcia, co by poczęła bez Polly.

– Surowego mięsa ci u nas dostatek – odparła Polly z uśmiechem. – Róża będzie miała tu jak w niebie.

Nagle Róża warknęła niskim, gardłowym głosem, czym zaskoczyła Caitlin kompletnie. Nigdy jeszcze nie słyszała, aby Róża wydała z siebie dźwięk choćby w połowie przypominający to warknięcie. Przyszło jej do głowy, że może ktoś lub jakieś zwierzę zbliżyło się do niej, kiedy ta jadła. Obejrzała się, niczego jednak nie zauważyła. Podążyła za wzrokiem Róży.

Z oddali zbliżał się do nich nastoletni wampir. Ubrany całkowicie na czarno, miał ponury wyraz twarzy, a jego wielkie czarne oczy płonęły dziką nienawiścią.

Nawet z tej odległości Caitlin wyczuła emanującą z niego mroczną energię.

Wyczuła też, jak Polly w jednej chwili się spięła.

– To Cain – powiedziała Polly. – Jest jednym z nas. Nie zawsze jednak tak postępuje. Ma poważny problem z okazywaniem serdeczności. Potrafi być prawdziwą zakałą tego miejsca. Myślę, że przede wszystkim dlatego go tu zesłali – nikt inny nie chciał mieć z nim do czynienia. Prosiłmy Aidenę, żeby wyrzucił go stąd, ale odmówił. Nadal wierzy, że może go wyleczyć, czymkolwiek to jest. Ja osobiście tej wiary nie podzielam. Nie mogę znieść jego widoku. Zazwyczaj jednak w pobliżu jest nas więcej i wówczas łatwiej z nim wytrzymać. W zasadzie rzadko go widuję. Musiał wyczuć twoją obecność.

Nowo przybyłej. A oto i on – zawsze gotowy walczyć o swoje terytorium. Nie dorównuję mu niestety siłą. Biliśmy się już kilka razy, ale zawsze przegrywałam.

I odczuwałam to boleśnie. A Aidenę nigdy nie było w pobliżu. Cain poniósł

karę, ale nie na wiele się to zdało. Przykro mi, ale obiecuję, że pozostali z nas są świetni. Jak każda rodzina i my mamy swoją czarną owcę.

Kiedy Polly kończyła mówić, Cain zbliżył się do nich na niecałe trzydzieści metrów.

Róża warczała coraz głośniejsz z każdym jego krokiem. Kiedy mijał ją, zaszczekała, a on z całych sił zderzył ją po nosie. Róża zaskowyczała i skuliła się. Była przecież jeszcze szczeniakiem.

Caitlin poczuła oburzenie.

– Jak śmiesz dotykać mojego psa! – wrzasnęła.

– I ty to nazywasz psem? – odparł Cain głębokim, gardłowym głosem.

Caitlin czuła wzbierający gniew. Pierwszy raz poczuła wampirzą złość i było to uczucie o wiele silniejsze od tego, które odczuwała jako człowiek. Miała nadzieję, że uda się jej nad tym zapanować.

Cain zatrzymał się kilka kroków przed nimi. Zmierzył Caitlin wzrokiem z nachmurzoną miną. Caitlin zaś poczuła, jakby ją gwałcił.

– A więc, cóż to za hołotę wyrzuciło na brzeg? – spytał, piorunując ją wzrokiem.

– Jak śmiesz tak do niej mówić! – powiedziała Polly.

Cain spojrzął na nią złośliwie. – Będę mówił, jak mi się podoba – powiedział

powoli. – I nic na to nie poradzisz.

Odwrócił się w kierunku Caitlin.

– Zadałem ci pytanie.

Caitlin spojrzała w jego ciemne, dzikie oczy i poczuła wyzierającą z nich nienawiść.

– To nie było pytanie – skwitowała Caitlin. – A nawet jeśli, to i tak nie odpowiedziałabym na nie – dodała wyzywająco przez zaciśnięte zęby.

Cain potrząsnął głową powoli i uśmiechnął się.

– Dużo musisz się jeszcze nauczyć – powiedział. – Przekonać, kto tu jest szefem.

– Ty akurat nim nie jesteś – powiedziała Polly. – Nawet jeśli uważasz–

W jednej chwili Cain wziął zamach i uderzył Polly w twarz. Wszystko stało się tak szybko. Polly stała zszokowana, a Caitlin zauważyła, że zbyt się go bała, aby mu oddać.

Caitlin jednak przeciwnie. Nie potrafiła już dłużej nad sobą zapanować.

Pozwoliła, by gniew przejął nad nią kontrolę. Usłyszała, jak z jej wnętrza wydobywa się gardłowy pomruk, po czym odchyliła się i zaryczała.

Rzuciła się na Caina z wyciągniętymi rękoma, celując w szyję. Chwyliła ją obiema rękoma i dalej nacierała, pchając go do tyłu dalej i dalej.

Cain gapił się na nią zszokowany, z wybałuszonymi oczyma, nie mogąc oddychać, najwyraźniej zaskoczony, że ktoś śmiał stawić mu czoła.

Podniósł dłonie i chwycił nadgarstki Caitlin, próbując wyszarpnąć się z ich uścisku. Pewnie założył, że mu się to uda, jako że był najsilniejszy na wyspie.

Jednak czekał go kolejny zawód. Caitlin miała w sobie siłę, której Cain

najwyraźniej się nie spodziewał. Nie był w stanie podważyć jej palców.

W końcu Caitlin przyparła go do samej ziemi. Wylądowała na nim z obiema rękoma nadal zaciśniętymi na jego szyi, dusząc go na śmierć.

Cain walczył i wierzgał, ale nie był w stanie nic zrobić. Caitlin wygrywała i miała za chwilę go zabić.

Mimo tego, że była w amoku, Caitlin zastanawiała się, czy jeden wampir mógł zabić drugiego. I im dłużej dusiła Caina, tym bardziej była pewna, że jest to możliwe. I że to zrobi. Nie miała zamiaru się powstrzymać.

Jak przez mgłę usłyszała dzwonienie i w kilka sekund dziedziniec wypełnił

się wampirami, dziesiątkami wampirów tłoczących się wkoło, obserwujących i krzyczących. Cały klan zbiegł się tutaj, aby zobaczyć walkę.

I najwyraźniej nikomu nie przyszło na myśl się wtrącać. A może wszyscy ucieszyliby się ze śmierci Caina.

Ona również. Cały zgromadzony w niej gniew, cały zamęt i rozczarowanie –

z powodu Caleba, jak i jej brata – scaliły się w jedno i znalazły teraz ujście, cel w postaci tego łobuza. Chciał poznać się, ale wybrał niewłaściwą dziewczynę w niewłaściwym momencie.

Jeśli Caitlin miała być czegokolwiek pewna, to tego, że naprawdę udusi tego wampira.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Caleb szybował nad Manhattanem w mroku nocy, a jego tropem podążała Sera. W pewnym momencie zniżył lot i, przelatując nad Bronksem, dostrzegł

swoim przenikliwym wzrokiem szczegóły tego, co działo się poniżej. Totalny chaos. Ludzie walczyli ze sobą nawzajem, plądrowali sklepy. Pozostawiali samochody na ulicach gdzie popadnie. Jakby wybuchła jakaś wojna.

Co gorsza, Caleb zauważył też wampiry z klanu Blacktide przechadzające się po ulicach i atakujące ludzi, którzy uciekali przed

nimi, przed sobą nawzajem, przed zarażonymi dzumą, czy też przed nielicznymi przedstawicielami władzy. Nie było wiadomo, kto jest napastnikiem, a kto atakowanym. To było oczywiste. Jak i to, że zwycięzcami były wampiry.

Ucztowały na ludziach w szaleńczym opętaniu. Ulice spływały krwią.

W jednej chwili Caleb poczuł smutek. Współczuł ludziom, ale też był zły, że inne klany wampirów dopuściły się bezkarnej rzezi i to w tak bliskim sąsiedztwie jego własnego klanu. Najwyraźniej ktoś za tym stał. Zapewne Kyle wrócił do swego klanu z mieczem i teraz czuli się niezwycczeni.

Kwestią czasu był zatem atak na klan Caleba. Wówczas jednak, i Caleb dobrze o tym wiedział, będzie dla niego za późno.

Przeleciał nad wałami Cloisters i wylądował na szerokim zewnętrznym tarasie. Sera wylądowała tuż za nim. Nadal trzymała się go uparcie, podążając za nim krok w krok. Wydawało się, że Caleb nie jest w stanie się jej pozbyć.

Przyleciała za nim całą drogę z wyspy Pollepel. Wiedział, że to zrobi. Nie oznaczało to jednak, że musiał się z tym godzić.

Przyleciała na Pollepel z misją, by sprowadzić go do domu. Teraz, kiedy już tu był, pewnie wyobrażała sobie, że oto odniosła zwycięstwo. Caleb jednak nie miał zamiaru pozwolić jej cieszyć się tą chwilą. Wrócił tu z własnej woli, powodowany własnymi decyzjami. Sera nie potrafiła tego dostrzec. Nie chciała zrozumieć, że nic dla niego nie znaczyła.

Caleb pokonał taras szybkim krokiem, wymijając dziesiątki strażników, którzy w jego obecności stawali na baczność. Nigdy nie widział takiego pokazu siły; jego klan musiał naprawdę mieć się na baczności. Zazwyczaj stacjonowało tu dwóch strażników; teraz, zerknąwszy szybko, naliczył przynajmniej pięćdziesięciu. Wyłącznie żołnierzy, uzbrojonych i wpatrujących się w nocne niebo.

Caleb był pewien, że zaatakowałby go, zanim jeszcze zdążyłby wylądować, gdyby go wcześniej nie rozpoznali.

– Nie zaczekasz na mnie? – spytała Sera, maszerując tuż obok, kiedy wielkie, strzeliste drzwi otworzyły się przed nim na oścież.

Caleb zignorował ją i szedł dalej – aż poczuł lodowaty uścisk jej dłoni na ramieniu, jej palców wbijających mu się w ciało. Zatrzymała go i obróciła twarzą do siebie.

– Nie pozwolę, byś nie okazywał mi szacunku przed naszym ludem
–

warknęła ściszym głosem. – Wejdziemy razem. Nadal jesteśmy parą.

– Nie jesteśmy *żadną* parą – odparował Caleb. – Nie wiem, ile razy mam ci to powtarzać.

– Tylko dlatego, że ty tak uważasz nie oznacza, że nią nie jesteśmy – odcięła się Sera równie stanowczo. – Ożeniłeś się ze mną sześćset lat temu. W świecie wampirów nie istnieją rozwody. Nasza separacja nigdy nie została usankcjonowana.

– Nie zależy mi na tym – odparł Caleb. – Nasze małżeństwo było pomyłką.

Minęło już sześćset lat. Naprawdę musisz się z tym pogodzić. I nikt, żadna władza nie będzie mi mówić, czy mogę żyć w separacji, czy nie.

– Ależ oczywiście, że tak – powiedziała Sera. – Bez ich aprobaty łamiesz prawo. Narażasz się na karę. Zawsze już tak będzie.

Caleb roześmiał się drwiąco. – Rzeczywiście żyjesz złudzeniami. Naprawdę uważasz, że obawiam się kary, czy to z ich strony, czy kogokolwiek innego? W

moim życiu nigdy nie było miejsca na strach przed jakąś władzą.

Podeszła do niego blisko, tak, aby spoglądający na nich strażnicy nie usłyszeli jej słów.

I wyszeptała: – Mogę powiedzieć im coś jeszcze. O tobie i tym człowieku. O

Caitlin. Pogwałciłeś nasze święte prawo, zaciągając ją do łóżka. Wiesz, jaka grozi za to kara.

Caleb spojrzał na nią gniewnym wzrokiem.

– A nawet więcej. O wiele więcej. Mogę powiedzieć im, że ją przemieniłeś.

Na to również nikt nie wyraził zgody. I tego *nigdy* nie będą w stanie zaakceptować. Wiesz, że za to gotowi są cię zglądzić.

Caleb zacisnął szczękę.

– To im powiedz – powiedział, zmuszając ją do odkrycia kart.

Spojrzała na niego zimnym, kamiennym wzrokiem. Wiedział, że Sera nigdy nie wyjawi prawdy. Gdyby zabili Caleba, zostałaby sama

i nie miałyby kogo prześladować. Potrzebny był jej żywy. Jej groźby pozostawały bezowocne tak długo, jak chciała go szantażować.

Nawet gdyby zdecydowała się powiedzieć, Caleb miał to naprawdę gdzieś.

Miał dość płaszczenia się przed organizacjami wampirów. Miał zamiar żyć tak, jak chciał. Bezpieczeństwo klanu nie znaczyło dla niego już tak wiele, jak

kiedyś. Nie po to tu był, żeby błagać ich o przebaczenie. Przyleciał tu, aby ich ostrzec, ocalić. Gdyby nie chcieli przyjąć jego pomocy, byłby równie szczęśliwy mogąc w końcu opuścić to miejsce na zawsze.

Tęsknił za Caitlin. Rozpaczliwie. Odczuwał tę żalność jakby była czymś namacalnym, czymś ciężącym na jego sercu. Nie mógł znieść rozłąki. A jeszcze bardziej świadomości, że będąc z dala od Caitlin, musiał zadawać się z Serą.

Szaloną babą, która najzwyczajniej w świecie nie chciała pogodzić się z rzeczywistością.

Odwrócił się i wszedł przez drzwi na wewnętrzny, kamienny dziedziniec.

Sera ruszyła natychmiast za nim. Nie chciała się odzepić, no. Przeszli oboje strzelistym, kamiennym korytarzem, ramię w ramię, Sera, udając przed całym światem, że byli małżeństwem.

Minęli kolejny korytarz, skręcili w niewielkie, kamienne, zwieńczone łukiem przejście i znaleźli się na szerokim podeście wiodących w dół schodów. Tam czekał już na nich brat Caleba. Samuel.

Stał z ponurą miną w otoczeniu tuzina wampirów-żołnierzy.

Caleb zatrzymał się i spojrzał mu w oczy. Byli sobie bliscy, tak bardzo, jak to możliwe w przypadku braci, ale mimo to nie okazywali tego na zewnątrz. Nie padli sobie w objęcia, nawet nie uścisnęli dłoni. Po prostu stali o kilka kroków od siebie, patrząc jeden na drugiego, po czym skinęli głowami na znak szacunku i uznania.

– Calebie – powiedział Samuel beznamiętnie.

– Samuelu – odparł Caleb.

– Wróciłeś do nas – powiedział Samuel. – To dobrze. Jesteś nam teraz potrzebny.

– Mam wiele do powiedzenia Radzie – odparł Caleb. – Mam też nadzieję, że zechcą mnie wysłuchać.

Samuel skinął głową niezauważalnie. – Ja również – dodał.

Żołnierze Samuela rozstąpili się i przepuścili Caleba i Serę, po czym podążyli za nimi w dół wijącymi się schodami. Całą grupą zeszli na niższy poziom klasztoru, minęli pomieszczenie z sarkofagami, następne z artefaktami, aż w końcu dotarli do odgradzonych liną, kręconych schodów.

Dwóch strażników stojących obok ustąpiło z drogi. Jeden z nich zabrał linę i otworzył znajdujące się dalej drewniane drzwi. Jako pierwszy wszedł Caleb. Za nim – reszta i wkrótce schodzili już całą grupą coraz niżej i niżej pod zabudowania klasztoru.

Weszli do wielkiej podziemnej komnaty, długiej na setki stóp, szerokiej i wysokiej. Tym razem jednak, w przeciwieństwie do wcześniejszych wizyt Caleba w tym miejscu, pomieszczenie wypełniały tłumy wampirów należących

do jego klanu. Nigdy nie widział jeszcze, aby stawili się aż tak licznie.

Zazwyczaj wałęsało się tu kilkoro. W tej chwili zaś musiało tu być z tysiąc członków jego klanu. Wampirów, których nie widział od setek lat, które wypełniły salę po brzegi i z oburzeniem dyskutowały między sobą ostrym tonem.

Kiedy Caleb razem ze swą świtą wszedł do sali, panujący w niej rwetes zaczął cichnąć i cała uwaga skupiła się na jego grupie. Zgromadzeni rozstąpili się przed nimi i z wolna ucichli. Zapanowała pełna wyczekiwania cisza.

Wiedzieli, dokąd Caleb był prowadzony. Po drugiej, odległej stronie komnaty, na wywyższeniu, zasiadała Najwyższa Rada, organ złożony z siedmiu sędziów. Władze ich klanu. Zazwyczaj Rada obradowała w bocznej komnacie, lecz w noce takie jak obecna, kiedy nadchodził bezprecedensowy kryzys, Rada spotykała się w tej wielkiej komnacie.

Zgodnie z przypuszczeniami Caleba, członkowie Rady siedzieli już na swoich miejscach, spoglądając gniewnie na niego. Usiłował przypomnieć sobie choćby jedną okazję z ostatnich tysięcy lat, kiedy na ich twarzach pojawiło się coś więcej aniżeli osąd. Podejrzewał, że ta noc będzie najgorsza ze wszystkich.

Sędziowie należeli do starej gwardii i wraz z upływem wieków Caleb nabierał przekonania, że coraz mniej nadają się na

przywódców jego klanu. Ich wyroki były archaiczne, nie przystawały do nowych czasów. Ich osąd był zbyt sztywny i bezkompromisowy. Oczywiście utrzymywali, że to właśnie dzięki ich sztywnym poglądom klan przetrwał przez te wszystkie tysiące lat. Caleb jednak był innego zdania, zwłaszcza ostatnio. Ich nieugięta postawa w jego mniemaniu zaczynała zagrażać bezpieczeństwu klanu w szybko zmieniających się teraz czasach.

Podejrzewał, jak zareagują na jego doniesienia. Powiedzą, żeby powstrzymać się od jakiegokolwiek działania. Przeczekać. Nie mieszać się do tego. Ich typowa metoda działania. Zawsze konserwatywni, bezpieczni i cierpliwi. Zawsze przeciwni zmianom.

Tym razem mieli powód, by być na niego źli. Udowodnił, że byli w błędzie.

Kilka tygodni wcześniej uparcie twierdził, że miecz istnieje, że Caitlin ich do niego doprowadzi. Oni zaś storpedowali jego opinię, twierdząc, że taki miecz istniał tylko w bajkach, dziecięcych opowieściach. Teraz natomiast okazało się, że miał rację. Z tego powodu prawdopodobnie wszyscy zebrani w komnacie członkowie klanu ucichli na jego widok, okazując mu w ten sposób szacunek.

Prawdopodobnie również dlatego Rada spoglądała na niego tym razem surowiej, niż zwykle.

Wszyscy znieruchomieli, kiedy Caleb przystanął kilka kroków przed Radą.

Sędziowie spoglądali na niego gniewnie w ciszy.

Caleb miał świadomość tego, że powinien uklonić się i oddać im cześć.

Jakoś jednak nie miał na to ochoty. Już nie. Nic im nie był winien. Wyrzucili go, a on nie po to wrócił, by o coś ich prosić. Wrócił, by ich ocalić. Czy na to zasługiwali, czy nie.

Wyraz ich twarzy stał się jeszcze bardziej zacięty.

– Calebie z Białego Klanu – zaczął główny sędzia, siedzący pośrodku Rady.

– Wezwaliśmy cię tu, byś złożył raport. Najpierw jednak musisz odpowiedzieć za swoje zbrodnie. Złamałeś prawo, opuszczając to miejsce bez pozwolenia. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Caleb gapił się na nich bezczelnie.

– Wróciłem tu dzisiaj, żeby was ostrzec, i ocalić. Nie po to, by prosić was o przebaczenie – warknął.

Z tłumu dały się słyszeć okrzyki zdziwienia. Nikt nigdy nie przemawiał do Rady w ten sposób.

– CISZA! – wrzasnął administrator i huknął żelazną laską o kamienną podłogę. Po chwili tłum ucichł.

– Naprawdę? – powiedział jeden z sędziów. – Ocalić przed *czym*, tak dokładnie?

– Nie zauważyliście, co dzieje się na zewnątrz pod waszymi drzwiami? –

spytał Caleb. – Nie zauważyliście, że wybuchła wojna i w tej chwili rozprzestrzenia się po Manhattanie?

– Zauważyliśmy. Nie ty jeden zostałeś obdarzony zmysłem obserwacji.

Czemu mielibyśmy się tym przejmować?

– Przejmować? – spytał Caleb w osłupieniu. Czy ci ludzie naprawdę byli aż tak lekceważący, tak obojętni? Czy naprawdę ich serca stały się aż tak zatwardziałe, nieczułe na krzywdę ludzkiej rasy?

– Jeśli sądzą, że ta wojna ograniczy się tylko do ludzi, to grubo się mylicie

– kontynuował Caleb. – Tę wojnę wszczął klan Blacktide. Kiedy zetrą ludzi w proch, zapewniam, że skupią całą uwagę na nas, na wszystkich naszych braciach i siostrach, wszystkich klanach w całym Manhattanie – jeśli nie całym kraju. To początek wojny na wielką skalę.

– Lub po prostu zależy im na tym, żeby nas sprowokować – odciął się inny sędzia. – Może właśnie liczą na to, że zareagujemy. Chcą, byśmy opuścili naszą twierdzę. Na zewnątrz będziemy bardziej podatni na atak. Opuszczenie tych murów to najgłupsza rzecz, jaką moglibyśmy zrobić.

Caleb potrząsnął głową w zdumieniu. Nie potrafił uwierzyć w rozmiar ignorancji tego wampira. Zbyt dużo czasu spędzili, chowając się za bezpiecznymi murami tego miejsca.

– Mylisz się – powiedział Caleb.

Tłum ponownie zareagował okrzykami zdziwienia i administrator raz po raz uderzył laską o posadzkę.

– To nie jest wojna na niby – kontynuował Caleb. – Ani żaden podstęp. To nie wybieg mający was wywabić z kryjówek. To rzeczywistość. Kiedy dobiegnie końca, każdy człowiek na tej wyspie będzie martwy. A klan Blacktide i wszystkie zaprzyjaźnione z nim klany będą syte krwią, silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Zapewniam was, że kiedy już będą gotowi, skoncentrują wszystkie siły na naszym klanie. Czekaając tu, pozwalając, by przybierali na sile, wystawiacie się – i nas wszystkich – na celownik. I jeśli zbyt długo będziecie zwlekać, w pewnej chwili okaże się, że jest już za późno.

– Co więcej, dysponują tajemniczą bronią – dodał, przygotowując się na ich reakcję. – Mają miecz.

Pomieszczenie wypełniło się głośnym, bezładnym szemraniem. Bez względu na to, jak głośno krzyczeli administratorzy, domagając się ciszy, nie byli w stanie stłumić szeptów. Trwało to kilka długich minut.

– Widziałem go! – zawołał Caleb, przekrzykując tłum i sprawiając, że powoli zapanowała cisza. – Widziałem na własne oczy. On naprawdę istnieje. To nie żadna bajka. Jest jak najbardziej prawdziwy. I w tej chwili ma go klan Blacktide. To broń, jakiej jeszcze nigdy nie widzieliśmy. I z całą pewnością przyniesie nam zagładę. Za jego przyczyną nieśmiertelność odchodzi do lamusa.

– Powiadasz, że go widziałeś – powiedział inny sędzia. – Jeśli tak było, to dlaczego go nie masz? Dlaczego nie przyniosłeś go do nas?

Tego pytania Caleb obawiał się najbardziej. Odpowiedź na nie była powodem jego wstydu.

– Gdyż zawiodłem – powiedział wprost. – Wpadłem w zasadzkę. Było ich zbyt wielu. Wypuściłem go z ręki. Za to biorę pełną odpowiedzialność.

– I z tego powodu przybyłem tu, by was ostrzec. Oni *naprawdę* mają ten miecz. Zaczęli tę wojnę. Wkrótce dotrze i do nas. Musimy działać i to natychmiast.

– Proponuję wysłać nasze legiony, by zaatakowały, zanim tamci urosną w siłę. Jeśli skoncentrujemy wszystkie siły na nich, jeśli weźmiemy ich z zaskoczenia, być może zdołamy powstrzymać ich w centrum miasta i odzyskać miecz. Liczy się czas i zaskoczenie. Z chęcią pierwszy stanę do boju.

W pomieszczeniu odezwały się kolejne szepty. Sędziowie wymienili spojrzenia, tym razem zdziwieni. Zaczęli dyskutować między sobą i

trwało to jakąś chwilę.

W końcu, siedzący po środku sędzia odchrząknął, a administratorzy uderzyli laskami przywracając spokój w komnacie.

– Nie mylisz się co do jednego, Calebie – odezwali się sędziowie. –

Rzeczywiście zawiodłeś. Przeciwstawiłeś się nam, a jeśli to, co powiedziałaś o mieczu jest prawdą, to ty i tylko ty jesteś winien jego utraty. Nie przybyłeś tu, by nas ocalić. Sprowadziłeś na klan, na swój lud jedynie krzywdę i niebezpieczeństwo. Powinieneś się wstydzić.

– I do tego bezczelnie twierdzisz, że możesz nas ocalić. Jesteś tylko jednym z wielu. Wszyscy żyjemy tu wspólnie od tysięcy lat. Nie potrzebna nam twoja pomoc, cokolwiek sobie myślisz. To nasza twierdza. Od zawsze. Mamy tu wszelką możliwą broń, dzięki której odeprzemy każdy atak. I to tutaj mamy liczebną przewagę. Na zewnątrz nasze siły zostaną rozdzielone, stracimy swoją moc.

– Nie. Najlepszym wyjściem dla nas będzie pozostać tutaj i tu stoczyć walkę, jeśli w ogóle do niej dojdzie. W co nawet nie chce nam się wierzyć. Najpewniej wszystko wkrótce ucichnie, jak zwykle zresztą.

– A co z ludźmi? – spytał Caleb. – Pozwolicie, by najzwyczajniej w świecie zostali wyrżnięci co do jednego? Czy nie mamy obowiązku ich ocalić?

– Mamy obowiązek tylko wobec samych siebie, naszego klanu. Ratujemy ludzi tylko wtedy, gdy przynosi to nam jakąś korzyść. Teraz tak nie jest.

Możemy pozwolić im umrzeć Zawsze przyjdą kolejni. My zaś – jesteśmy wyjątkową rasą.

– Jakie to wygodne – powiedział Caleb. – Ratować ludzi, kiedy przynosi wam to korzyść. Jakoś nie brzmi mi to jak credo wojownika.

Sędzia spojrział na niego z nachmurzoną miną.

– Zamykam posiedzenie. Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, zostałeś skazany na pięćdziesiąt lat odosobnienia. Tym razem twoją karą będzie wygnanie. Od tej chwili nie jesteś już członkiem tego klanu. Nigdy już nie będziesz tutaj mile widziany. Jeśli jednak pojawisz się tu, zostaniesz zabity bez ostrzeżenia. Zabierz swoje rzeczy i zejdź nam z oczu.

Po tych słowach zabrzmiało uderzenie laski i w sali zapanował chaos.

*

Caleb wybiegł z wielkiej sali. Ruszył z powrotem korytarzem, w górę po krętych schodach, pokonując po dwa stopnie na raz. Musiał wydostać się stąd, zostawić za sobą wewnętrzne polityczne gierki, którymi gardził. Wszystkie te orzeczenia, wyroki, odwlekanie... to wszystko było takie oldskulowe, tak odporne na zmiany. I tak przewidywalne. Nie mógł tego znieść.

Był zadowolony, że w końcu formalnie go wygnali. Przynajmniej stało się to oficjalne. Głęboko w sercu czuł, że nie było tu już dla niego miejsca. Jedyne prawdziwa więź, jaką jeszcze odczuwał dotyczyła jego brata. I wspomnień.

Wypadł z krętych schodów na niższą kondygnację Cloisters i w tym samym momencie poczuł uścisk silnej dłoni na ramieniu. Odwrócił się.

Samuel spojrzał z wyrazem troski wrytej na czole. Za nim przystanąły dziesiątki żołnierzy.

– Gdzie pójdziesz? – zapytał.

Caleb sam nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Był pewny jedynie tego, że tu nie zostanie. Że nie może stanąć na uboczu i pozwolić wszystkim ludziom zginąć. Wiedział też, że musi zaatakować klan Blacktide, spróbować odzyskać miecz. Jeśli miał to zrobić w pojedynkę, to trudno. Niech i tak będzie. Wiedział, że to samobójstwo, ale musiał spróbować.

– Odzyskać miecz – odparł.

– Sam?

– A jaki mam wybór? To mi go wykradli. Czuję, że to mój obowiązek. Poza tym, nie mogę pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie umarli. Nie na mojej warcie.

Samuel skinął głową. – Widzę, że niektóre sprawy nigdy się nie zmieniają.

Jesteś zuchwały. I odważny.

Caleb pozwolił sobie na uśmiezek. – To rodzinne, mój bracie.

– Ja również jestem niezadowolony z Rady – powiedział Samuel. – I zgadzam się z tobą. Wojnę należy rozpocząć już teraz. Nie

możemy czekać. Tak jak mówiłeś, urosną w siłę, a my, siedząc tutaj, tylko ją tracimy.

Caleb zmierzył wzrokiem brata.

– Jestem z tobą – powiedział Samuel. – Moi ludzie również.

Samuel wyciągnął rękę, Caleb chwycił ją i bracia uścisnęli się serdecznie.

Jak to było od tysiący lat, Caleb i Samuel szli razem do boju. Niczego więcej Calebowi nie było trzeba. Teraz czuł, że mógłby wojować ze wszystkimi legionami świata, a jeśli przyszłoby mu umrzeć, przynajmniej skończyłby u boku brata.

– Musimy zabrać broń – powiedział Samuel. – Tą świętą.

Caleb popatrzył na niego przez chwilę i coś sobie przypomniał. Oczywiście.

Odwrócili się i poszli korytarzem do niewielkiego skarbcza klasztoru.

Zatrzymali się przed szklaną, pionową gablotą, w której spoczywała długa na cztery stopy, zrobiona z kości słoniowej laska. Misternie rzeźbiona, zaokrąglona na jednym końcu, nosiła kunsztowne ryty na całej powierzchni.

Samuel chwycił obiema rękoma szklaną witrynę, delikatnie uniósł i odstawił

na bok. Mogli się teraz lepiej jej przyjrzeć: laska w całości wyrzeźbiona z kości słoniowej była jedną z najpotężniejszych broni ich klanu. Pozostawała pod ich opieką od tysiący lat i miała służyć w okresie najcięższych wojen.

– Możemy ją zabrać?

– Jest twoja – powiedział Samuel. – Wygrałeś ją w walce. Żaden inny członek tego klanu nie zasługuje na nią bardziej od ciebie. No, bierz.

Caleb sięgnął po broń i powoli zacisnął wokół niej palce. Poczul, jak przez

całe jego ciało przeszedł prąd. Zamknął oczy i nabrał powietrza, przypominając sobie odległe o tysiące lat czasy. Była to zadziwiająca broń. Może nie dorównywała magii miecza, który znaleźli w King's Chapel, lecz i tak drzemała w niej potężna moc. Potrafiła okaleczać wampiry, zwłaszcza te o złych skłonnościach.

Caleb chwycił ją dwiema rękoma, przyciągnął do siebie i objął badawczym spojrzeniem.

W tym samym czasie Samuel sięgnął po obszerną, błękitną pelerynę wiszącą za laską. Peleryna obdarzona była mocą i chroniła ich rodzaj od tysięcy lat.

Wampir, który ją przyodziął, był niemal niezwyciężony. I od zawsze miała być noszona przez tego, który dzierżył laskę.

Samuel zarzucił pelerynę na ramiona Caleba. Ten poczuł moc przeszywającą całe jego ciało w miarę jak tkanina owinęła się wokół niego. W pelerynie i z laską w dłoni Caleb poczuł się niepokonany, gotowy do walki.

– A ty? – Caleb zapytał brata.

Przyszły mu na myśl różne niesamowite rodzaje broni pochowane w całym Cloisters. Miecze, pałki, tarcze, pancerze – prawdziwy arsenał. Zastanawiał się, co Samuel wybierze dla siebie.

Brat postąpił zaledwie kilka kroków, na środek pomieszczenia, uniósł

niewielką szklaną witrynę i postawił ją na ziemi.

– A jakże. Samuel sięgnął po swoją ulubioną broń.

Święty szpon. Wielką rękawicę zrobioną w całości ze złota, z dwoma rozczapierzonymi palcami. Była to niesamowita broń, służąca zarówno do ataku, jak i obrony, która obdarzała noszącego ją wampira niewiarygodną mocą.

Samuel podniósł ją i nałożył na prawą rękę. I natychmiast sprawił wrażenie potężnego.

– A co z nami? – wrzasnął ktoś nagle.

Znikąd pojawiła się Sera i stanęła pomiędzy braćmi, spoglądając gniewnie na Caleba.

– O nas zapomniacie? – wrzasnęła do Caleba z wściekłością. – Nigdzie nie idziesz. Zostajesz tutaj, cały i zdrow, razem ze mną.

Orzeczenie Rady nic nie znaczy w czasie wojny. Możesz zostać tu, być bezpieczny, razem ze mną. Nie idziesz na żadną wojnę. I ty też nie –

powiedziała, zwróciwszy się do Samuela. – Obaj jesteście głupi i lekkomyślni. I obaj z pewnością zginiecie. Zwłaszcza, jeśli miecz istnieje naprawdę. Wasza broń może i jest potężna, ale w najmniejszym stopniu nie dorównuje mieczowi.

– Ta decyzja należy do Caleba – powiedział Samuel.

– Nieprawda! – wrzasnęła Sera. – Caleb jest mój!

Bezradny wobec argumentów Sery, Samuel spojrział na Caleba.

– Daj nam minutę – powiedział Caleb i, chwyciwszy Serę za ramię, wyprowadził ją ze skarbca.

– Tylko szybko – dodał Samuel. – Nie mamy zbyt dużo czasu.

*

Zanim jeszcze zdążyli wejść do bocznej komnaty, Sera zaatakowała Caleba, wykrzykując.

– Wiesz, że nie dasz rady wygrać! – wrzasnęła. – To niemądre. I wciągasz w to swojego brata. Obydwaj jesteście głupcami. Zawsze tacy sami. Tym razem na pewno zginiecie.

– Decyzja należy do nas – powiedział Caleb.

– Właśnie, że nie! – wrzasnęła Sera. – Skoro ty należysz do mnie.

– *Nie* jestem twoją własnością – odwarknął Caleb. – Nie jestem niczyją własnością! A już w najmniejszym stopniu twoją.

– Możemy opuścić to miejsce – powiedziała. – Tylko ty i ja, razem. Możemy ruszyć w przyszłość, razem. Nadeszła nasza chwila. Możemy wrócić na zamek w Europie. Możemy postarać się o drugie dziecko—

– Sera! – warknął Caleb. Nie miał już cierpliwości. – Posłuchaj samą siebie.

Pleciesz bez sensu. Mówiłem ci niezliczoną ilość razy, że już ciebie nie kocham

—

– Kiedyś mnie kochałeś. Możesz nauczyć się znowu mnie kochać – powiedziała z równą determinacją. – Będziemy razem. I tylko to się liczy. Z

czasem twoje uczucia mogą się zmienić—

Caleb miał już dość. Nie mógł więcej tego znieść. Setki lat spędzone w tym klanie sprawiły, że Sera oszalała. Nijak nie szło przemówić jej do rozsądku.

Odwrócił się i wyszedł z komnaty.

Sera jednak, wykorzystując swą szybkość, stanęła mu na drodze. Stała i blokowała wyjście. Jej twarz zniekształcił gniew i strach.

– Nie możesz ode mnie odejść! – wrzasnęła.

– Odchodzę – powiedział Caleb. – Opuszczam cały ten klan. Na dobre.

– I z powodu czego? Swojej wojenki? A potem uciekniesz z tą swoją małą lafiryndą?

Caleb czuł, jak narasta w nim gniew z powodu jej słów.

– O to chodzi, prawda? – wrzasnęła. – Zamierzasz porzucić wszystko, poświęcić – nawet naszą miłość – dla tej małej głupiej dziewczuchy. Cóż, powiem ci tyle – dodała ze złowieszczym uśmiechem – twoja panna już nie będzie na ciebie czekać. Tego możesz być pewien.

– Co to ma znaczyć?

Sera umilkła, uśmiechając się i rozkoszując chwilą.

– Powiedziałam jej.

Caleb gorączkowo myślał, co też Sera mogła powiedzieć Caitlin. Wiedział, że cokolwiek to było, nie mogło być dobre.

– Co takiego jej powiedziałaś, dokładnie? – spytał, cedząc powoli każde słowo.

– Uśmiech na twarzy Sery tylko się powiększył, stał się bardziej zjadliwy. –

Powiedziałam jej o nas wszystko. Dosłownie *wszystko*.

Caleb zastanowił się. Wszystko. To mogło oznaczać tylko jedno.

– Powiedziałaś jej o Jade'zie, prawda? – spytał, obawiając się, że to prawda.

Sądząc po wyrazie jej oczu, wiedział, że to zrobiła, że naprawdę powiedziała Caitlin o ich dziecku.

Przez jej uśmiech przemawiała teraz mściwość. – Tak. Wie, że mamy dziecko. I wie, że mnie kochasz bardziej. I że zawsze będziesz mnie kochał.

– *Mamy?* – zapytał Caleb. – Powiedziałaś jej, że *mamy* razem dziecko? Czy raczej *mieliśmy*?

Sera nie odpowiedziała, jedynie uśmiechnęła się szerzej. Caleb chwycił ją za ramiona.

– Wprowadziłaś ją w błąd! – wrzasnął. – Zrobiłaś to celowo!

– Ach, Calebie – powiedziała, potrząsając głową. – Jesteś taki naiwny. Na tym świecie nie ma osoby, która by kogoś nie zwiodła. Nie wiesz jeszcze, że miłość w całości jest oparta na kłamstwach?

Była bardziej chora niż Caleb przypuszczał.

Potrząsnął głową z odrazą, wyminął ją w dwóch krokach i wyszedł przez drzwi, zanim zdążył zrobić coś pochopnie.

– Prawda! – wrzasnął za sobą. – Teraz ty posłuchaj! Teraz to ty nigdzie się stąd nie ruszysz!

*

Caleb opuścił pokój, w pelerynie i z laską w dłoni, i podszedł do brata.

– Potrzebuję jeszcze tylko jednej minuty, drogi bracie – powiedział do niego.

– O co chodzi? – spytał Samuel.

– Muszę naprawić wyrządzone krzywdy – odparł Caleb.

Samuel skinął głową, widząc determinację brata. – Wkrótce będzie świtać.

Załatw to szybko.

Caleb ruszył korytarzem, tym razem sam. Wszedł do bocznej komnaty, po czym zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął na klucz.

Pokój pełnił rolę jego gabinetu. Był niewielki, kamienny, zdobiony stropem w kształcie łuku i witrażem. To tu Caleb przychodził, żeby zebrać myśli.

Usiadł przy prostym, średniowiecznym biurku, wyciągnął kawałek starego pergaminu i gęsie pióro, zanurzył jego czubek w atramencie i zaczął pisać.

Najdroższa Caitlin,

*Przepelnia mnie strach na myśl o tym, co Sera mogła ci powiedzieć.
Bądź*

jednak pewna, że cokolwiek to było, poznałaś jedynie część prawdy.

*Owszem, była chwila, kiedy Sera i ja mieliśmy dziecko. Chłopca.
Miał na imię Jade. Bardzo go kochałem. Bardzo. Jade był pół krwi,
podobnie jak ty, gdyż, kiedy ożeniłem się z Serą, była jeszcze
człowiekiem. Lecz Jade, ku mej rozpaczy, długo nie żył.*

*Zawsze będzie w moim sercu, jednak obawiam się, że tylko duchem.
Nie za długo pochodził na tej Ziemi.*

*Zamierzałem powiedzieć ci o tym w odpowiedniej chwili, jednak
takowa nie nadeszła i nie mogłem podzielić się z tobą tym
wspomnieniem. Sądzę, że założyłaś, że ukrywam przed tobą jakąś
świętość i w jakimś sensie tak było, ale tylko dlatego, iż sam
pograżony byłem w głębokim smutku. I niepewności.*

Widzisz, bałem się, że cię stracę. I najwidoczniej już się to stało.

*Proszę, uwierz, że między mną i Serą nic nie ma, i że nie było od
setek lat.*

*Przykro mi bardzo, jeśli sprawiła inne wrażenie. Wbrew pozorom,
nie całowałem jej. Uwiesiła się na mnie, a ja jedynie ją odpychałem.*

*Wiedz, że bardzo cię kocham, i że myślę wciąż o tobie, nawet w tej
chwili. Z*

*niecierpliwością wyczekuję końca tej wojny i nowego życia gdzieś
daleko stąd, oczywiście, jeśli i ty w nim będziesz.*

Proszę, uwierz, że wraz z tym listem oddaję ci moje serce.

Z głębi serca,

Caleb

Zwinął ostrożnie pergamin, raz i drugi, aż powstał niewielki kwadrat, nieco większy od jego dłoni. Potem podszedł do wielkiego, otwartego okna, podniósł

palec do ust i zagwizdał.

Chwilę później podleciał do niego wielki sokół. Caleb wystawił rękę i ptak wylądował zgrabnie na jego nadgarstku. Caleb sięgnął dłonią i pogłaskał

Falcona.

– Mój stary przyjacielu – powiedział ściszone głosem.

Rozpoznawszy Caleba, ptak odrzucił łeb do tyłu w jego stronę.

– Zanieś to do Caitlin. Na wyspę Pollepel. Wiesz, gdzie to.

Caleb upchnął pergamin w maleńki medalion umocowany do szyi sokoła i zamknął porządnie wieczko.

– Leć – krzyknął, podnosząc ramię.

Sokół wyleciał przez okno i poszybował w podniebny mrok.

Nagle rozległo się łomotanie w drzwi.

Caleb podszedł i otworzył je. Przed nim stał Samuel wraz ze swymi żołnierzami.

Caleb chwycił laskę w dłoń i ruszył przed siebie.

– Jestem gotowy – powiedział.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Caitlin!

Kłęcząc i dusząc Caina w napadzie szału, Caitlin usłyszała wołanie. Coś niezwykłego w tym głosie wyrwało ją z amoku. Skąd dochodził?

Przez otaczający ją tłum przedarł się mężczyzna, ubrany w długą togę i trzymający w dłoni kij. Miał długie, siwe włosy i taką samą brodę, dzięki czemu wyglądał jak prawdziwy prorok. Stanął i spojrzał gniewnie na Caitlin. Po jego głosie poznała, że był niezadowolony.

– Puść go! – powiedział stanowczo.

Caitlin spojrzała mu w oczy i mimo, że nadal była zamroczona, dostrzegła, że był wyjątkowy. Poczula, jakby wróciła na łono rodziny; jakby znała go przez całe życie. I całe życie szanowała.

Nie potrafiła mu odmówić. Powoli rozluźniła uchwyt i w tym samym momencie Cain poderwał się, dysząc i krztusząc – i pobiegł w stronę lasu.

Caitlin wstała i zwróciła się w stronę mężczyzny.

Aiden. Była pewna, że to on.

– Tak, to ja – powiedział, odpowiadając na jej myśl. – I mamy ze sobą sporo do omówienia.

*

Szła bez słowa za Aidenem wąskim szlakiem przez gęsty las. Zaczynała uświadamiać sobie, że wyspa Pollepel była zwodniczo rozległa: na jednym krańcu leżał wielki zamek, podczas gdy resztę wyspy w całości pokrywały lasy.

Chodzili raz w tą, raz w drugą stronę wijącymi się w prawo i lewo ścieżkami. Aiden utrzymywał szybkie tempo, zawsze o kilka kroków przed Caitlin, nie zatrzymując się, by sprawdzić, czy szła za nim. Pewnie założył, że tak było. Miał zniewalającą osobowość;

miał w sobie coś, czego Caitlin nie potrafiła określić, coś, co sprawiało, że szła za nim mimo woli. Aiden był prawdziwym przywódcą.

Idąc przez las, Caitlin dostrzegała w oddali między drzewami przebliski rzeki wijącej się wśród gołych jeszcze o tej porze roku drzew. Kwiecień przyniósł ze sobą wiosnę, która sprawiła, że wszystkie drzewa pokryły się pączkami, nadając otoczeniu jasnozielony odcień. Miejsce to było tak piękne, że w pewnej chwili Caitlin uświadomiła sobie z bólem, że nie chce go opuszczać.

Poczuła też nagle ukłucie strachu, kiedy przeszło jej przez myśl, że Aiden mógłby ją stąd wyrzucić.

Nie zamierzała zaatakować Caina, nie w ten sposób. Ale nie znosiła okrucieństwa, a Cain był jednym z bardziej odrażających tego przykładów. Po prostu nie zdołała nad sobą zapanować. Wyglądało na to, że zawsze chodziło tylko o jedno: samokontrolę. Nie wychodziło jej to, kiedy była człowiekiem, ani z pewnością wtedy, kiedy została mieszkańcem – ani teraz, nie widać było żadnej poprawy. Kiedy wzbierał w niej gniew, kiedy górę brała wściekłość, po prostu nie potrafiła utrzymać jej w ryzach. Nie знаła Aiden, lecz czuła, że nie pochwalał jej występku.

Weszli na szczyt wzniesienia i zeszli z drugiej strony. Caitlin zauważyła stado jeleni, które pierzchły na ich widok, chcąc uniknąć spotkania. To tu zapewne łowcy z klanu przybywali, by zdobywać wieczorny posiłek.

Obeszli kolejne wzniesienie i ich oczom ukazała się budowla. Niewielki, kamienny budynek stał na piaszczystym podłożu, tuż przy brzegu rzeki.

Wielkością przypominał wiejski domek z jedną sypialnią, jednak na zewnątrz prezentował ten sam pradawny styl, co szkocki zamek po drugiej stronie wyspy.

To tu musiał mieszkać Aiden.

Aiden podszedł, bez słowa otworzył niewielkie, wiekowe, zaokrąglone drzwi, wszedł i zostawił otwarte dla Caitlin. Wchodząc za nim, Caitlin czuła, jak ścisnęło ją w żołądku, jakby została wezwana do pokoju dyrektora.

Prawdopodobnie zasłużyła sobie na to. Nadal wierzyła, że miała prawo się bronić – a zwłaszcza stanąć w obronie Polly – chociaż może nie powinna aż tak przesadzać z odwetem. Powinna

spowiedzieć Caina trochę i pozwolić mu odejść. Ale to nie byłoby w jej stylu. Nie potrafiła przemykać oka na niesprawiedliwość. Przynajmniej teraz to do niej dotarło. Zawsze jakiś początek.

Weszła do niewielkiej, słabo oświetlonej kamiennej chaty, minęła przedpokój i znalazła się w biurze Aideny.

Pokój miał ściany wyciosane z wiekowego kamienia, strop w kształcie łuku i dwa, strzeliste okna wychodzące na rzekę. Dominowała prostota i surowość, a widok z okien był przepiękny, jakby rzeka wypełniała całą przestrzeń.

Caitlin usiadła na wielkim krześle naprzeciw biurka, za którym zasiadł

Aiden. Czowała na sobie ożywczy powiew wiatru wpadającego do pokoju przez otwarte okno. Odwróciła się i skupiła wzrok na Aidenie.

Siedział za swoim biurkiem i wpatrywał się w nią. Był niezwykle dziwnym człowiekiem – a raczej wampirem. Był wysoki i barczysty, a jego długie, siwe włosy, starannie uczesane, opadały na ramiona, mieszając się z bujną brodą.

Miał intensywnie błękitne oczy, którymi spoglądał na Caitlin bez jednego mrugnięcia. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, lecz Caitlin wiedziała, że był znacznie starszy. Zasadniczy typ, nie taki, co to drwi ze wszystkiego wokół. O nie. Ale też nie wyglądał na srogiego – bo taki nie był. Po prostu był poważny.

Wpatrywał się w Caitlin uważnie, a ona czowała, że dowiadywał się wszystkiego, na czym mu zależało, jedynie patrząc. Poczwała się nieswojo.

Zastanawiała się, co też widział.

– Przyjąłem cię – zaczął oficjalnym głębokim tonem, który jednak sprawił, że rozluźniła się – ponieważ Caleb mnie o to poprosił. Potraktuj to jako przysługę dla starego przyjaciela. Zapewnił mnie, że nie będziesz szukać zwady, łatwo zgrasz się z resztą członków mojego klanu. Jak wiesz, jest nas tylko dwudziestu troje – dwudziestu czworo z tobą – a ja jestem bardzo wybredny, jeśli chodzi o przyjmowanie kolejnych. Musimy żyć w zgodzie ze sobą, jeśli mamy tu przetrwać.

– Nie ja wszczęłam tę bójkę – powiedziała Caitlin. – To Cain. Dlaczego to jemu nie udzielisz reprimendy? To on jest stuknięty.

W chwili kiedy wypowiedziała te słowa, Caitlin utwierdziła się w przekonaniu, że miała rację, ale też uświadomiła sobie, że znów, jak zwykle, powiedziała coś, zanim zdążyła o tym pomyśleć. I że nie powinna zareagować tak ostro.

– Cain sprawia kłopoty, masz rację. Nie szukam wymówki dla jego zachowania. Jednak nie rezygnuję z własnych ludzi nawet jeśli mają problemy.

Na tym opiera się funkcjonowanie tego klanu. Musimy nauczyć się współpracować pomimo dzielących nas różnic, pokonywać nasze wewnętrzne wady. Cain nad tym pracuje. Przyznaję, nie na tyle, ile powinien. Ale poniesie konsekwencje swojego dzisiejszego zachowania. Zapewniam.

Caitlin chciała coś powiedzieć, ale Aiden wstrzymał ją podniesieniem ręki.

– Pomimo tego, co możesz sobie myśleć, nie sprowadziłem cię tutaj, by udzielić ci nagany. Wprost przeciwnie, jestem dumny z tego, jak sobie dziś poradziłaś, oraz stanęłaś w obronie Polly.

W jednej chwili Caitlin poczuła, jak jej ciało rozluźniło się. Nigdy w życiu nie słyszała, żeby ktoś powiedział, że jest z niej dumny. Nagle ujrzała Aideną w zupełnie innym świetle. Polubiła go. Wydał jej się kimś w rodzaju ojca, którego nigdy nie miała.

– Znam już twoją wersję wydarzeń. Znam też jego. Prawdę mówiąc, widziałem wszystko zanim się jeszcze wydarzyło – powiedział grobowym głosem.

Jego słowa wytrąciły Caitlin z równowagi. Czyżby Aiden potrafił zobaczyć przyszłość? A jeśli tak, to dlaczego jej nie zapobiegł? Coraz bardziej intrygował

ją ten mężczyzna.

– To dlaczego tu jestem w takim razie? – spytała.

Aiden popatrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił się nagle i spojrzał

przez okno na rzekę. Odetchnął głęboko. Zaczął mówić, wciąż spoglądając na rzekę.

– Nadszedł czas, abym cię poznał – powiedział. – Opowiedział ci o tym miejscu. Przypuszczam, że Polly już wprowadziła cię w temat – powiedział i uśmiechnął się. – Nie obawia się, jakby to powiedzieć, rzeczowej konwersacji.

– Musisz jednak wiedzieć coś jeszcze. Ta wyspa jest wyjątkowa. Przyjmuję tu rekrutów na rygorystycznych warunkach i szkołę w szerokim zakresie.

Zważywszy na to, że każdy z nich jest na swój sposób nieprzystosowany, został

wyrzutkiem w społeczności wampirów, kiedy stąd odchodzi, stanowi siłę, której nie można ignorować. Również my, jako grupa stanowimy siłę, z którą należy się liczyć. Nie lubię myśleć o sobie jak o przywódcy. Wolę myśleć, że jestem mentorem. Nadzoruję wszelkie ćwiczenia i dbam o to, by każdy wampir osiągnął szczyt swoich możliwości.

– Zapewniam cię, że kiedy stąd odejdiesz, będziesz najlepsza we wszelkim wampirzym rzemiośle wojennym – dodał. – Zabawne, ale nikt, kto tu przybywa, nie chce stąd odchodzić. Nigdy. I nigdy nikt nie odszedł. Tworzymy własną społeczność.

– Jesteśmy też rodziną, a ja traktuję sprawy rodziny bardzo poważnie.

Razem trenujemy, razem siadamy do stołu, dzielimy się obowiązkami i troszczymy się o siebie nawzajem. Zawsze. I dlatego zachowanie takie, jak Caina było nie do przyjęcia. Bardzo rzadko tak postępuje. Jestem pewien, że to obecność nowego członka klanu tak go poruszyła. To się nie powtórzy.

Gwarantuję.

Odchylił się i zebrał myśli.

– Jeśli chcesz tutaj pozostać, jeśli chcesz stać się częścią tej rodziny, musisz przestrzegać pewnych zasad. Musisz z chęcią dzielić nasze obowiązki, z ochotą stawać na warcie. Musisz trenować do upadłego oraz złożyć przysięgę na wierność członkom tego klanu. Możesz opuścić nas w każdej chwili, ale jeśli zrobisz to bez mojego pozwolenia, nigdy nie będziesz mogła tu wrócić. Tę sprawę traktujemy bardzo poważnie, więc pomyśl dwukrotnie, zanim zrobisz coś pochopnie.

Utkwił w niej spojrzenie.

Caitlin zaczęła gorączkowo się namyślać. Polubiła już to miejsce, Polly, tą wyspę i Aidenę. Miała też jednak pewne obawy. Za każdym razem prosić o pozwolenie na opuszczenie wyspy? Rzeczywistość dopiero teraz zaczęła do niej docierać. To miejsce naprawdę mogło stać się jej nowym domem. Co ważniejsze, mogła nigdy więcej nie ujrzeć Caleba.

Nadal była na niego wściekła, a jakże. Miała neodparte wrażenie, że ją porzucił, że kochał inną osobę, że nawet mu już na niej nie zależało. A więc i ona nie powinna się nim przejmować. Nie miała powodu, by się teraz namyślać.

Mimo to, cały czas coś nie dawało jej spokoju i sprawiało, że wracała do

niego myślami. Może nadal mu na niej zależało? Może zaszło jakieś nieporozumienie? A jeśli tak, to może powinna się z nim spotkać?

Martwiła się również o Sama. Ostatecznie, był jej bratem i teraz został

zakładnikiem. Czowała poniekąd, że ją zdradził, że w jakiś sposób sprowadził

Samanthę wprost do King's Chapel i umożliwił jej kradzież miecza – oraz to, że nawet gdyby go teraz odnalazła, nie wykazałby zainteresowania. A mimo to, cały czas gnębiło ją niejasne przeczucie. Czy coś mu groziło? Czy potrzebował jej pomocy?

I co z poszukiwaniami jej ojca? Nadal chciała dowiedzieć się, kim był i gdzie w tej chwili przebywał. Miała wrażenie, że była o krok od poznania prawdy. Chciała wrócić tam i poszukać dokładniej. A jeśli to wszystko było prawdą, jeśli była tą Wybraną, to czy nie miała wypełnić jakiejś misji? Czy nie powinna w tej chwili być gdzieś tam i ratować świat? Lub coś w tym rodzaju.

Czy właściwie postępowała, siedząc tu, na tej wyspie, bezpieczna? Zwłaszcza, kiedy nad Manhattanem rozpętała się wojna?

Chciała zostać na wyspie, naprawdę, lecz martwiła się, że może ma do spełnienia jakiś obowiązek, jakieś zadanie, że powinna być teraz gdzie indziej.

– Nieprawda – powiedział nagle Aiden, czytając w jej myślach. Aż się przestraszyła. – Dokładnie tutaj masz teraz być.

Wściekła się, uświadomiwszy sobie, że był w stanie sięgnąć do jej umysłu i dokładnie odczytać myśli. Oczywiście, że to potrafił. Już dawno powinna się zorientować.

– Ale mój brat – oponowała.

Aiden potrząsnął głową powoli.

– Sam jest pod wpływem mrocznych mocy. Obawiam się, że nic w tej chwili nie możesz dla niego uczynić.

Caitlin wyprostowała się, ogarnięta nagłym niepokojem. – Co masz na myśli? To zabrzmiało właśnie tak, jakby potrzebował mojej pomocy.

– Już dla niego za późno – odparł stanowczo. – Wiem, że ciężko ci się z tym pogodzić. Ale musisz. Jeśli spróbujesz się z nim skontaktować, zapewniam cię, że skrzywdzisz i siebie i jego. Jeśli zależy ci na bezpieczeństwie swoim i innych, musisz pozwolić mu wybrać.

– A Caleb? – zapytała niepewnie, niemal ze strachem. Chciała wiedzieć, czy była mu potrzebna, a co ważniejsze, czy nadal ją kochał. Lecz bała się o to zapytać i pozostała przy tym zdawkowym pytaniu.

Aiden odetchnął głęboko. – Zostawił cię tu nie bez powodu. Chce, abyś właśnie tutaj teraz była.

Co Aiden miał na myśli? Czy to znaczyło, że Caleb nadal ją kochał? Że chciał, by była bezpieczna i miała schronienie? A może chciał się jej tylko

pozbyć?

– Na razie musisz o nim zapomnieć – powiedział. – Musisz skupić się na treningu. Nie możesz pozwolić, aby cokolwiek cię rozpraszało. Już w tej chwili wyczuwam, jak bardzo przykuwa twoją uwagę. A to niebezpieczne miejsce dla kogoś z takimi rozterkami. Musisz oczyścić umysł. Całkowicie. Rozumiesz?

Caitlin spuściła wzrok i poczuła, jak czerwienieją jej policzki z zakłopotania.

Powoli skinęła głową.

– A co z moimi poszukiwaniami ojca? – spytała. – Czy to prawda, że jestem Wybraną? I co to tak dokładnie oznacza? Czy to znaczy, że mam ocalić rasę wampirów? Czy nie powinnam robić czegoś konkretnego w tej chwili? Czy postępuję właściwie, siedząc tu teraz – jej pytania popłynęły potokiem słów.

– Owszem, wywodzisz się z wyjątkowego rodu – powiedział powoli Aiden.

– Twój ojciec to niezwykły człowiek. Wiem, że chcesz go odnaleźć. Wiem również, że i on chce się z tobą spotkać. Co ważniejsze, naprawdę stanowisz klucz do odnalezienia broni, która ocali zarówno ludzi jak i rasę wampirów.

Caitlin spojrzała na niego uważnie.

– Co masz na myśli? Sądziłam, że chodziło o miecz? Myślałam, że już ją znaleźliśmy?

Uśmiechnął się. – Widzę, że nie przemyślałaś tej zagadki. Nie spodziewałem się tego po tobie.

Caitlin zastanowiła się. *Zagadka? Co przeoczyła?*

– Róża i Cierń – ciągnął dalej. – Nie rozumiesz? Każda dynastia, każdy ród ma dwa oblicza. Caitlin i Sam. Są też dwa rodzaje broni. Jedna, służąca do ataku i druga do obrony. Miecz to broń, z którą nacierasz. Jest jednak jeszcze druga broń. Nawet potężniejsza od niego: jej zadaniem jest chronić. Róża i Cierń.

Miecz to cierń. A róża to tarcza.

– Tarcza? – spytała Caitlin ze zdziwieniem.

– Miecz może zetrzeć ludzką rasę z powierzchni ziemi – dodał – i częściowo również wampirzą. Tarcza zaś może ocalić obydwie. A kiedy znajdziesz ojca –

kiedy naprawdę go odnajdziesz – on zaprowadzi cię do tarczy.

Caitlin rozmyślała gorączkowo. Tak trudno było to wszystko pojąć jednocześnie.

– Zatem... czy nie powinnam być gdzieś tam? Czy nie powinnam szukać go? I tarczy?

Aiden ponownie potrząsnął głową. – Nadal nie rozumiesz. Nigdy nie odnajdziesz swego ojca w tym życiu.

Caitlin spojrzała na niego, zszokowana.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Twój ojciec żyje w innym czasie. Innym wieku. Jedyne sposoby, by go

znaleźć, to cofnąć się w czasie.

Caitlin otworzyła szeroko oczy. – To możliwe? – spytała.

– Owszem, dla wampira. Ale nie przychodzi to łatwo. Cena jest bardzo wysoka. Kiedy już cofniesz się w czasie, nie będzie odwrotu. Nigdy. Wszystko, co wiesz, każdy, kogo znasz, wszelkie wspomnienia i doświadczenia – wszystko związane z tym życiem – zostanie całkowicie wymazane. Kiedy się cofniesz, zaczniesz wszystko od początku. To nieodwołalny proces. Co gorsza, nie wszystkim wampirom udaje się przetrwać tę przeprawę. Równie dobrze można umrzeć próbując.

– I nie ma gwarancji, że jeśli się cofniesz, to odnajdziesz ojca, lub tarczę.

Nie wiadomo dokładnie, w którym czasie i miejscu akurat teraz przebywa.

Caitlin rozmyślała gorączkowo, zastanawiając się nad konsekwencjami.

Miałaby wszystko wymazać z pamięci. Sama, Caleba. To miejsce. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Jak już wspomniałem, jesteś dokładnie tu, gdzie powinnaś – powiedział. –

Musisz odzyskać pełnię sił i musisz trenować. Dokądkolwiek się udasz, nie możesz opuścić tego miejsca, zanim nie wyszkolisz się najlepiej jak tylko możesz.

Wstał od biurka i stanął przed nią. Również wstała, czując, że to spotkanie dobiegło końca.

– Chciałbym móc powitać ciebie w naszej rodzinie – powiedział – jeśli tylko wyrazisz na to zgodę.

Caitlin nie musiała długo się zastanawiać. Nie tylko dlatego, że żadna inna alternatywa nie przychodziła jej w tym momencie do głowy, ale też spodobało jej się wszystko, czego do tej pory dowiedziała się o tym miejscu.

– To dla mnie zaszczyt – odparła.

Aiden uśmiechnął się. – Wspaniale. Twój trening rozpoczyna się dzisiaj.

*

Caitlin ustawiła się razem z innymi wampirami w szerokim kręgu na wewnętrznym dziedzińcu zamku. Ziemia wewnątrz kręgu musiała być polem treningowym, gdyż trawa była porządnie wydeptana, a powierzchnię pokrywał

piach i kurz. Caitlin czuła ciepło bijące od niej w ten niezwykle ciepły, kwietniowy dzień. Słońce wydawało się świecić mocniej niż to kiedykolwiek odczuwała, nawet z ochronną warstwą na skórze.

Cały klan zebrał się na dziedzińcu i stał w ciszy, wszyscy dwudziestu czworo. Przebiegła wzrokiem po nich i ze zdziwieniem stwierdziła, że różnili się między sobą. Niektórzy byli niscy, inni wysocy, niektórych włosy były krótko przycięte, innych zaś długie.

Niektórzy patrzyli z powagą, inni byli zrelaksowani. Pod względem płci było po równi – dwunastu chłopców i

dwanaście dziewcząt. Wszyscy wyglądali na nastolatków, chociaż wiedziała, że byli o wiele starsi. Nie potrafiła dostrzec dokładnie ich twarzy – ciężko było się skupić, kiedy puszczały jej nerwy. Stali na baczność, zachowując całkowitą ciszę i czekając na słowa Aiden.

Aiden zrobił kilka kroków do środka okręgu, powoli obejrzał się dokoła i przyjrzał wszystkim dokładnie.

– Moi drodzy – odezwał się nieco oficjalnie. – Mam zaszczyt przedstawić wam nową członkinię naszego klanu. Uczynicie wszystko, co możliwe, by poczuła się tu jak w domu. Jest teraz jedną z nas. Poznajcie Caitlin Paine.

Caitlin nigdy nie radziła sobie z publicznymi występami i poczuła się zażenowana, kiedy uwaga wszystkich skupiła się na niej. Poczowała jeszcze większe zakłopotanie, kiedy wszyscy zaczęli schylać głowy w geście oficjalnego powitania.

Nagle Caitlin poczuła, że coś otarło się o jej nogę. Spojrzała w dół i z konsternacją stwierdziła, że to Róża wpadła na środek kręgu i swoim skomleniem przerwała oficjalny nastrój.

Aiden uśmiechnął się. – No tak, jak mogliśmy o tobie zapomnieć. Oto Róża.

Wygląda na to, że również chce zostać przyjęta.

Róża zaskowyczała i cały klan wybuchnął śmiechem.

– W porządku – dodał. – Wygląda na to, że mamy tu wszystkich dwudziestu czworo i pół członków naszego klanu.

Róża przywarowała przy nodze Caitlin, obserwując wszystkich i czekając.

– Zanim zaczniemy – kontynuował Aiden – ktoś chciałby przeprosić za swoje zachowanie.

Stojący po przeciwnej stronie kręgu Cain powoli ruszył na środek. Spojrzał

wprost na Caitlin. W jego oczach dostrzegła skruchę i obawę zarazem. Wyglądał

na bardzo zdenerwowanego.

– Przykro mi, Caitlin – powiedział. Moje zachowanie było niewybaczalne.

Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Wybaczam – odparła szczerze. Kiedy teraz na niego patrzyła, z tej odległości, wydał jej się godny współczucia, i naprawdę przepelniony skruchą.

Nie miało sensu chować do niego urazę. Przeszłość to przeszłość. Poza tym, to jemu dostało się najbardziej.

Cain wrócił na swoje miejsce w kręgu.

Wówczas Aiden wystąpił do przodu. – W porządku więc. Zaczynamy –

wrzasnął i nagle wszyscy zerwali się z miejsca.

Caitlin stała zdezorientowana. Czowała się wyobcowana i przyglądała, jak pozostałe wampiry ustawiały się w idealnym porządku, łączyły w pary i odbiegały w kierunku różnych części dziedzińca. Każde z nich chwyciło jakąś

broń ze stojaków i bez chwili wahania rozpoczęło walkę. Caitlin zaś nadal stała bez ruchu i obserwowała zamieszanie, nie będąc pewna, co robić. Zorientowała się, że nie miała partnera.

– Przydzielili mnie do ciebie – odezwał się czyjś dziarski głos.

Caitlin odwróciła się i ujrzała za sobą, zaledwie kilka kroków dalej, wysokiego, chudego rudzielca, całego w piegach, z krótko przyciętymi włosami, wielkimi uszami i potężnym uśmiechem. Nigdy nie widziała nikogo tak szczęśliwego. Wyglądał prawie jak postać z komiksu.

– Przydzielili? – spytała.

– Jestem twoim partnerem szkoleniowym – powiedział i wyciągnął dłoń. –

Jestem Patrick.

Caitlin chwyciła ją - była długa, wychudzona i bardzo zimna. Caitlin nie mogła zrozumieć, jak taka osoba mogła być wojownikiem.

– Ależ mogę – powiedział, odpowiadając na jej myśli. – Potrafię walczyć i to naprawdę dobrze. Ale o tym sama za chwilę się przekonasz – powiedział z uśmiechem i puścił do niej oko, po czym odszedł w narożnik dziedzińca.

– Caitlin obląła się rumieńcem. Oczywiście, pomyślała. Każdy tutaj potrafi odczytać moje myśli. Jaka ja głupia. Muszę nauczyć się je ukrywać.

– Nie krępuj się – powiedział. – Przywykniesz do tego. Po prostu rób to, co ja. Marnujesz czas, a Aiden tego nie znosi – powiedział i ruszył przed siebie.

Caitlin pospieszyła za nim.

– Zaczynamy od mieczy – powiedział, dotarłszy do odległego muru, i sięgnął po dwa bambusowe miecze, z których jeden rzucił w jej kierunku. Rzucił

go mocno i szybko. Caitlin zadziwił jej własny refleks, to, jak szybko zareagowała i złapała miecz w powietrzu bez najmniejszego trudu. Była o wiele szybsza, niż to sobie uświadamiała.

– Zawsze zaczynamy dzień od walki na miecze – dodał. – Później zmieniamy je na włócznie.

Caitlin usłyszała dokoła odgłosy walki i zobaczyła, jak wszystkie wampiry zaczęły walczyć ze sobą bambusowymi mieczami, nacierać i parować ciosy szybciej, niż to widziała dotychczas. Walczący skakali nad głowami swych przeciwników, latali, obracali się, podskakiwali, blokowali... Byli godnymi siebie rywalami, zadając i parując cios za ciosem. Co chwilę, kiedy któreś uderzenie przedarło się przez osłonę, słychać było wyraźny odgłos uderzającego w ciało bambusa. I wyglądało na to, że bez bólu się nie obyło.

Caitlin miała za chwilę o tym się przekonać.

– AŁ! – krzyknęła, kiedy nagle poczuła piekący ból od uderzenia bambusa w biodro.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią Patricka, który uśmiechał się do

niej, walnąwszy ją dopiero co w bok.

Policzki Caitlin zapłonęły ze złości. – A ty co?

– Nie odpowiedział, tylko ciął ją ponownie. W ostatniej chwili podniosła miecz i zablokowała uderzenie, wydobywając z bambusa głośny dźwięk, zanim cios dotarł do jej ramienia. Był naprawdę szybki. Zdała sobie sprawę, że jednak potrafił walczyć.

– Koniec gadania – powiedział. – Teraz broń się!

Caitlin stanęła naprzeciwko Patricka, chwyciła rękojeść obiema rękoma i skupiła się całkowicie na tej chwili. Przepelniała ją wściekłość. Natarła na niego, zamachnąwszy mieczem z całych sił i wycelowała w jego ramię.

Patrick uchylił się zręcznie i łupnął ją mocno w pośladek.

Caitlin poczuła ból. Odwróciła się na pięcie, rozsierdzona jeszcze bardziej.

Jak na złość, chłopak wciąż tylko się uśmiechał. Nic nie było w stanie go speszyć.

– Sygnalizujesz każdy swój ruch – powiedział. – Zauważyłem to uderzenie godzinę wcześniej.

Caitlin natarła na niego niczym byk, tnąc powietrze wkoło. Chłopak jednak zablokował każdy jej cios, po czym przeskoczył nad nią z przewrotną i ciął w plecy.

Tym razem naprawdę zabolalo i Caitlin odwróciła się gwałtownie. Była wściekła.

– To, że dajesz upust swej złości nie oznacza, że dobrze walczysz – powiedział. – Musisz nauczyć się panować nad emocjami. Nic ci po nich w walce.

Caitlin miała już znowu go zaatakować, ale coś w jego słowach ją zastanowiło. Miał rację. Kleła ze złości. I nie myślała logicznie.

– Okiełznaj swój gniew. Spraw, by stał się twoim sprzymierzeńcem. Nie poddawaj się mu. Nie odpuszczaj. Po prostu kontroluj go. Wykorzystaj go w walce.

Caitlin zaatakowała go powtórnie, zadając cios za ciosem, a on każdy blokował. Zaczynała rozumieć, o co mu chodziło. Nadal czuła w sobie gniew, ale potrafiła trzymać go w ryzach. Zdławiła go odrobinę. I zaczęła myśleć bardziej trzeźwo. Łatwiej przyszło jej teraz skupić się na walce.

Zaatakowała ponownie, a Patrick sparował i zablokował cios, przytrzymawszy jej miecz w miejscu. Stali zwarci w impasie, niemal dotykając się twarzami.

Spojrzała na niego i zauważyła, że ten wciąż uśmiechał się do niej nieźnośnie.

– A więc – odchrząknął z najwyższym wysiłkiem, ze wszystkich sił przytrzymując jej miecz w miejscu – masz kogoś?

Jego słowa zaskoczyły ją zupełnie. Rozproszyły jej uwagę na tyle, że zdążył

kucnąć i podciąć jej nogę. Wylądowała płasko na plecach, uderzając mocno o ziemię i wznosząc dokoła tuman kurzu. Podniosła wzrok i

zobaczyła czubek jego miecza przy swojej szyi.

Oczywiście, nadal się uśmiechał.

– Łatwo się dekoncentrujesz – powiedział i jednym ruchem chwycił jej dłoń, pociągnął i postawił z powrotem na nogi. – Zbyt łatwo. Coś cię rozprasza.

Caitlin pomyślała o tym i zrozumiała, że miał rację. To Caleb. Nadal majaczył w zakamarkach jej świadomości. Walka pomagała jej o nim zapomnieć, jednak nadal nie czuła się sobą. Intensywna walka na chwilę wyrwała ją ze smutku, jednak wciąż była w nim pogrążona.

– Oczyść umysł – zbeształ ją. – Jeśli coś go zaprzęta, nigdy nie będziesz w stanie walczyć.

Stali oboje jedno obok drugiego, dysząc ciężko z wyczerpania i korzystając z chwili przerwy. Starła pot z czoła i zdała sobie sprawę, że miał rację. Była nieobecna myślami.

– Ale nie mówiłem tego ot tak – dodał. – Naprawdę chciałbym zabrać cię gdzieś.

Spojrzała na niego, a on nadal się uśmiechał. Dostrzegła jednak, że mówił

poważnie.

Wspaniale. Nie minęła nawet godzina, a tu już chłopięce podchody. Ledwie się poznali. Niecałą godzinę temu. Jak mógł tak po prostu wypalić z tym wyjściem? Czy tak zachowywały się wszystkie wampiry? Czy wszystko działo się tak szybko w tym świecie? Niepojęte. Nie znała nawet wampirzej etykiety.

Polubiła go, Patryka. Ale nie bardziej niż przyjaciela. Jak miała mu to przekazać? Rozmawiać o tym, co niewygodne. Na tej wyspie naprawdę nie było gdzie pójść.

– Przepraszam cię – powiedziała cicho, – ale jestem już zajęta.

– Rozumiem – powiedział, skinąwszy głową, nadal z uśmiechem na twarzy.

– Cóż, może zmienisz zdanie.

– Może – odparła, wiedząc, że nigdy tego nie zrobi. Ale nie chciała potraktować go zbyt szorstko. Była to wszak mała wysepka.

Na szczęście, nie wpłynęło to na ich trening. Walczyli jeszcze ze sobą kilka dobrych godzin, podobnie jak inni członkowie klanu, parując cios za ciosem. Z

rzadka, Patrick rzucał jakąś wskazówkę, jakąś mądrą radę. Najwyraźniej znał się na rzeczy. I był w tym dobry. Sądząc po jego wyglądzie, nie spodziewałaby się nigdy, że był w stanie walczyć. Naprawdę była zdumiona.

W końcu, kiedy praktycznie była u kresu sił i zaczęła się zastanawiać, ile to

jeszcze potrwa, usłyszała głos dzwonu.

Patrick, jak wszystkie wampiry wokół niego, nagle wypuścił broń z ręki i pospieszył w jednym, określonym kierunku.

Caitlin stała zaintrygowana.

– Lunch! – zawołał do niej przez ramię, mieszając się z tłumem.

Dzięki Bogu, pomyślała. Potrzebowała odpoczynku.

Kiedy ruszyła za wszystkimi w kierunku odległego krańca dziedzińca, nagle pojawiła się przy niej Polly. Jak zwykle, na jej twarzy gościł szeroki uśmiech, a oczy błyszczały.

– Szczęściara! – powiedziała.

Caitlin spojrzała na nią, nie wiedząc, o co jej chodzi.

– Dostałaś Patricka do pary – dodała.

Caitlin podążyła za wzrokiem Polly i nagle uświadomiła sobie, że on się jej podobał.

– Od dawna próbuję przykuć jego uwagę – powiedziała Polly – lecz on zdaje się tego nie zauważać.

O, o. Caitlin nagle zmartwiła się, że Polly może być o niego zazdrosna, że może nie chcieć już się z nią przyjaźnić – i to z powodu chłopaka, który się Caitlin nie podobał.

– Naprawdę? – spytała Caitlin, szczerze zaskoczona. – Ale przecież ty jesteś taka ładna. A on taki –

Na szczęście, Caitlin powstrzymała się w porę, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

Polly przyjrzała się jej z niepokojem. – On... jaki? – spytała.

Caitlin zaczęła myśleć gorączkowo, jakby tu wyplatać się z sytuacji.

– Jest taki... cóż... chciałam powiedzieć, że... pasuje do ciebie. Jestem zdumiona, że nie jesteście ze sobą.

Wyraz troski znikł z twarzy Polly i od razu zastąpiła go radość.

– Wiem, wiem. To nie ma sensu. A i on nie ma nikogo.

Dotarli do odległego krańca dziedzińca i Caitlin ujrzała przed sobą wielki, okrągły, kamienny stół oraz kamienne ławy wokół niego. Wszyscy siedzieli już i kiedy Caitlin podeszła bliżej, Polly chwyciła jej dłoń i poprowadziła do miejsca obok niej. Caitlin czuła wdzięczność, że miała już z kim siedzieć, gdyż nadal czuła skrępowanie przy tak licznej grupie, której członków w większości jeszcze nie poznała.

– To Madeline – powiedziała Polly – a to Harrison.

Caitlin spojrzała w lewo i zobaczyła niesamowicie piękną dziewczynę. Miała proste, czarne włosy i czarne oczy. Obok niej siedział chłopiec z krótką, jasną brodą i kędzierzawymi blond włosami. Oboje uśmiechnęli się do niej i podali jej

dłonie na powitanie. Każdy tutaj sprawiał wrażenie bardzo przyjaznego.

– A to Derrick i Sasha – powiedziała Polly, wskazując na prawo.

Caitlin obejrzała się i zobaczyła ich uśmiechnięte twarze. Skinęli głowami i Caitlin odwzajemniła ten gest. Oboje byli niscy i krępi. Mieli brązowe włosy i zielone oczy. I szeroki uśmiech. Ich życzliwość i ciepło było wyczuwalne nawet z tej odległości.

Caitlin zaczęła zastanawiać się, czy wszyscy tutaj tworzyli pary. Zaczynała czuć się nieco skrępowana.

Polly zamierzała przedstawić ją innym, kiedy nagle Patrick wśliznął się na miejsce między nimi.

– A ja jestem Patrick.

Caitlin odwróciła się i zobaczyła, że chłopiec zajął miejsce przy niej, uśmiechając się ponownie. – Ale ty już to wiesz – dodał i mrugnął okiem.

O, o, pomyślała Caitlin. Zaczynała czuć się nieswojo. Naprawdę lubiła Polly i nie chciała, by ta pomyślała, że spodobał się jej Patrick. Nie chciała też, żeby Polly myślała, że ona spodobała się Patrickowi, gdyż to z pewnością sprawiłoby, że Polly stałaby się zazdrosna. Chciała, by Polly była szczęśliwa. By wiedziała, że Patrick nie podoba się jej. Musiała wymyślić jakiś sposób, żeby Patrick zainteresował się Polly. Teraz jednak musiała skupić się na posiłku. Rozległ się dźwięk dzwonka i wszyscy wstali od stołu i podeszli do wielkiej, kamiennej płyty, na której, niczym na jakimś przyjęciu, leżało surowe mięso.

Naśladowując Polly krok w krok, Caitlin chwyciła kawałek mięsa i położyła go na talerz, po czym wzięła dzban z napojem.

Wróciła z Polly do stołu, trzymając w rękach talerz i dzban. Patrick podążył

w ich ślady.

Kiedy mieli już usiąść, Caitlin zamieniła się szybko miejscami z Polly, która zmuszona była teraz usiąść pośrodku, mając po lewej Patricka, a ją po prawej stronie.

Obejrzała się i zauważyła, że Patrick poczuł się tym rozczarowany, ale też że Polly była uradowana.

Caitlin uśmiechnęła się w duchu. Przynajmniej teraz siedział ktoś między nią a Patrickiem, dzięki czemu cała ta sytuacja stała się mniej kłopotliwa.

Rozejrzała się i zobaczyła jak inni członkowie klanu podnosili mięso do ust, wbijali w nie kły i wysysali krew. Nie jedli go – tylko gryźli i ssali.

Caitlin też spróbowała. Na początku wzięło ją obrzydzenie na myśl o surowym mięsie, ale kiedy ugryzła je i zaczęła ssać, kiedy poczuła krew spływającą jej do gardła, zorientowała się, że posoka działała na nią ożywczo i orzeźwiająco. Poczowała, jak wracają jej siły.

Zauważyła też, jak reszta klanu piła z dzbanów i zajrzała do swojego.

Wypełniała ją ciemna, czerwona ciecz. Krew zapewne. Pewno z jelenia.

Zaczęła pić. Na początku odrzuciła ją gęsta konsystencja i nieco słonawy smak krwi, jednak już po chwili z lubością delectowała się mocą w niej zawartą.

Wypiła resztę chyłkiem, odzyskując pełnię sił.

Nagle usłyszała skomlenie. Obejrzała się i zobaczyła za sobą Różę. Podała jej kawałek mięsa, a Róża zjadła je ochoczo.

I od razu dopominała się o jeszcze. Madeline i Harrison rzucili jej swoje, potem Polly i Patrick. Wkrótce wszyscy zaczęli rzucać jej skrawki, dzięki czemu Róża miała używanie, obżerając się surowym mięsem.

– Nie martw się – powiedziała Polly. – Cóż, jest co trenować, ale my wampiry wiemy także, jak się zabawić. Wieczorem będą zawody.

Caitlin nie była zmartwiona. W zasadzie to nawet spodobał się jej trening.

Uwielbiała to miejsce. Uwielbiała ćwiczenia, przebywanie na świeżym powietrzu i widok wody wokół. Polubiła wszystkich członków swego nowego klanu i pierwszy raz od naprawdę bardzo dawna poczuła się jak w domu.

Prawdziwym domu.

I wówczas go zobaczyła.

Kątem oka zauważyła czyjąś postać w oddali, spacerującą po piaszczystym brzegu.

Najpierw była pewna, że to jakieś złudzenie. No bo kto mógłby spacerować tam w tej chwili? Założyła, że cały klan siedział przy stole. Obejrzała się zatem i przyjrzała dokładnie. Zorientowała się, że jedno miejsce przy stole było puste.

Było ich tu dwudziestu troje.

Obserwowała samotną postać spacerującą po odległym brzegu i z każdą chwilą czuła, jak ten widok porażał ją coraz bardziej. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i był ubrany cały na czarno. Był też bardziej blady od innych. Miał

przydługie, faliste, brązowe włosy i duże, zielone oczy. Nawet z takiej odległości potrafiła wyczuć, że było w nim coś nietypowego, coś uderzającego – tak odmiennego od innych. Szedł powoli, spoglądając na wodę, odwrócony do nich tyłem. Caitlin nie potrafiła odwrócić od niego wzroku.

Zauważyła to Polly. Nachyliła się blisko. – A więc dostrzegłaś go nareszcie?

– zapytała. – Nasz nieuchwytny numer dwadzieścia cztery. Przynajmniej, kiedy już tu jest.

– Nie rozumiem – skwitowała Caitlin.

– Większość czasu spędza z dala od nas. Rzadko z nami trenuje, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie zasiada z nami do stołu. Nawet śpi we własnej kwaterze.

Bardzo często spaceruje po plaży, wypatrując czegoś. Nikt nie wie, o czym myśli. Typowy samotnik.

– Czegoś nie rozumiem – powiedziała Caitlin. – Myślałam, że musimy

razem trenować, razem jeść–

– Blake jest odstępstwem od reguły – powiedział Patrick drwiąco. – Aiden zawsze robi dla niego wyjątki. Nie wiem dlaczego. Powinien podporządkować się zasadom. Kiedy o tym pomyślę, to wydaje mi się nie w porządku.

– Ej, Patrick, nie musisz być taki ostry – powiedziała Polly. – Blake jest całkiem miły. Po prostu lubi samotność.

– Ale dlaczego? – spytała Caitlin.

Jednak odpowiedź nasunęła się sama. Nawet z tej odległości, używając swego wampirzego wzroku, Caitlin zdołała dostrzec to w jego oczach. Wampir zatracił się całkowicie w przeszłości. Zauważyła, że bardzo cierpiał.

Jakiegokolwiek doznał zawodu, najwidoczniej nigdy nie doszedł po tym do siebie. I prawdopodobnie nigdy już nie miał zaznać spokoju.

Dziwne, ale nawet z tej odległości Caitlin była w stanie odczuwać wszystko to, co go trapiło. I poczuła przytłaczający smutek. Przeraziła się, jednak z drugiej strony poczuła ulgę, gdyż jej własny smutek z powodu Caleba znikł na chwilę.

W tej samej chwili Blake odwrócił się i spojrzał prosto na nią, jakby wyczuł

jej wzrok. Ich spojrzenia spotkały się nagle i Caitlin poczuła się, jak sparaliżowana. W następnej chwili Blake odwrócił się i odszedł pospiesznie.

Caitlin poczuła przeszywający ją dreszcz. Wiedziała, że jeśli miała pozostać wierna Calebowi, musiała trzymać się jak najdalej od Blake'a.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ogarnięty nagłą wściekłością Sam otworzył oczy. Rozejrzał się po pokoju, nie mając pojęcia, gdzie jest. Miał wrażenie, że jego oczy otulała jakaś powłoka, jakby filtr. Coś było nie tak, bardzo nie tak.

Zorientował się, że przebywał w wielkiej, zbudowanej z kamienia komnacie.

Była słabo oświetlona, jednak dostrzegał wszystko bez problemu. Jakby patrzył

przez noktowizor.

Ale było coś jeszcze. Czuł się nieswojo. Czuł jakąś siłę krążącą w jego żyłach, w każdej części swego ciała. Jego węch się wyostriżył, słuch – także.

Czuł gniew. Jakby coś go ograniczało. Miał ochotę coś zniszczyć.

Jego nowy, wyczulony zmysł dotyku podpowiadał mu, że ręce i nogi zakuto mu w kajdany. Nie musiał nawet sprawdzać. Czuł, jak zimny metal wrzynał się mu w skórę. Przeczuwał też, niemal instynktownie, że był na tyle silny, by rozerwać okowy.

Jednym szarpnięciem nadgarstków wyrwał łańcuchy z muru. Wokół posypały się pustaki. Dysponował niesamowita siłą.

Obejrzał się i po raz pierwszy ujrzał przed sobą tę, na którą do tej pory czekał. Samanthę. Stała przed nim.

Rozpoznawał ją jak przez mgłę, częściowo tylko. Wiedział, że skądś ją znał.

Była taka jak on. Należała do tego samego gatunku, cokolwiek to znaczyło.

Podeszła bliżej i położyła mu dłonie na policzkach. Chciała, by skupił się na niej.

– Samie, słyszysz mnie? – spytała. – Chcę, żebyś na mnie spojrział. Skup się.

Musisz mnie wysłuchać.

Poczuł dotyk jej dłoni i nie podobało mu się to – nie chciał, by ktokolwiek, czy cokolwiek go dotykało.

Jednym, szybkim ruchem ręki strącił brutalnie jej dłonie.

Cofnęła się o dwa kroki i przyjrzała mu z rozwartymi szeroko oczyma. Była w szoku i czuła się zraniona.

– Nie dotykaj mnie – warknął Sam. Doznał wstrząsu, usłyszawszy swój głos, taki niski i gardłowy. Jak u zwierzęcia.

– Proszę, Samie. Muszę wyjaśnić ci, co się z tobą dzieje – powiedziała. – Nie bój się –

– Niczego się nie boję – warknął i podszedł do niej, czując, jak jego gniew wzbiera na sile. – Mógłbym zmiażdżyć cię w ułamku sekundy, gdybym chciał.

Cofnęła się o krok, a on dostrzegł strach w jej oczach.

– Samie, proszę, posłuchaj. Jestem po twojej stronie. Zaufaj mi. Musisz mi zaufać. Przemieniłam cię. Słyszysz? Musiałam to zrobić.

Przemienić mnie, pomyślał.

Jego mózg przepelniony emocjami i hormonami próbował zrozumieć to, co mówiła. *Przemieniła mnie*. Zaczął coś sobie przypominać. Jak zakuli go w łańcuchy. Jak przyszła Samantha. Jej kły... Tak, teraz już pamiętał.

Spojrzał na nią z nowo odkrytą w sobie nienawiścią.

Cofnęła się o kolejny krok.

– Proszę, Samie, musisz zrozumieć. Musiałam. Nie miałam wyboru.

Zamierzali cię zabić. Słyszysz? Chcieli cię zabić.

Zabić mnie, pomyślał, podchodząc do Samantha, gotowy ją zabić. Coś w jej głosie sprawiło, że się zatrzymał. *Zabić mnie*. *Zamierzali*

mnie zabić.

W końcu sobie przypomniał. Wampiry. Klan. Jak wzięli go jako zakładnika.

– Ocaliłam cię – powiedziała Samantha. – Ocaliłam cię przed śmiercią.

Musiałam.

Ocaliła mnie, pomyślał. Wówczas wszystko do niego dotarło. Ocaliła go. Już pamiętał. Nie była jego wrogiem.

Nareszcie przestał iść w jej kierunku. Poczuł, jak zeszło z niego napięcie, a gniew nieco zelżał.

Musiała to zauważyć, gdyż i ona przestała się cofać.

– To normalne, co teraz czujesz – powiedziała. – Zdarza się po przemianie.

Ty przeżywasz to nawet intensywniej, gdyż musiałam zrobić to szybko. Po prostu nie było czasu.

Sam poczuł nagle okropny ból w głowie, potem we wszystkich mięśniach.

Opadł na kolana i chwycił się za głowę, jęcząc z bólu.

Samantha podbiegła do niego i kucnęła, kładąc rękę na jego plecach.

– Przepraszam cię – powiedziała. – Ból minie. Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze. Teraz jednak musimy się stąd wydostać. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Sam słyszał jej słowa niewyraźnie, ale ból był przytłaczający. Był zbyt wielki, by Sam mógł się skoncentrować.

– Samie, słyszysz mnie? Musimy uciekać. Musimy się stąd wynosić! Tylko ty i ja. Nie ma–

Nagle rozległo się walenie do wielkich, dębowych drzwi ich komnaty.

Samantha obejrzała się. Sam zignorował to, nadal ściskając głowę z bólu.

Walenie do drzwi z każdą chwilą stawało się głośniejsze.

Sam wzdrygał się na każde pojedyncze uderzenie. Ból rozdzierał mu mózg.

Nie mógł już znieść tego hałasu.

– Sam, już tu są! – powiedziała. – Będą próbowali nas zabić. Musisz się

otrząsnąć. Musisz mi pomóc. Musimy walczyć!

Łomot powtórzył się i ból ponownie odbił się rykoszetem w głowie Sama.

Nie mógł już więcej tego znieść. Skoczył nagle na nogi i natarł na drzwi. Jego nadludzka siła sprawiła, że wyrwał je z zawiasów.

Na zewnątrz stała grupka wampirów, bezwzględnych egzekutorów, którzy najwyraźniej zauważyli już martwych strażników leżących przy wejściu.

Przybyli tu, aby zabić Sama i Samanthę. To jedno było oczywiste.

Sam nie dał im jednak okazji. Kiedy tak stali i gapili się na niego zaskoczeni tym, że był w stanie wyrwać drzwi, Sam podźwignął masywne podwoje, uniósł

je obiema rękoma nad głowę i kiedy go zaatakowali, zamachnął się nimi.

Rąbnął ich drzwiami, posyłając w powietrze w poprzek korytarza.

Wylądowali na odległej ścianie z łomotem i osunęli się na podłogę. Potem zamachnął się drzwiami ponownie i rzucił na nich, miażdżąc ich ciała pod spodem.

Sam czuł, jak gniew rozchodzi się po jego ciele, odchylił się i zawył. Dźwięk był okropny. Wypełnił całe pomieszczenie, zmuszając nawet Samantę do zasłonięcia uszu. Wpadł w szal.

Samatha gapiała się na niego z drugiego końca komnaty, zszokowana stworzonym przez siebie monstrum.

Sam jednak jej nie zauważył. Chciał zabijać, a jego nowo nabyte zmysły podpowiadały mu, gdzie iść.

Wyskoczył na korytarz i pobiegł, pokonując jednym krokiem dwadzieścia stóp.

– Sam! – krzyknęła za nim Samantha.

Nie zawrócił.

– Sam, nie tędy! Ta droga prowadzi do klanu! Musimy się stąd wydostać.

Musimy uciekać! Musisz zawrócić! Wpakujesz się w sam środek gniazda szerszeni!

– Doskonale! – wrzasnął. Nie odwrócił się nawet, tylko pobiegł dalej, pokonując piętro jednym susem.

Nie chciał bowiem unikać niebezpieczeństwa. Wolał zmierzyć się z nim.

Obiema rękoma. I rozedrzeć przeciwników na strzępy.

*

Sam gnał wąskimi korytarzami podziemi Ratusza Miejskiego bez opamiętania. Wyczuwał dokładnie, gdzie iść, gdzie znajdowało się gniazdo wampirów. Chciał rozlewu krwi. Chciał walki. Oni wszyscy ponosili odpowiedzialność za to, że tu trafił, za przetrzymywanie go w niewoli. Chciał, żeby teraz za to zapłacili. Wszyscy.

Pokonał kolejny korytarz, jeszcze jedne schody i przed sobą zobaczył

szerokie, podwójne drzwi. Bez chwili wahania natarł na nie, wyrwał z zawiasów oba skrzydła jednocześnie, odrzucił głowę do tyłu i zaryczał.

Wydał z siebie okropny dźwięk, który sprawił, że ziemia zadrżała.

Wszystkie wampiry, każdy z tysięcy, które tam były, odwróciły się w jego stronę. Mimo, że byli bestialscy i okrutni, pokaz siły Sama wstrząsnął nimi do głębi. Sam nie był jednym z wielu. Jego moc, jego głos – najwyraźniej było w nim coś wyjątkowego.

Zanim którykolwiek z nich zdążył zareagować – nawet z ich zawrotnie szybkimi umiejętnościami – Sam skoczył w tłum i urwał dziesięciu wampirom głowy. Zaczął miotać się po sali, siał spustoszenie wszędzie, gdzie się pojawił.

Jego gołe dłonie stały się jego bronią. Jego paznokcie przemieniły się w długie pazury. Jego mięśnie stwardniały na stal – ktokolwiek próbował z nim walczyć, po prostu odbijał się od niego. Był niczym lawina destrukcji, wywoływał panikę i chaos wszędzie wokół.

Wkrótce wszyscy stracili głowę, zaczęli biegać na wszystkie strony, tratować się, byleby tylko umknąć śmierci.

Niektórzy członkowie klanu podjęli próbę wspólnego odparcia atakującego Sama. Całe grupy natarły na niego w skoordynowany sposób. On jednak odchyłał się, wyrzucał ręce w powietrze i odrzucał ich wszystkich od siebie. Był

jednoosobową machiną zagłady.

W pewnym momencie zauważył go Kyle. Wstał z tronu, i stojąc po środku sali na wywyższeniu, obserwował całe zajście. Ujrzał wampira, niepodobnego do żadnych, z którymi przyszło mu się dotąd zmierzyć. Wkrótce zorientował się, że tym wampirem był Sam. Ta suka. Samantha. Przemieniła go. Chłopak zaś dysponował siłą, o którą nikt z obecnych go nie podejrzewał. Sam był gotowy unicestwić połowę jego wojska. Kyle nie mógł na to pozwolić.

Zeskoczył z tronu i wylądował pośrodku tłumu, rozpychając na boki członków własnego klanu. Żalosił armię. Nie potrafili nawet poradzić sobie z jednym chłopcem.

Przepchnął się przez tłum i wkrótce stanął naprzeciw Sama.

Sam wziął zamach i ciał go po twarzy. Ten zdążył zablokować jego cios dzięki swej niesamowitej zwinności i sile, ale tylko odrobinę. Był zdumiony potęgą mocy ukrytej w ramieniu Sama. Nigdy jeszcze nie spotkał czegoś podobnego.

Spróbował odepchnąć Sama do tyłu i z jeszcze większym zaskoczeniem odkrył, że Sam nawet nie drgnął. Przeciwnie, popchnął Kyle'a i ten poleciał w tył kilka kroków.

Usiadł na podłodze zdumiony. Nigdy jeszcze nie przydarzyło mu się coś podobnego. Kim był ten chłopak?

Kyle wziął rozbieg, skoczył w powietrze i kopnął Sama obiema nogami w pierś. Ten poleciał do tyłu, najwyraźniej również zaskoczony.

Kyle wyciągnął miecz i przytknął do szyi Sama, gotów zadać śmiertelny cios.

Coś jednak go powstrzymało. Kiedy miał już pchnąć, Sam zniknął przed jego oczu. Zamiast niego ujrzał swoją byłą żonę Keirę. Nie widział jej od setek lat. Kochał ją bardzo i jej widok sprawił, że się wzdrygnął. Skąd ona się tu wzięła? I gdzie podział się Sam?

Zanim uzyskał odpowiedzi na te pytania, poczuł potężne kopnięcie w pierś, które posłało go w tył, w głąb pomieszczenia. Uderzył mocno głową o swój tron.

Usiadł na podłodze zdezorientowany.

Zobaczył, jak w jego kierunku szarżuje Keira, potem jak zmienia się z powrotem w Sama. I zdał sobie sprawę z tego, co się stało.

Zmiennokształtność. Sam mógł zmieniać wygląd.

Świadomość tego wprawiła Kyle'a w osłupienie.

Sam zanurkował w kierunku twarzy Kyle'a, który ledwie zdążył się uchylić.

Na jego szczęście, gdyż uderzenie Sama oderwało spory kawał tronu.

Kyle nadal nie mógł się nadziwić sile chłopca. Nie mógł go teraz zabić. To wiedział na pewno. Nie kogoś z taką siłą. Musiał go ujarzmić; musiał zrobić z niego swojego żołnierza.

Sam natarł na niego ponownie. Tym razem, Kyle wyciągnął zza pasa tajną broń: srebrną sieć. Kiedy Sam zbliżył się, Kyle zarzucił ją na niego i zszedł mu z drogi.

Sieć rozwinęła się natychmiast i owinęła Sama wampirzym srebrem, całkowicie go oplątując.

Owinięty nią Sam zaczął rzucać się i ciskać, lecz był bezradny. Nie mógł się z niej oswobodzić. Oczywiście, że nie. Srebro unieruchamiało każdego wampira.

Był to ulubiony sposób Kyle'a, by pojmać żywego wampira.

Kiedy Sam leżał na ziemi i wił się w sieci, podbiegł do nich jeden z żołnierzy Kyle'a, cały we krwi.

– Zabij go, mój mistrzu! – krzyknął.

– Nie – odparł Kyle spokojnie, wciąż ciężko dysząc. – Ma wyjątkowe moce.

Będziemy go potrzebować.

W tym momencie rozległ się kolejny huk przy drzwiach. Do środka wbiegła Samantha i chwyciła Sergeia od tyłu. Do jego szyi przytknęła srebrny sztylet.

– Jeśli zabijesz Sama, ja zabiję Sergeia! – wrzasnęła do Kyla.

Kyle uśmiechnął się do siebie. Nie dbał ani trochę o Sergeia i myśl o tym, że Samanta sądziła, że tak było, rozbawiła go. Nie zdawała też sobie sprawy, że on również chciał, żeby Sam żył.

– Nie zamierzam go zabić – powiedział. – Puść Sergeia, to ciebie również oszczędzę.

– Skąd mam mieć pewność? – spytała z rezerwą.

– Od lat nie widziałem nikogo, kto potrafiłby się przeobrażać. Nie chcę, żeby umarł. Chcę, by został moim żołnierzem.

Samantha zrozumiała, że mówił prawdę. Wypuściła Sergeia, który czym prędzej czmychnął w kierunku tłumu. Samantha podeszła do

Kyle'a.

– Uwolnij go – rozkazała.

Kyle spojrział na Sama niepewnie.

– W porządku – powiedziała, zbliżając się do sieci i zatrzymując tuż obok niej. – Sam, słyszysz mnie? – zapytała. – Już w porządku.

Koniec zabijania.

Zemsta się dopełniła. Już wszystko w porządku.

– Wypuszczą cię, ale nie możesz już zabijać. Jesteś teraz jednym z nas.

Jesteś żołnierzem. Są inni, których będziesz mógł pozabijać. Nas nie wolno.

– Skąd pewność, że nie zaczniesz znowu zabijać? – spytał Kyle.

– Zaręczam za niego – odparła.

Po długiej chwili Kyle skinął głową i kilku jego ludzi podeszło do sieci i zdarło ją z Sama.

Sam skoczył na nogi, gotowy do dalszej walki, ale Samantha chwyciła go od tyłu i przyłożyła chłodną, uspokajającą dłoń do jego twarzy. Odwróciła go do siebie, zmusiła, by spojrział na nią, w jej oczy.

– Samie, posłuchaj – powiedziała. – Oni nie są naszymi wrogami.

Sam spojrział na nią, starając się ją usłyszeć, zrozumieć.

– Cierpliwości – powiedziała. – Będziesz miał jeszcze wiele okazji do zabijania.

Wiele zabijania. Sam uśmiechnął się na samą myśl o tym. Tak, mógł poczekać.

Ostatecznie to był dopiero początek.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Caleb szybował nad spowitym nocnym mrokiem Manhattanem, odziany w pelerynę, z laską trzymaną pewnie w dłoni. U jego boku leciał brat Samuel, dzierżący rękawicę, a dalej dziesiątki jego żołnierzy. Dysponowali bronią, której niewielu wampirom udałooby się przeciwstawić. Mimo to Caleb wiedział, że ich moc nawet w połowie nie dorównywała mieczowi i gdyby przyszło im stanąć do walki z Kyle'm, ich szanse byłyby marne.

Nie wspominając o tym, że mieli zaledwie kilkunastu żołnierzy, natomiast Kyle miał ich tysiące. I to na każde zawołanie. Gdyby tylko klan Caleba nie był

tak ograniczony; wówczas prowadziliby do bitwy tysiące wampirów i mogliby nawet wygrać tę wojnę. A tak, z tą niewielką grupą bojową, Caleb miał

świadomość, że wyruszył w misję samobójczą.

Mimo to musiał spróbować. Nie miał innego wyboru. Nie mógł tak po prostu siedzieć i czekać, aż Nowy Jork zostanie opanowany przez bandę Kyle'a, aż wszyscy ludzie pomrą z bezsilności. Nie mógł też pozwolić, aby Kyle urosł w siłę. Sędziowie mieli zbyt wiele uprzedzeń, by to dostrzec. Dokonali wyboru.

Caleb jednak, jak to zwykł robić od setek lat, nie miał zamiaru czekać na czyjeś pozwolenie. Zamierzał podjąć walkę na oślep, pozostawiając cały strach za sobą i przyjmując wszystko, co mogło się wydarzyć.

Obejrzał się i z wdzięcznością uświadomił sobie, jak dobrze było mieć przy sobie takiego brata jak Samuel. Przez te wszystkie lata zawsze mógł na nim polegać, liczyć na to, że razem z nim rzuci się bez wahania w bitewny zamęt.

Bywało ciężko, jednak zawsze udawało im się wyjść z tego cało.

Wrócił myślami do Caitlin. Nie potrafił zapomnieć o niej na dłuższy czas.

Czuł się bardzo źle na myśl o ich nieporozumieniu, co więcej, cierpiał, myśląc, że Caitlin mogła wierzyć, że nadal coś czuł do Sery. Ponad wszystko chciał

wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze. Pomyślał o liście, który do niej wysłał i o tym, czy dotrze do niej bezpiecznie, i czy ona zechce go przeczytać. Kiedy ta wojna dobiegnie końca – jeśli kiedykolwiek to się stanie, a on to przeżyje – miał

zamiar wrócić do niej i spróbować wszystko wyjaśnić. Niczego tak nie pragnął, jak być z nią z dala od tego wszystkiego, żyć razem w harmonii. Jeśli nie było jeszcze za późno.

Przelatując ponad dachami domów Nowego Jorku, spojrzął w dół. Poniżej panował totalny chaos. Przelecieli nad Aleją Central Park West, okrążyli kraniec parku i ich oczom ukazało się prawdziwe piekło, zarówno w samym parku, jak i poza nim. Podobnie zresztą jak to się miało w przypadku innych dzielnic miasta,

Central Park West był dosłownie zapchany samochodami, rozbitymi w niezliczonych kraksach. Ich pasażerowie uparcie bili w klaksony, przeklinali jeden drugiego, wyskakiwali z aut i uciekali.

Nie mieli jednak szans uciec zbyt daleko, gdyż już w następnej chwili spadały na nich z nieba najemne wampiry. Masakra ludzi trwała w najlepsze. Na każdego człowieka przypadał przynajmniej jeden wampir. Roilo się od nich w całym mieście, niczym od mrówek w mrowisku. I rozszarpywały ludzi na kawałki.

Caleb wraz ze swoją grupą leciał, kierując się dalej na południe, w stronę Ratusza Miejskiego. Przelecieli nad rondem Columbus Circle i dalej, lecąc w luźnej formacji nad Broadwayem. Jediną zaletą całej tej sytuacji był fakt, że jak dotąd wampiry Kyle'a były zbyt zajęte na ziemi i nie zwracały sobie głowy patrzeniem w niebo. Wyglądało na to, że Caleb, Samuel i cała reszta objęli całkowite panowanie w powietrznej przestrzeni.

Caleb jednak zbyt szybko się z tą myślą pospieszył. Nagle, kiedy wleciał z oddziałem na Times Square, podniósł wzrok i ujrzał dziesiątki wampirów Kyle'a lecących wprost na nich. Caleb i reszta byli za bardzo pochłonięci obserwowaniem tego, co działo się poniżej i nie zostało im czasu na przygotowanie się do walki.

W ostatniej chwili Caleb wydobyl laske, a Samuel uniosl swoja rekawice.

Zdazyli wziac zamach i powalic kilku wampirów w powietrzu. Lecz bylo ich zbyt wielu. Caleb nie zdołal zamachnac sie powtornie, gdyz wokół pojawili sie przeciwnicy, chwycili go i zaczęli sciagac na ziemie. Smagnal laską z wściekloscia i udalo mu sie kilku z nich pozbyc, jednak od razu pojawila sie chmara nowych. Bylo ich po prostu zbyt wielu. Runal z nimi na ziemie, dokladnie w sam srodek Times Square.

Uderzyl ciezko o ziemie z dziesiatka wampirów na sobie. Zauwazyl, ze Samuela i jego zolnierzy spotkal ten sam los.

Kiedy jednak znalezi sie juz na ziemie, przewaga Caleba ujawnila sie natychmiast. Zdołal skoczyc na nogi i zamachnac szaleńczo laską, stracajac pieciu wampirów za jednym razem. Chwycil swoja broń za drugi koniec i przebil jej ostrzem niczym włócznią szyje kolejnego wampira. Potem walnal

zaokrąglonym koncem w glowe następnego. Chwycil za czubek laski i zamachnal sie nim szaleńczo wkoło, powalajac za jednym zamachem dziesieciu wampirów i odgradzajac sie od reszty na dlugosc swojej broni.

Samuel instynktownie dołączył do niego, stając odwrócony plecami, i zaczął

wywijać i dźgać rękawicą. Jego broń była niesamowita. Kiedy tylko zderzała się z ciałem wampira, rozlegał się głuchy odgłos i wampir odlatywał pokonany w powietrze. Również dwa wystające palce rękawicy zbierały swoje żniwo, kiedy

Samuel dźgał nimi w oczy i gardła wampirów, powalając je na kolana.

Bracia walczyli ze wszystkich sił, stojąc odwróceny do siebie plecami, i razem zdołali unieszkodliwić dziesiątki wampirów.

Żołnierze Samuela, wszyscy dzielni wojownicy, wykończyli resztę.

W przeciągu kilku minut wszystkie wampiry Kyle'a zostały pokonane. Caleb zlustrował wzrokiem swój oddział i stwierdził, że w walce stracili tylko jednego żołnierza. Kilku innych zebrało ciężki, ale przeżyli.

Caleb rozejrzał się. Stali na Times Square, w samym środku poboju.

Wszędzie panował chaos. Plac nadal oświetlały błyskające bilbordy, lecz wszelkie inne ślady normalności znikły. Ludzie krzyczeli i biegali wszędzie wkoło, gonieni przez bandy wampirów.

Samochody stały zakleszczone w takim stopniu, że nikt nawet nie próbował ruszyć z miejsca. Niektórzy wyskakiwali z nich i uciekali, inni blokowali drzwi i zamykali okna – jakby to miało im w czymś pomóc. Caleb zauważył, jak jakaś kobieta zatrzasnęła drzwi swojego SUVa, a w następnej chwili jakiś wampir wyrwał je z zawiasów, chwycił ją i wyciągnął na zewnątrz.

Caleb ruszył w jego kierunku. Zanim wampir zdążył zatopić kły w szyi kobiety, Caleb wbił w niego łaskę i posłał w powietrze w samo skupisko aut.

Kobieta wrzeszczała nieprzerwanie, spojrzawszy na Caleba. Była w szoku.

Caleb rozejrzał się. Wampiry ganiały za ludźmi. Bez chwili wahania rzucił

się na nie, a Samuel i jego żołnierze przyszli mu w sukurs. Ratowali każdego człowieka na swej drodze.

Kiedy skończyli, dziesiątki kolejnych wampirów Kyle'a zaścielały ziemię pozbawioną życia, albo też świadomości. Nie miały szans wobec broni Caleba i Samuela, wobec żołnierzy Samuela – no i

zostały też wzięte z zaskoczenia, bezbronne w trakcie jedzenia. W przeciągu kilku minut sytuacja na Times Square uległa całkowitej zmianie, a nieliczne, pozostałe przy życiu wampiry Kyle'a zaczęły ratować się ucieczką.

Caleb i reszta jego oddziału zaczęli ścigać uciekinierów, aż ci w końcu wzniesli się w powietrze i odlecieli. Times Square należał do nich.

Ocaleni ludzie zaczęli uświadamiać sobie, co zaszło i wznosić okrzyki radości. Caleb obejrzał się, kiedy zauważył, że niektórzy z nich klepali go po plecach.

– Kim jesteś? – zapytał któryś.

Caleb spuścił wzrok i zobaczył chłopca. Malec mógł mieć najwyżej dziesięć lat i wpatrywał się w niego z podziwem. Caleb zdał sobie sprawę, że z punktu widzenia dziecka musiał wyglądać w swej magicznej szacie i z laską z kości słoniowej w dłoni na kogoś w rodzaju superbohatera.

– Tylko przyjaznym wampirem z sąsiedztwa – odparł z uśmiechem.

– Możesz uratować mojego tatusia? – zapytał chłopiec.

Malec zaprowadził Caleba do swojego samochodu i otworzył drzwi.

Na miejscu kierowcy siedział mężczyzna z widocznymi oznakami choroby, cały pokryty ranami.

Caleb potrząsnął głową. Od razu to rozpoznał. Dżuma.

Poczuł wstręt i żal. Kyle musiał rozpełtać zarazę, pomyślał. Nikogo innego nie byłoby stać na takie zło.

Poczuł czyjąś obecność za sobą i obejrzał się. Tuż przy nim stał Samuel i spoglądał na samochód.

– Dzieło Kyle'a – powiedział Caleb.

Samuel potrząsnął głową.

Caleb poczuł jeszcze większą determinację, jeszcze większą pewność siebie i tego, co zamierzał uczynić. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że musieli powstrzymać Kyle'a. I że liczyła się każda minuta.

Nagle usłyszał jakiś hałas. Obejrzał się i po drugiej stronie Times Square dostrzegł setki wampirów zmierzające w ich kierunku. Szli beztrąsko, pewni siebie, wprost w stronę Caleba i Samuela. Ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać, ustępując im drogi.

Caleb i Samuel nie wystraszyli się jednak. Caleb przyjrzał się im uważnie.

Nie rozpoznał w nich ludzi Kyle'a. Odgadł łatwo, że należeli do innego klanu.

Jednego z tych życzliwych. Będących po ich stronie. Wylewali się potokiem ze świątyni Times Square Church.

Podeszli do Caleba i zatrzymali się w odległości zaledwie kilku stóp. Ich przywódca przyglądał się Calebowi.

– Chcemy przyłączyć się do was – odezwał się mężczyzna.

Caleb skinął głową, zmierzył wzrokiem ich liczebność, setki wampirów i poczuł, że los mu sprzyja.

– Idziemy do Ratusza – powiedział Caleb. – Do klanu Blacktide.

Zamierzamy rozprawić się z nimi raz na zawsze.

Przywódca skinął głową i powoli wyszczerzył zęby. – Tysiące lat o tym myślałem – powiedział.

Samuel uśmiechnął się. – Lećcie w takim razie za nami!

Caleb, Samuel i ich oddział żołnierzy wzbili się w powietrze. W tej samej chwili rozległ się potężny odgłos trzepoczących skrzydeł i Caleb wyczuł za sobą obecność setek kolejnych wampirów.

Teraz byli już armią. I jako armia zmierzali do Ratusza Miejskiego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Samantha stała w wielkiej, pogrążonej w nieładzie sali, w otoczeniu kłębiących się tysięcy wampirów, przed siedzącym na tronie Kyle'em. Tuż obok niej stał Sam. Myślała o tym, jak wszystko nagle się zmieniło. Nie przewidziała tego. Wyobrażała sobie ucieczkę z tego miejsca, razem z Samem, pozostawiając wszystko daleko za sobą. Ale wydarzenia potoczyły się inaczej.

Wiedziała, że ryzykowała, przemieniając Sama w tak ekspresowym tempie, i że różnie mogło się to skończyć. Po prostu nie miała czasu i musiała zaryzykować. A mimo to, nie przewidziała, że sprawy przybiorą taki obrót. Sam wybudził się ogarnięty furią i obdarzony siłą wykraczającą poza wszystko, czego doświadczyła w swym życiu. W jego żyłach płynęła też krew, jakiś jej rodzaj, którego nie potrafiła rozpoznać. Nigdy, przenigdy nie widziała, aby tak młody wampir dysponował tak wielką mocą. Może powodem tego był fakt, że wywodził się z tego samego rodu, co Caitlin. W nim jednak krew

miała mroczny odcień, czyniąc z niego o wiele bardziej bezwzględnego wampira.

Nie przewidziała, że nie będzie w stanie nad nim zapanować, że będzie spragniony rozlewu krwi, zemsty. Całkowicie ją to zaskoczyło. Był jak dzika, nieposkromiona bestia.

I z tego powodu kochała go jeszcze bardziej.

Nie spodziewała się też, że wpadnie do komnaty z wampirami z jej klanu i tak wielu z nich zabije. Ani też jego niesamowitej, niewiarygodnej wręcz siły.

Czuła się wyróżniona, że jej nie próbował zabić.

Nie oczekiwała również tego, że Kyle zdoła pojmać Sama. Ani też, że pozwoli mu żyć – i uczyni go swoim żołnierzem.

Rozmyślała gorączkowo. Zewsząd, z każdego krańca miasta napływały raporty o zdobyczach klanu Blacktide – klanu, który teraz należał do Kyle'a.

Wampiry wszelkiego rodzaju, członkowie sąsiednich klanów, wypelzały na światło dzienne, napływały z różnych zakątków miasta, by wziąć udział w wojnie. Każdy podziwiał zwycięzcę, zastępy Kyle'a rosły więc w siłę z każdą chwilą. Nadszedł czas klanu Blacktide. Nikt nie był w stanie umknąć przed nim, ani przed skutkami krucjaty, jakie czekały cały świat.

Samantha zaczęła ponownie rozważać swoje plany. Ostatecznie, była obecnie w miejscu, które stało się siedzibą władzy; Sam żył, był bezpieczny i przeszedł już przemianę, a Kyle wybrał go na swojego żołnierza. Nie groziło mu już niebezpieczeństwo, ani też jej. Przeciwnie, byli w idealnej sytuacji – w odpowiednim miejscu i czasie i nadarzała się okazja, by sięgnąć

niewyobrażalnych wyżyn władzy.

Może wcale nie musiała próbować uciekać z Samem. Im więcej o tym myślała, tym większej nabierała pewności, że jednak nie powinni. Na dłuższą metę, czuła, że dla niej i Sama było korzystniej wypłynąć na fali wydarzeń i przekonać się, do czego to prowadzi. Nie było sensu przeciwstawiać się we dwoje całej armii. Tak długo, jak mogli być razem, nie robiło to naprawdę żadnej różnicy. Była typem twardziela dającego sobie radę w każdych warunkach. Dzięki temu zdołała utrzymać się przy życiu przez tysiące lat. W

obecnej sytuacji udział w wojnie Kyle'a był wyborem pójścia po najmniejszej linii oporu.

Stała razem z Samem przy tronie Kyle'a. Zajrzała Samowi w oczy. Nadal obserwował wszystko szklistym wzrokiem, nadal był pod wpływem przemiany.

Wydawał się niezdolny do dokładnej oceny sytuacji. Poza tym, ignorował

wszystkich, którzy chcieli z nim porozmawiać. Na szczęście Samantha potrafiła do niego częściowo dotrzeć. W zasadzie była jedyną osobą, której obecność zauważał. Może, dlatego, że to ona go przemieniła. A może nadal nosił ją w zakamarkach swojej pamięci. Bez względu na to, jaki był powód, była mu wdzięczna. Sięgnęła dłonią i chwyciła go, ściskając mocno. Cokolwiek miało się stać, była gotowa poprowadzić go i stać u jego boku.

W tej samej chwili potężne drzwi komnaty otworzyły się nagle i do środka wpadł oddział wampirów, całych posiniaczonych i we krwi, ewidentnie czymś poruszonych. Wmaszerowali na środek pomieszczenia. Wszyscy ustąpili im z drogi.

Kyle wstał, a Samantha zauważyła na jego twarzy oznaki zmartwienia.

Cokolwiek im się przydarzyło, nie wróżyło nic dobrego.

*

Kyle spojrział w dół na wojowników zmierzających w jego kierunku. Nie podobał mu się wyraz ich twarzy. Czuł wzbierający w sobie gniew. Wiedział, że przynosili wieści o swej pierwszej porażce. Kyle zaś nie tolerował żadnej przegranej – ani pokonanych – i jeśli takie wieści przynosili ze sobą, to drogo za to zapłacą. Jeśli myśleli, że znajdą w nim cień współczucia, srogo się mylili.

Grupa złożona z około tuzina wampirów zbliżyła się wreszcie do jego tronu i złożyła niski ukłon. Potem wstali i stojący pośrodku żołnierz przemówił głosem pełnym strachu.

– Najwyższy dowódco – powiedział. – Przynosimy złe wieści. W bitwie straciliśmy wielu naszych braci. Inne klany zjednoczyły się i walczą przeciwko nam. W sali rozległ się okrzyk zdziwienia.

– CISZA! – wrzasnął Sergei. Uderzył kilkakrotnie laską o podłogę i zgromadzone w komnacie wampiry ucichły.

Kyle spoglądał w dół, czując, jak gniew bierze nad nim górę. Żałolni wojownicy. Dlaczego nie mogli walczyć tak, jak on?

– Który to klan śmiał stanąć z nami do walki? – spytał powoli.

– Rozpoznałem jedynie dwóch wampirów, mój dowódco. Jeden z nich to Caleb, a drugi to Samuel. Z Białego klanu.

W sali rozległ się kolejny stłumiony okrzyk.

– Ale to nie wszystko – kontynuował żołnierz, przekrzykując zgiełk.

– Mieli ze sobą nieznaną nam broń. Laskę z kości słoniowej i złotą rękawicę. Na niewiele zdały się nasze działania w starciu z tą bronią. Przewyższaliśmy ich liczebnie, a mimo to zgładzili prawie cały nasz oddział.

W sali rozległ się głośny szmer.

– Co gorsza! – wrzasnął. – Widzieliśmy inne klany, które dołączały do nich, by wesprzeć ich w bitwie. Rosną w siłę nawet teraz, kiedy o tym mówimy. I zmierzają tu do nas!

W komnacie zapanował chaos.

– CISZA! – wrzasnął Sergei kilka razy, waląc laską o podłogę. Po kilku minutach wampiry ucichły.

Kyle spoglądał lodowatym wzrokiem na żołnierza. Trząśł się, starając powstrzymać wybuch gniewu. Ale daremnie.

– Więc – zaczął lodowato zimnym tonem – przynosicie wieści o swej porażce. Mówicie, że uciekliście, jak tchórze.

Strach wykrzywił twarze żołnierzy.

– Mój dowódco, musieliśmy donieść ci o tym, co się stało. Musieliśmy ostrzec cię. Musieliśmy przekazać ci–

Kyle podniósł dłoń i żołnierz umilkł w połowie zdania.

– Wiecie, że w mojej armii obowiązuje tylko jedna zasada – powiedział. –

Nie ma odwrotu. Nigdy.

To powiedziawszy, Kyle chwycił nagle oparty o tron miecz, zeskoczył z podwyższenia i jednym, czystym cięciem ściął głowy wszystkich stojących tam żołnierzy.

Ich czerepy potoczyły się po podłodze, a ich ciała stały jeszcze w bezruchu przez dobrą sekundę lub dwie. Potem osunęły się z wolna i upadły na podłogę.

W komnacie zapanowała głęboka cisza. Poza jednym dźwiękiem – toczących się wciąż głów.

Kyle miał zamiar otworzyć usta i przemówić, przygotować swój klan na wojnę, kiedy ni stąd ni zowąd drzwi otworzyły się ponownie.

Do wewnątrz weszła dziesiątka ubranych w garnitury ludzi, kroczących arogancko, zmierzających na środek sali, wprost do Kyle'a. Kyle zamrugał

powiekami dwukrotnie, sądząc, że coś mu się przewidziało. Ale nie.

Przyszli. *Ci* urzędnicy. Ci, co zamieszkiwali wyżej, którym zdawało się, że rządzą w tym miejscu, w tym mieście. Szli z arogancją typową dla ich gatunku, ale kiedy weszli głębiej, kiedy stanęli oko w oko z tysiącem wampirów, kiedy zobaczyli krew na podłodze, świeżo ścięte głowy, ich pewność siebie osłabła.

Drastycznie.

Podnieśli wzrok na Kyle'a, który uśmiechał się do nich szyderczo. Pałał

gniewem, dzierżąc miecz ociekający krwią. Już nie byli tacy pewni siebie.

– Macie czelność wchodzić do naszej komnaty? – zapytał Kyle.

– Żyjecie w podziemiach *naszego* budynku – odparł stojący na czele urzędników mężczyzna. Pozwalamy wam tu mieszkać. Nie zapominajcie o tym.

Jedno nasze skinienie palcem i armia USA wykurzy was stąd na wieki.

Kyle uśmiechnął się szeroko. Spodobała mu się zuchwałość tego gościa. W

zasadzie polubił go na tyle, żeby zadać mu szybką śmierć.

– Naprawdę? – spytał Kyle.

– Tolerowaliśmy waszą obecność tutaj przez te wszystkie lata, ponieważ zawsze stosowaliście się do naszych reguł – kontynuował polityk. – Teraz jednak rozsialiście zarazę i niewinni ludzie umierają przez was na ulicach. Nie raczyliście nas przed tym ostrzec, ani też nie wydaliśmy na to naszej zgody.

– Wasze dni dobiegły końca. Pakujcie się i wyńście. Inaczej sprowadzimy Gwardię Narodową. A jeśli jutro jeszcze was tu zastaniemy, wszystkich zetrzemy w proch.

Kyle uśmiechnął się szerzej i podszedł kilka kroków bliżej do polityka. Krąg wampirów zaczął zacieśniać się wokół ludzi. Kyle'a

cała ta sytuacja zaczęła bawić. Gdyby ten żaloszny człowieczek był wampirem, Kyle mógłby się z nim nawet zaprzyjaźnić.

– Jestem zmuszony prosić was – zaczął powoli Kyle, podchodząc do człowieka jeszcze bliżej, widząc, jak jego oczy zaczynają rozszerzać się ze strachu – aby wasze wojska przybyły tu i „starły nas w proch”. Czy nie należałoby wydać im najpierw rozkazu?

Człowiek cofnął się o krok. – Tak, oczywiście – powiedział pozbawionym przekonania głosem.

– I kto miałby przekazać te rozkazy? – spytał Kyle.

– Ja – odparł śmiało mężczyzna.

Kyle uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Tak myślałem.

Skinął głową na Sergeia, który dał znak innemu wampirovi i sekundę później szerokie, dębowe drzwi zamknęły się z hukiem.

Politycy obejrżeli się, potem spojrzeli po sobie, następnie na Kyle’a, aż w końcu na wszystkie wampiry stojące wokół nich. Teraz na ich twarzach pojawiło się nieskrywane przerażenie.

– No cóż – powiedział Kyle powoli. – Przypuszczam, że ten rozkaz nigdy nie zostanie wydany, prawda?

Zanim człowiek zdążył zareagować, Kyle skoczył i ciał mieczem, odrabując mu głowę eleganckim sztychem.

W przeciągu kilku następnych sekund setki innych wampirów rzuciły się na pozostałych urzędników, uczując i rozkoszując się smakiem ich krwi.

Kyle odwrócił się i ruszył pędem w kierunku Sama i Samantha. Stał przed nimi i spojrzął gniewnie. Był nadal wściekły.

Spojrzał w oczy Sama i dostrzegł dobrze sobie znany błysk szau. Wyczuł w chłopcu pokrewną duszę i polubił go natychmiast. Co ważniejsze, był pod wrażeniem jego mocy, jego zmienności. Dokładnie takiej mocy potrzebował, by wytrącić swoich wrogów z równowagi. Takiego żołnierza chętnie widział przy swoim boku.

– Ten Caleb jest mi solą w oku – powiedział do Sama. – Podobnie jak twoja siostra. Gdzie jedno, tam i drugie. Tak długo jak oboje będą żyć, nie zaznamy spokoju – dodał. – Najwidoczniej, jeśli chcę, by to odniosło skutek, sam muszę tam iść i ich pozabijać. Co ważniejsze, będę musiał pojmać Caleba. Gdy go pokonam, twoja

siostra przyjdzie jak po sznurku. Wówczas nic innego nie stanie już nam na drodze,

Podszedł do Sama. – Chcę, byś towarzyszył mi w nadchodzącej bitwie.

Sam spiorunował go wzrokiem. Jego gniew stawał się niemal namacalny. Co dziwne, Kyle nie był w stanie odczytać jego myśli. Najwidoczniej chłopiec myślami przebywał w innym świecie.

– Jestem gotów zabijać – powiedział Sam powoli. – Wskaż tylko drogę.

Kyle zmierzył go wzrokiem. Dokładnie taką odpowiedź chciał usłyszeć.

O tak, pomyślał, zapowiadało się na początek wspaniałej przyjaźni.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Caitlin? Caitlin, obudź się! Spóźnisz się!

Czyjś głos docierał do niej bezustannie. Towarzyszyło mu walenie w drzwi.

W końcu, wyrwana z głębokiego snu, otworzyła oczy. Leżąc na łóżku, na brzuchu, rozejrzała się po pokoju. Nadal była zdezorientowana.

Wyspa. Była tu nadal. Dzięki Bogu. Czowała się bezpiecznie, w swoim małym pokoju, na szczycie wieży, na dopiero co poznanej wysepce, którą zdążyła już uznać za swój dom. Obejrzała się i zobaczyła Różę leżącą nadal u nóg i wpatrującą się w nią cierpliwie. Musiała zgłodnieć, czekając tak, aż Caitlin się obudzi.

Caitlin usiadła na łóżku i skrzywiła się na widok smugi jaskrawego światła wpadającego do pokoju przez otwarte okiennice. Szybko sięgnęła po krople do oczu i wpuściła po jednej do każdego oka.

– Caitlin, Caitlin. Wpuść mnie! – odezwał się znowu ten sam głos.

Polly. Co do diabła robiła tu tak wcześnie? Caitlin nie miała zegara – na wyspie nie było żadnej elektroniki – mimo to, nie był jej potrzebny, by stwierdzić, że słońce ledwo co weszło na horyzont. Było o wiele za wcześnie.

– Wchodź! – odrzyknęła w końcu Caitlin. – Otwarte!

Drzwi otworzyły się nagle i do środka wpadła Polly, podekscytowana, jak zwykle bez tchu, z wielkim uśmiechem na twarzy. Wyglądała na przejętą i gotową zmierzyć się z nowymi

wyzwaniami. Caitlin zastanawiała się, skąd Polly czerpała tę energię.

Caitlin przysiadła na krawędzi łóżka, złożyła głowę w dłoniach, przetarła oczy i zaczesła włosy do tyłu. Miała mętlik w głowie. Ten dzień nie zaczynał

się zbyt łatwo. Większość nocy spędziła na harcach z członkami klanu.

Dopiero teraz to do niej dotarło. Nadszedł jej wielki dzień. Dziś miała pełnić obowiązki strażnika. Ziewnęła z wyczerpania. Cóż, przynajmniej nie śniła już o Calebie. I dzięki Bogu.

Polly podbiegła do niej, wsunęła jej rękę pod ramię i jednym pociągnięciem postawiła na nogi.

– Aiden zabije cię, jeśli się spóźnisz. Na służbę wartowniczą nie wolno się spóźniać. Nigdy. A twoja zaczyna się za dziesięć minut. I do tego czeka cię niezły spacer. Wyspa jest większa, niż myślisz. Ubieraj się. Idziemy –

powiedziała jednym tchem.

Caitlin rozejrzała się po pokoju i dostrzegła swoje ubranie na podłodze. Polly wspaniałomyślnie podarowała jej kilka sztuk odzieży. Na szczęście obie nosiły

ten sam rozmiar. Caitlin sądziła, że wampiry ubierają się na czarno – albo w różne odcienie czerni – i zdziwiła się, odkrywszy, że garderoba Polly składała się głównie z różów i fioleto. Polly uśmiechnęła się z zakłopotaniem i stwierdziła: – Cóż. To, że jestem wampirem nie oznacza, że muszę być jak inni.

Nie ma zasady, wiesz. Mogę nosić każdy kolor, jaki zechcę. Było to dla niej symboliczne. Jeśli jakikolwiek wampir miałby ubierać się na różowo i fioletowo, to tylko Polly. Była najweselszą osobą, jaką Caitlin spotkała w całym życiu. I nie potrafiła wyobrazić jej sobie w czerni. W *jakiegokolwiek* sytuacji.

Już drugi raz Caitlin przychodziło stroić się w ubrania, których sama sobie nie wybrała. Ubrała się szybko i sprawdziła swój wygląd w podłużnym, stojącym lustrze.

Brak odbicia. Oczywiście. Znowu zapomniała. Bez tego aspektu wampirzego życia mogła akurat się obyć.

Spuściła wzrok i przyjrzała się sobie. Cała w różu. Musiała wyglądać śmiesznie.

– Świetnie wyglądasz – powiedziała Polly. – Możemy już iść?

Wybiegły z pokoju, a Róża zaraz za nimi. Zaczęła skakać na Polly i ta odwzajemniła się, głaskając ją po łebku. Róża uwielbiała Polly i było to uczucie obopólne. Caitlin nie była tym zaskoczona.

Wyglądało na to, że Róża lubiła każdego, kto był miły dla Caitlin i nienawidziła tych, którzy ją nienawidzili.

Róża zawsze była u jej boku. Zawsze.

Schodząc po krętych kamiennych schodach, wijących się nieprzerwanie w dół, Caitlin rzuciła okiem na rozległe błękitne wody rzeki Hudson, rozświetlone porannym słońcem. Widok był przepiękny. Chłodne, wilgotne powietrze musnęło ją i poczuła się jak księżniczka pośród gwiazd, zstępując w dół ze swej komnaty. Czowała się taka szczęśliwa, że tu była.

– Założę się, że nie wiesz nawet, dokąd pójść, prawda? – powiedziała Polly z uśmiechem, potrząsając głową. – Co ty byś beze mnie zrobiła?

Caitlin chwyciła ją pod ramię. – Pewnie dalej spała – odparła cierpko.

Weszły w gęsty las pełen rozkwitających drzew. Caitlin szła za Polly niezliczonymi ścieżkami wijącymi się w lewo i prawo, w górę i w dół.

– Cóż, jak wiesz, *nie mam* dziś służby wartowniczej – powiedziała Polly. –

W zasadzie chciałam dziś pospać dłużej, ponad wszystko na świecie. Ale coś mi mówiło, że ty też, więc obudziłam się wcześniej i zerwałam z łóżka, by wybawić cię z tego kłopotu.

Caitlin wzruszyła się jej gestem.

– Dzięki Polly. Wiszę ci przysługę.

– Wiem – odparła Polly i puściła do niej oko. – Pomyślałam właśnie o stroju Lily Pulitzer, który trzymasz na górze. Nie zauważyłam, żebyś kiedykolwiek

miała go na sobie i zastanawiałam się, no cóż, czy nie chciałabyś wyświadczyć pewnej dziewczynie przysługi–

– Jest twój – powiedziała Caitlin niezmiernie uradowana. I tak chciała pozbyć się ciuchów, które ani nie pasowały do niej kolorystycznie, ani nie pozwalały zapomnieć o Edgartown i czasie spędzonym z Calebem. Była wniebowzięta, że spodobał się Polly.

Polly szeroko otworzyła oczy

– Naprawdę? Mówisz poważnie? Znaczą, nie chciałam cię naciskać. Tak tylko mówiłam. Żartowałam. Nic nie jesteś mi winna–

– Naprawdę. Proszę – powiedziała Caitlin. – Wyświadczysz mi tylko przysługę.

– Dlaczego? – spytała Polly z szeroko otwartymi oczyma.

Caitlin nie miała ochoty tego tłumaczyć.

– Uhm... nie do końca na mnie pasuje.

Tak naprawdę to pasował na nią idealnie.

– Ale przecież nosimy ten sam rozmiar – powiedziała Polly zaintrygowana.

Była zbyt bystra by cokolwiek umknęło jej uwadze.

Caitlin musiała coś napędce wymyślić. – Chciałam powiedzieć, że... ten materiał, ta tkanina... po prostu nie jest... w moim typie.

– Świetnie! – wykrzyknęła Polly w zachwycie. – Teraz to ja będę coś winna *tobie*. I to podwójnie. Porozmawiam z kimś z klanu i dowiem się, czy nie mieliby dla ciebie jakiegoś czarnego stroju. Wiem, że uwielbiasz ten kolor, a poza tym, będziesz musiała się w coś ubrać na wieczorny koncert.

– Jaki koncert? – spytała Caitlin.

– Boże. Nic nie wiesz? – spytała Polly. – Występ z okazji nadejścia wiosny.

Odbywa się każdego roku. Każdy przyprowadza swoją sympatię. Kiedyś było niezręcznie – zanim się tu pojawiłaś było nas dwudziestu troje. Teraz z tobą jest dwudziestu czworo, parzysta liczba. Na każdą dziewczynę przypada jeden facet.

Wszyscy są tacy przejęci! W tym roku wszyscy dobiorą się w pary. A tylko ty i Blake nie macie nikogo do pary.

Blake, pomyślała Caitlin. Super. Jestem tu zaledwie tydzień i już dałam zrobić się w jakiś kłopotliwy związek.

– Rany, jeszcze ci nie mówiłam – ciągnęła Polly. – Patrick mnie zaprosił!

Jestem taka podekscytowana! – powiedziała, promieniejąc ze szczęścia.

Świetnie, pomyślała Caitlin. Teraz i Patricia miała z głowy i Polly była szczęśliwa. Była zadowolona, że powstrzymała awanse Patricia, ale też dlatego, że on rzeczywiście zainteresował się Polly.

Szły razem, ramię przy ramieniu, pokonując wijące się szlaki gęsto porośniętej lasem wyspy. Caitlin na dobre przebudziła się i zaczęła zastanawiać,

dokąd zmierzały.

– Gdzie idziemy tak dokładnie? – zapytała, walcząc z lekką zadyszka spowodowaną szybkim tempem marszu i pokonaną odległością. – Jak to było z tą wartą?

– Pełnimy ją na zmianę – powiedziała Polly. – Każdy z nas raz w tygodniu.

Stoimy na warcie z samego rana, kiedy wszyscy śpią. W razie gdyby ktoś zbliżył

się do wyspy. Jacyś ludzie lub kto inny. Aiden traktuje to jako kolejne ćwiczenie.

Trzyma nas tym w ryzach i zmusza do wstawania o różnych porach dnia, do czego nie jesteśmy przyzwyczajeni. Buduje ducha zespołu. Lub coś w tym rodzaju. No wiesz, takie typowe zagrywki Aidena. Muszę jednak przyznać, że w jednym ma rację. Nic tak nie pomogło mi przywiązać się do wszystkich, jak ta służba.

– Przywiązać? – zapytała z nagłym zaniepokojeniem Caitlin. – Co chcesz przez to powiedzieć? Sądziłam, że ten obowiązek pełni się w pojedynkę?

Myślałam, że sama będę stać na warcie?

Polly roześmiała się bez troski, potrząsając głową. – Rany, naprawdę musisz się jeszcze wiele nauczyć. Nie, wręcz przeciwnie. Wartę pełnimy zawsze w parach. Stoimy i pilnujemy się nawzajem.

Caitlin przyszło coś do głowy. *Jeśli nie ty masz dzisiaj trzymać wartę, to znaczy, że jestem w parze z kimś innym. To znaczy, że ktoś już tam na mnie czeka?*

– I pewnie będzie wkurzony - dodała Polly. – Już masz dziesięć minut spóźnienia. Jedyłą zasadą, której się trzymamy, to nigdy się nie spóźniać.

– Kto? – spytała Caitlin. Jej serce nagle zamarło. Zaczęła modlić się, żeby tylko nie utknąć na warcie w towarzystwie jedynej osoby, której nie chciała widzieć na oczy.

– Blake – powiedziała Polly, potwierdzając tym samym jej najgorsze obawy.

– Jesteś szczęśliwym zwycięzcą – dodała z sarkazmem.

Caitlin załamała się. *Blake*. Był jedyną osobą, ze wszystkich tutaj, zdolną wywołać u niej dreszcze, przerazić ją do szpiku kości. Ale nie dlatego, że się go bała. O nie. Obawiała się własnych uczuć, którymi go darzyła. Gryzło ją to nieprzerwanie od wczoraj, kiedy zdołała przez moment przyjrzeć się mu w porze lunchu. A im bardziej się tym zadreślała, tym trudniej było jej myśleć o Calebie.

Mimo to, nie potrafiła w pełni z niego zrezygnować, pomimo jego zdrady. Tak więc, z najwyższym wysiłkiem wyrzuciła Blake'a z głowy poprzedniego dnia.

A teraz to. Sama. Razem z nim. Tylko ich dwoje. Na warcie. Trwającej nie wiadomo ile godzin. Jak jakiś okrutny żart. Dlaczego z nim, ze wszystkich możliwych osób? Dlaczego nikt inny jakoś go nie lubił?

– Dlaczego twierdzisz, że jestem szczęśliwym zwycięzcą? – spytała Caitlin.

– Cóż, jak pewnie zauważyłaś, nie jest nadzwyczaj towarzyski – powiedziała. – Widziałas go. Trzyma się na uboczu. I nie jest zbyt rozmowny.

– A jednak, dlaczego? – zapytała Caitlin, kiedy minęły kolejny zakręt leśnego szlaku. – Dlaczego właśnie tak się zachowuje?

Polly wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Nawet o tym nie myślałam. Nie lubię rozmyślać o nieszczęśliwych ludziach. To mnie przygnębia.

Obeszły niewielkie wzniesienie i ujrzały niszczone, wysokie na dwadzieścia stóp kamienne ruiny. Pozostałości po umocnieniach zamku stały zanurzone do połowy w rzece, oddzielone jej wodami od brzegu wyspy na około dziesięć stóp.

Na ich szczycie ujrzały Blake'a. Spoglądał na nie gniewnie. Stał z włócznią w dłoni, plecami odwrócony do rzeki i rozpościerającego się nad nią nieba, wyglądając jak ostatni żywy wojownik na ziemi.

– Jest twój – powiedziała Polly, i cmoknąwszy Caitlin w policzek, ulotniła się szybko.

Caitlin poczuła, jak jej serce zadrżało ze strachu, kiedy została sama.

– Zaczekaj! – zawołała.

Polly obejrzała się, ale nie zawróciła. Szła dalej. I dalej.

Caitlin nie wiedziała, co powiedzieć. Chciała tylko w jakiś sposób zatrzymać Polly, by nie zostawiała jej tutaj samej. – Kiedy... ile godzin to potrwa?

Polly zachichotała na widok podenerwowania Caitlin. – Nie martw się.

Jestem pewna, że wrócisz na lunch! – odparła. – No chodź, Rózo! – dodała.

Róża została jednak na miejscu. Korciło ją, ale nie chciała zostawić Caitlin.

Polly zachichotała jeszcze raz i w kilku susach zniknęła w lesie.

Caitlin odwróciła się i spojrzała na fortyfikacje. Blake odwrócił się do niej plecami, więc przynajmniej nie musiała reagować na jego gniew. Ani znosić jego spojrzenia, kiedy zbliżała się do niego.

Niepewnie zeszła na piaszczystą plażę, razem z Różą u boku i przystanąła nad wodą. Podniosła wzrok na okrągłą, kamienną fortecę. Budowla wznosiła się na jakieś piętnaście stóp nad powierzchnię wody. Między nią a Caitlin był

wodny przesmyk o szerokości dobrych dziesięciu stóp. Zaczęła zastanawiać się, jak niby miała się tam dostać. Wiedziała, że korzystając ze swych wampirzych mocy, mogła wziąć rozbieg i pokonać tę odległość jednym skokiem, ale nie miała na to ochoty tak wcześnie rano. I nie chciała zostawić Róży samej.

Przyjrzała się wodzie i zauważyła drewniany pomost wiodący do fortu tuż pod jej powierzchnią. Mimo to, nadal pozostawała stopa, czy dwie głębokości i wyglądało na to, że Caitlin będzie musiała brodzić w wodzie po uda.

Zanurzyła w niej palec od nogi. Wczesno poranna woda była naprawdę

zimna.

– Halo? – zawołała.

Stał bez ruchu, nadal zwrócony do niej tyłem.

– Halo? zawołała bardziej stanowczo. Była zirytowana. To po prostu było

–

niegrzeczne. Powinien się odwrócić, powinien ją zauważyć, zawołać, powitać ją z ciepłym uśmiechem. Zamiast tego tkwił wciąż odwrócony do niej plecami.

– Spóźniłaś się – odpowiedział beznamiętnym głosem, wciąż odwrócony.

– Cóż, już jestem – powiedziała Caitlin. – I chciałabym wiedzieć, jak mam się do ciebie dostać. Wygląda na to, że pomost jest cały pod wodą.

– Oczywiście – odparł. – To przypiływ. Powinnaś być tu wcześniej. Tak to jest, jak się późno przychodzi.

Caitlin poczuła, jak jej twarz płonie ze złości. Najwyraźniej nie był osobą, która komukolwiek cokolwiek ułatwiała.

Nie miała wyboru. Podwinęła nogawki spodni wysoko nad kolana i weszła do lodowatej wody. Skrzywiła się, kiedy poczuła, jak zimna woda wbija się w nogi tysiącem małych igieł.

Róża brodziła obok niej, płynąc w zasadzie, nieustraszenie niczym kawalerzysta.

Z każdym krokiem Caitlin woda stawała się coraz głębsza, sięgając po kolana, potem uda, aż w końcu przemoczyła jej majtki. *Świetnie.*

W końcu dotarła na drugą stronę. Chwyciła Różę, wyjęła z wody i przerzuciła przez kamienny występ. Potem sama uniosła ręce, przytrzymała się krawędzi, podciągnęła się i jednym susem przeskoczyła nad blankami.

Znalazła się na niewielkim okrągłym kamiennym ganku, naprzeciw stojącego po drugiej stronie Blake'a. Nadal stał odwrócony do niej tyłem.

Róża otrząsnęła się z wody niedbale, chlapiąc na wszystkie strony, nawet na Blake'a. Caitlin zauważyła z przyjemnością, jak się wzdrygnął. Dobrze mu tak.

Ochlapany lodowatą wodą rzeki Hudson Blake nie miał już wyboru.

Odwrócił się i z widocznym poirytowaniem raczył zauważyć jej obecność.

– Żadnych psów – powiedział.

– Róża nie jest psem – odwarknęła Caitlin oziębło. – Jest wilkiem. I nazywa się Róża, w razie gdybyś chciał wiedzieć. I zostaje ze mną – powiedziała wyzywającym tonem. Zlustrowała Blake'a od stóp do głów.

Kiedy tak stali i przyglądali się sobie nawzajem z przeciwnych stron ganku, ich oczy w końcu się spotkały. Dostrzegła jego zaciśniętą szczękę, jego zaskoczenie, niepewność, jak zareagować.

W końcu odwrócił się pokonany i z powrotem zaczął obserwować rzekę.

Caitlin czerpała przyjemność ze swego małego zwycięstwa. Odwinęła

powoli mokre nogawki spodni, wyciskając z nich jak najwięcej wody. Miała nadzieję, że poranne słońce szybko je wysuszy.

Kamienna warownia nie była duża – miała około dziesięć stóp szerokości i naprawdę nie było na co patrzeć. Nie mogła pojąć sensu stania tu na warcie.

Zastanawiała się, ilu ludzi, czy też wampirów tak naprawdę chciałoby zaatakować to miejsce, czy chociażby zwiedzić tę odległą wysepkę. Cała sprawa wydawała się bezcelowa i nudna. A najgorsze było to, że była skazana na Blake'a przez następne kilka godzin.

Nie mogła uwierzyć, że nie próbował nawet do niej zagadać. Cóż, jeśli nadal miał się tak zachowywać, to ona musiała pokazać charakter i postąpić w cywilizowany sposób.

– Tak przy okazji, jestem Caitlin – powiedziała, dając mu ostatnią szansę.

– Wiem – powiedział wciąż odwrócony plecami.

Teraz to się wkurzyła. Dostał ostatnią szansę i co. Jak w ogóle miał czelność tak stać i nawet nie odwrócić się do niej?

– W porządku – warknęła. – Po prostu świetnie. Niech będzie po twojemu.

Odeszła jak najszybciej na drugi kraniec budowli, stanęła tam i zwróciła wzrok w przeciwnym kierunku. W zasadzie poczuła ulgę. Całe romantyczne złudzenie oparte na jednej krótkiej chwili, kiedy zauważyła go poprzedniego dnia, zaczynało natychmiast ulatniać się. Nie był nikim wyjątkowym, jak to sobie wyobraziła. Był zwykłym półgłówkiem. Doszła do wniosku, że go nie lubi. I o to chodziło.

Coś w nim jednak nadal ją niepokoiło. Nie mogła ot tak tego zostawić.

Dlaczego aż tak się izolował? Co mu się stało? Zzerała ją ciekawość.

W miarę upływu czasu, kiedy tak stała i wpatrywała się przed siebie, przyszło jej do głowy, że może po prostu chodziło tu o nią, że to *jej* akurat nie lubił. Czy mogło o to właśnie chodzić? Jeśli tak, to co też było w niej takiego, co mu się nie podobało? Coś w jej wyglądzie? Ubiorze? A może powodem było to, że się spóźniła? Nie mogła zrozumieć, dlaczego ją lekceważył.

Doszła do wniosku, że musiało to być coś innego. Nigdy w swoim życiu nie spotkała nikogo, kto zniechęciłby się do niej tak od razu, na samym początku.

Niepokoilo ją to. Musiała dowiedzieć się, dlaczego.

– Więc – powiedziała w końcu, odwracając się do niego i zakłócając panującą ciszę. – Dlaczego mnie nienawidzisz?

Stał wciąż odwrócony do niej tyłem, jednak tym razem Caitlin zauważyła nieznaczny ruch jego głowy.

– Nie nienawidzę cię – odparł po chwili.

– Ach, rozumiem – powiedziała. – Po prostu wszystkich darzysz nienawiścią?

Dopiekła mu. W końcu odwrócił się i stanął twarzą w twarz. Spoglądał na nią z nachmurzoną miną.

– Nikogo nie darzę nienawiścią – powiedział.

– Och, jasne – powiedziała.

Musiał zorientować się, że miała trochę racji, gdyż wyrysowana na jego twarzy złość widocznie złagodniała. Mimo to wciąż był rozdrażniony.

– Tylko dlatego, że nie chcę wdawać się z tobą w rozmowę nie znaczy, że ciebie nie lubię – powiedział.

– *Wdawać?* – zapytała. – Nie zamierzałam w zasadzie rozmawiać na jakieś konkretne tematy. Tak tylko, grzecznościowo. W rodzaju „Cześć, miło mi cię poznać. Mam na imię tak i tak. Jak się masz? W porządku, dziękuję...” Tyle by wystarczyło.

– Jestem Blake – odpowiedział szybko. – Zadowolona?

W końcu do niego dotarła. Sprowokowała go i ponownie zdenerwowała.

Uśmiechnęła się do siebie. I dobrze. Zasłużył sobie. Należało wyprowadzić z równowagi tego aroganckiego chłopaka.

Kiedy jednak spojrziała na niego, zauważyła, że był po prostu kolejną strudzoną duszą i jej złość zaczęła mijać. Dostrzegła, że pod tą całą zimnokrwistą fasadą kryła się w istocie krucha natura. Bezbronna. Chłopiec odgrodził się od świata barierą, bezapelacyjnie. Nie była pewna, co takiego mogło mu się przydarzyć, ale potrafiła rozpoznać powściągliwą osobę, kiedy ta przed nią stała. Przypomniało jej to Sama, jej brata. Ale było bardziej intensywne.

– Blake – powtórzyła i skinęła głową.

– Coś jeszcze? – spytał.

Przyszła jej kolej na to, by odwrócić się do niego plecami. Zrobiła to szybko, zanim on zdążył odwrócić się od niej. Miłe uczucie. Przynajmniej do niej należało ostatnie słowo.

– Nie – odparła, odwrócona tyłem. – Tyle wystarczy.

Czuła, że gapił się na jej plecy. Prawdopodobnie był już podwójnie wściekły za to, że udało się jej go sprowokować do pogawędki, i że to ona ją ucięła i odwróciła się tyłem do niego. Uśmiechnęła się.

Usłyszała odgłos kroków i uświadomiła sobie, że on również się odwrócił.

Stali tak przez następne minuty w głuchoj ciszy, która zawisła nad nimi niczym chmura.

Minuty przeciągnęły się do godzin. Słońce wzeszło wysoko na nieboskłon, a Caitlin przyglądała się rzece Hudson. Widząc piaszczyste brzegi, myślami wróciła do Caleba. Do klifów Aquinnah. Do ich cudownej wspólnie spędzonej nocy. Przypomniała sobie konie, uderzanie fal, piaszczysty brzeg, skały,

jaskinię... Nagle zatęskniła za Calebem, tak bardzo, że praktycznie ją to zabolalo. Przecież to było nie tak dawno. W jaki sposób w tak krótkim czasie aż tyle mogło się zmienić?

Czuła krążącą w swoich żyłach osobliwą, nadludzką moc. Spojrzała na swoje ciało błyszczące w słońcu, o wiele bardziej muskularne i prężne, niż kiedy była człowiekiem. Istotnie, wiele się zmieniło. Najdziwniejsze było jednak to, że w nowej skórze czuła się naprawdę komfortowo. Czuła się tak normalnie jako pełnokrwisty wampir, jakby zawsze nim była. Przez całe życie była zagubiona, nie znając swojej tożsamości, nie wiedząc, kim tak naprawdę jest, ani gdzie jest jej miejsce. Teraz w końcu czuła, że wie. Była wampirem. Tutaj było jej miejsce.

Tu, na tej wyspie, w tym klanie, pośród wszystkich nowych przyjaciół. Może Caleb nie mógł stać się częścią jej nowego życia, ale przynajmniej wiedziała teraz, kim była.

Wpatrywała się w przepiękną rzekę godzina za godziną, obserwując, jak słońce pnie się wysoko po niebie. Panująca dokoła cisza stała się tak wszechogarniająca, że wkrótce Caitlin zapomniała, że oprócz niej był ktoś jeszcze na warcie. Uwielbiała odosobnienie tego miejsca, tutejsze widoki, urzekającą przyrodę. I obecność Róży. Jeśli służba wartownicza wiązała się wyłącznie z tym, z chęcią przystałaby na nią każdego dnia.

Chłodny wiatr wiejący znad rzeki orzeźwił ją i pozwolił oczyścić umysł.

Miała wrażenie, że owiewał ją całą, oczyszczał, pozwalał uwolnić się od przeszłości, zapomnieć o wszystkim.

Właśnie kiedy poczuła ukłucie głodu i zaczęła zastanawiać się, ile czasu zostało do lunchu, usłyszała głośny pisk gdzieś nad sobą.

Odchyliła się, zakryła oczy przed słońcem i zlustrowała niebo. Dźwięk ptaka nie brzmiał naturalnie.

Blake musiał usłyszeć go również, gdyż i on odchylił się i ogarnął niebo wzrokiem. Wielki sokół wirował nad nimi, obniżając lot coraz bardziej i bardziej. W końcu, ku zdziwieniu Caitlin, ptak zanurkował w powietrzu wprost na nich i przysiadł na kamiennym murze. Zaczął wpatrywać się w nią, powrzaskując wyzywająco.

Zaskoczył Caitlin. Był wielki, piękny i wydawał się tak pierwotny.

– O co chodzi? – spytała.

– Ten sokół – powiedział Blake.

Caitlin spojrzała na niego.

– Jest od wampira – dodał. – Używamy ich jako kurierów.

– Czyli? – zapytała Caitlin.

Blake odłożył włócznię, podszedł o dwa kroki i palcem wskazał na szyję sokoła.

Caitlin spojrzała w tym kierunku i zobaczyła małe, metalowe pudełko, a na nim szpon ptaka.

– Otwórz – powiedział Blake. – To do ciebie.

– Do mnie? – zapytała zdumiona Caitlin. – Skąd wiesz?

– Patrzy na ciebie, a nie na mnie – powiedział.

Podeszła ostrożnie do sokoła, sięgnęła dłońmi i zdjęła medalion z jego szyi.

W tej samej chwili ptak zamachał potężnymi skrzydłami przy jej twarzy, strasząc ją przy okazji, i odfrunął. Chwilę później był już hen, wysoko na niebie, lecąc w stronę horyzontu.

Caitlin przyjrzała się niewielkiemu, metalowemu pojemnikowi w swojej dłoni. Była w szoku. Kto mógłby przesyłać jej wiadomość?

Podniosła zasuwkę i maleńkie, metalowe pudełko, niewiele większe od dozownika na leki, otworzyło się z trzaskiem. Wyjęła z niego niewielki, zwinięty kawałek papieru. Na zewnętrznej stronie widniał napis: Dla Caitlin.

Kiedy tylko poczuła zawiniątko w swojej dłoni, wiedziała, każdą cząstką swego ciała, że był od Caleba. Przysłał jej list.

Spojrzała na widnokrąg i westchnęła głośno. Wiadomość od Caleba raniła ją bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić. Czowała się rozdarta, pochłonięta przez wir różnorodnych emocji. Dlaczego do niej napisał? Dlaczego nie mógł po prostu zostawić jej w spokoju? Przecież był teraz z Serą. Przecież mieli dziecko. Nie miała wątpliwości, że mu na niej już nie zależało. Więc dlaczego? Dlaczego ją niepokoił? Co takiego mógł przekazać jej w tym liście, co zmieniłoby ich wzajemne relacje?

Miała już rozdrzeć go na kawałki i wrzucić do rzeki, pozwolić, by odpłynął

w dal. Ale nie chciała robić tego przy Blake'u. Zaczęłyby zadawać pytania.

Częściowo też Caitlin nie była w stanie ot tak tego zrobić.

A mimo to nie potrafiła zmusić się do przeczytania wiadomości. Wątpiła, czy kiedykolwiek się na to zdobędzie. Na razie postanowiła z tym poczekać. I list pozostał zwinięty.

Wcisnęła go do kieszeni, odwróciła się i wróciła na swoją pozycję.

Czuła, że Blake przyglądał się jej. Czuła jego wzrok na swoich plecach.

Sokół i ten list musiały wzbudzić w nim ciekawość.

– No? – zapytał. – Nie zamierzasz go rozwinąć?

– A co tobie do tego? – odparła odwrócona do niego plecami. Przynajmniej czymś się zainteresował. W końcu ożył.

– Wampiry przesyłają wiadomości tylko w nagłych przypadkach. Powinnaś to uszanować. Powinnaś rozwinąć ten list.

– Powtarzam – powiedziała i odwróciła się twarzą do niego. – Co za różnica dla ciebie?

– Po prostu nie mogę zrozumieć – powiedział. – Dlaczego nie chcesz go rozwinąć? To bez sensu.

– Może dlatego, że nie chcę go przeczytać – powiedziała wyzywająco. –

Może *nigdy* go nie przeczytam.

Blake wpatrywał się w nią. Nagle, w odbitym świetle, jego jasnoniebieskie oczy zapłonęły, a Caitlin ponownie zdała sobie sprawę, jak bardzo był

przystojny. Zmusiła się, by natychmiast odwrócić wzrok.

– Wiesz, od kogo? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział sam sobie. – To jedyny powód, dla którego nie chciałabyś go przeczytać... Musiał napisać go ktoś, z kim nie chcesz mieć do czynienia – kontynuował, rozumując na głos. I nagle to rozgryzł. – Ten list przysłał twój chłopak, prawda?

Caitlin pozwoliła, by to pytanie pozostało bez odpowiedzi przez jakiś czas.

– Nie mam chłopaka – powiedziała w końcu. I nawet, mimo że czuła pergamin w kieszeni, mówiła to poważnie. Nie wiedziała już, kim Caleb dla niej był, ale z pewnością nie jej chłopakiem.

– Możemy nie rozmawiać? – powiedziała, czując poirytowanie, pragnąc już tylko ciszy.

Wyczuła, że chłopak zawahał się za jej plecami, ale po chwili usłyszała kroki, co oznaczało, że się odwrócił. Przynajmniej on zostawił ją w spokoju.

Czego nie mogła powiedzieć o Calebie.

W tej chwili nienawidziła wszystkich chłopaków. Pomyślała o nadchodzącym wieczornym koncercie i przypomniała sobie, że tylko ona i Blake będą tam bez pary. I pasowało to jej idealnie. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, był kolejny mężczyzna w jej życiu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Caitlin podeszła do łóżka, na którym przygotowywała dla siebie ubranie.

Przepelniał ją entuzjazm. Promienie zachodzącego słońca wlewały się przez okno leniwie. Kiedy zorientowała się, jak już późno, postanowiła się pospieszyć.

Polly mogła zjawić się u niej w każdej chwili, a przecież nie mogły spóźnić się na koncert. A jednak jej niezdecydowanie obezwładniało ją. Nie miała pojęcia, co na siebie włożyć.

Miała przed sobą, rozłożone na łóżku, dwa stroje, które wytrzasnęła dla niej Polly. Obydwa były czarne, ale jakże odmienne. Pierwszym była dopasowana suknia, uszyta z materiału, którego Caitlin nie potrafiła rozpoznać – cokolwiek to było, odznaczało się połyskiem i wyglądało na skórę. Drugi był bardziej stonowany. Składał się z czarnych, obcisłych dżinsów, czarnego golfu oraz czarnych butów na płaskim obcasie. Caitlin nie mogła się zdecydować, czy powinna ubrać się bardziej powściągliwie, czy też zabłysnąć bardziej teatralnym gestem.

Rozległo się pukanie do drzwi. *Polly*.

Caitlin drgnęła i w jednej chwili zdecydowała się wyglądać bardziej powściągliwie. Bardziej w swoim stylu.

– Caitlin! – rozległo się wołanie.

Zanim Caitlin zdołała zareagować, Polly wpadła do środka. Caitlin wciągnęła golf, wyciągnęła włosy na zewnątrz i właściwie była już gotowa.

Polly obejrzała ją od stóp do głów. – No! No! – powiedziała. – Pasuje na ciebie lepiej niż na mnie. Wyglądasz pięknie.

– Naprawdę? – spytała z nadzieją Caitlin.

– Szkoda, że nie mamy tu działającego lustra, by to udowodnić – powiedziała Polly. – Jedna z niedogodności bycia wampirem.

W zasadzie, Caitlin znalazła poprzedniego dnia na wyspie kawałek wyrzuconego na brzeg metalu i przyniosła ze sobą do pokoju. Przetarła je i wypolerowała.

– Kłopot z głowy – powiedziała.

Stało w rogu pokoju i kiedy podeszła bliżej rzeczywiście udało jej się dostrzec niewielkie odbicie swojej sylwetki.

Oczy Polly rozwarły się szeroko z zachwytu. Podbiegła, stanęła obok i zaczęła przyglądać się w metalowym lusterku.

– O MÓJ BOŻE, to jest niesamowite! – wykrzyknęła. – Jak na to wpadłaś?

Jak cudownie zobaczyć siebie!

Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu Caitlin spodobał się jej własny wygląd. Czowała się *sobą*, jakby zaczynała odkrywać własny styl, swój właściwy wygląd.

– Twoje policzki również błyszczą – powiedziała Polly. – Są pełne kolorów.

Wyglądasz bardzo zdrowo i pociągająco.

Caitlin przyjrzała się sobie i zorientowała się, że Polly miała rację. Nigdy wcześniej nie widziała siebie takiej. Czy to dlatego, że była teraz w pełni wampirem? Wyglądała na dojrzałą. Już nie jak dziewczyna, bardziej kobieco. I podobało jej się to.

Spojrzała na Polly. Miała na sobie strój Lily Pulitzer. Pasował do niej.

Wyglądała w nim olśniewająco.

– Ty też pięknie wyglądasz – powiedziała.

– Naprawdę? – spytała Polly. Obróciła się w prawo i lewo, przyglądając się sobie dokładnie. – Mam nadzieję, że spodobam się Patrickowi. Nigdy jeszcze mnie w tym nie widział. Jestem taka podekscytowana. To nasza pierwsza oficjalna randka.

Caitlin poczuła się nieswojo, kiedy przypomniała sobie, że wszyscy szli na randkę oprócz niej. I Blake'a. Z tego powodu mieli się wyróżniać. Co za stres.

Naprawdę nie miała teraz ochoty się tym zajmować.

Z drugiej strony jednak lubiła wszystkich w swoim klanie i z przejęciem czekała na koncert. Tak więc musiała sobie z tym jakoś poradzić.

Nie mogła się nadziwić, jak prozaiczne wydawało się jej to wszystko. Gdyby nie wyspa i ten zamek, czułaby się zupełnie jak u siebie w domu, w swojej sypialni, czy też podczas wspólnych wypadów z przyjaciółmi, przygotowując się na wieczorną imprezę. Naprawdę miała wrażenie, że w końcu wszystko jakoś się ułożyło, że jej życie wróciło do normy. Uświadomiła sobie jeszcze raz, że czowała się tu jak w domu i poczuła wielką wdzięczność. Miała nadzieję, że to nie zmieni się już nigdy.

Polly wyjrzała nagle przez okno i na jej twarzy zarysowało się zmartwienie.

– Spóźnimy się! – powiedziała. – Musimy iść – dodała i pośpiesznie wybiegła z pokoju.

Caitlin ruszyła za nią. W ostatniej chwili kątem oka zdołała dostrzec list od Caleba. Nadal nierozwinięty, leżał na jej biurku. Dlaczego akurat teraz rzucił się jej w oczy? A już czuła się tak dobrze, pozbyła się go ze swych myśli. Widok pergaminu przypomniał jej o Calebie i natchnął złym przecuciem. Zaprażyła rozwinąć go natychmiast i przeczytać, ale z drugiej strony poczuła chęć podarcia listu na kawałki.

– Caitlin! – krzyknęła Polly. – Co ty tam jeszcze robisz!?

Caitlin wypuściła powietrze z płuc. *Nie, nie teraz*, pomyślała. Ze wszystkich

sił próbowała wyrzucić go z głowy.

To pomyślawszy, zebrała się w sobie i wybiegła przez drzwi, z Różą przy nodze.

*

To była wyjątkowa noc. Świadczyła o tym ścieżka prowadząca przez las, oświetlona pochodniami, którą Caitlin, Polly i Róża pokonały krótkim spacerkiem. Wyszły na wielką polanę rozświetloną jeszcze większą ilością pochodni, otoczoną niskim murkiem niszczyjących ruin. Po środku, na trawie, leżał grubo ciosany, kamienny blok, który służył klanowi za prowizoryczną scenę. Caitlin miała wrażenie, że ta sceneria jak żywa została wyjęta z Szekspirowskiego *Snu Nocny Letniej*. Magiczna leśna oprawa sprawiła, że Caitlin poczuła się jakby była w jakimś zminiaturyzowanym, antycznym teatrze.

Mimo swobodnej atmosfery i ogólnego zamieszania przypominającego imprezę koktajlową, Caitlin poczuła skrepowanie, kiedy już tam się znalazła. Na szczęście miała przy sobie Polly. Jednak, kiedy tylko weszły na polanę, podbiegł

do niej Patrick, podał ramię i odprowadził jej rozentuzjasmowaną przyjaciółkę na odległy kraniec łąki. Caitlin została sama.

Rozejrzała się i zauważyła, że uczestnicy dobrali się w pary. Poczowała zażenowanie, jakby wszyscy zaczęli się jej przyglądać. Wiedziała, że to nieprawda, ale nie mogła pozbyć się tego wrażenia.

– Caitlin – usłyszała czyjś głos.

Odwróciła się i ujrzała Caina.

Począwszy od tego pierwszego, pamiętnego dnia, Cain robił wszystko, by okazać swoją skruchę. Na początku doceniała to, ale ostatnio stawało się to już irytujące. Niemal żałowała, że nie mógł po prostu zostawić jej w spokoju.

Przyjęła jego przeprosiny z tysiąc razy, a i tak wyglądało na to, że nigdy się nie skończą.

– Chcę, byś poznała Barbarę – powiedział.

Obok niego stała bardzo wysoka i szczupła wampirzyca, o wiele wyższa od Caina, mająca proste czarne włosy, małe czarne oczy i wąską, wydłużoną twarz.

Jej oczy zdawały się na wpół zamknięte, jakby spała. Wyglądała na niezmiernie zrelaksowaną, albo też bardzo apatyczną. Poruszała się powoli. Wyciągnęła długą, bladą rękę w stronę Caitlin.

– Jestem oczarowana, całkowicie – powiedziała powolnym, głębokim głosem.

Caitlin przywitała się i poczuła, jak przeniknął ją chłód. Ręka Barbary była giętka i lodowato zimna.

– Miło mi cię poznać – powiedziała Caitlin.

Kiedy ich dwójka już sobie poszła, Caitlin pomyślała, że stanowili dziwną parę. No, ale przynajmniej nią byli. A *ona* stała tutaj, samotna, rzucająca się w oczy, czując się gorzej niż kiedykolwiek w życiu. W tym momencie poczuła rozpaczliwą tęsknotę za Calebem. Oddałaby wszystko, byleby mieć go teraz przy sobie. Był jedyną osobą, której brakowało jej do pełni szczęścia.

Zauważyła po jednej stronie polany coś w rodzaju prowizorycznego kontuaru ustawionego na niszczej części muru. Zastawiony był różnorodnymi kielichami i czarami – srebrnymi, złotymi, ozdobionymi klejnotami, między którymi stało kilka szklanych dzbanów zawierających czerwony płyn, w którym pływały przeróżne owoce.

Podeszła tam, zastanawiając się nad ich zawartością. Czy był w nich alkohol? Zastanawiała się, czy mogli go pić? *Pewnie tak*, pomyślała. *Dlaczego nie?* Ostatecznie, większość z tych wampirów, mimo że wyglądały na około osiemnaście lat, żyło już od wieków. Kto miałby prawo pić alkohol, jak nie oni?

– Nasza specjalność, sangria – usłyszała nagle.

Obejrzała się i zobaczyła bliźnięta, Taylor i Tylera, stojące tuż za nią.

– Sam przyrządziłem – powiedział Tyler.

– A ja dodałam zdobienia – powiedziała Taylor.

– To typowa sangria – powiedział Tyler. – Trochę wina, trochę owoców–

– I odrobina czegoś wyjątkowego – wtrąciła Taylor. – Żeby dawało kopa.

Tylko wampirom. Świeża krew z sarniny.

Chwycił dzban i nalał trochę płynu do wielkiej, zdobionej klejnotami czary.

Caitlin wzięła ją od niego i wypila. Był pyszny, i od razu uderzał do głowy.

– No! No! – powiedziała Caitlin.

Bliźnięta roześmiały się promiennie i skinęły z aprobatą.

Kiedy i one odeszły, Caitlin rozejrzała się dyskretnie po polanie. Zauważyła Madeline i Harrisona siedzących w ustroniu na wielkim pniu, Erica i Saszę trzymających się za ręce i spacerujących po drugiej stronie polany. Dostrzegła Polly i Patricka pogrążonych w rozmowie z Cainem i Barbarą. Zaciekawilo ją, o czym też mogli ze sobą rozmawiać.

Byli też inni, lecz nie była w stanie przypomnieć sobie ich imion. Za dużo ich było.

Rozglądając się tak na wszystkie strony, nagle zdała sobie sprawę, że szukała jednej, konkretnej osoby. Wbrew sobie, musiała przyznać, że wypatrywała Blake'a.

I jak zwykle, nigdzie go nie było.

Był nie do wytrzymania. Dlaczego akurat jego obdarowano przywilejami?

Dlaczego mógł zachowywać się tak aspołecznie, jak nikt inny tutaj? Przecież Aiden powiedział, że żyli w oparciu o zasadę jeden za wszystkich, wszyscy za

jednego.

Nagle usłyszała brzęk szkła; wszyscy członkowie klanu zaczęli odchodzić w kierunku miejsc siedzących na polanie. Siadali na

kłodach, pniach, niektórzy na trawie, jeszcze inni na wielkich, gładkich głazach.

Wszyscy siedzieli odwrócenii do niej plecami, spoglądając wyczekująco na wielką, prowizoryczną scenę. Przy niej stał Aiden, uderzając nożem o szklanke.

– Dziś wieczór – powiedział głośno, wymawiając dokładnie każdy wyraz –

mamy dla was coś wyjątkowego: wiolonczelową suitę Bacha.

Wśród zgromadzonych rozbrzmiały oklaski, Aiden zszedł na dół, a na scenie pojawił się ktoś inny.

Jej serce zamarło. To był on. Blake.

Wszedł na scenę, a Caitlin zauważyła z zaskoczeniem, że niósł wiolonczelę.

Podeszła szybko bliżej i zajęła miejsce na dużym, gładkim kamieniu. Róża natychmiast usadowiła się obok niej. Caitlin obserwowała w skupieniu, jak Blake ulokował się na niewielkim krześle w świetle rzucanym przez pochodnie.

Wyglądał bardzo poważnie, bardziej nawet niż zazwyczaj.

Zamknął oczy, wziął głęboki oddech, odciągnął smyczek i zaczął grać.

Z instrumentu popłynęła cudowna muzyka. Caitlin nigdy jeszcze nie słyszała czegoś podobnego. Wróciła myślami do przeszłości. Pomyślała o Jonahu, jego altówce, ich koncercie w Carnegie Hall; o Calebie i kościele Whaling Church, i o jego niesamowitym recitalu fortepianowym. Jednakże, instrument Blake'a rozbrzmiewał inaczej. Spokojnie, łagodnie i relaksująco.

Obserwowała Blake'a. W świetle pochodni jego sylwetka sprawiała jeszcze większe wrażenie. Był szczupły, kościsty i niezwykle przystojny. Grał na instrumencie niczym mistrz, wydobywając idealne brzmienie, a muzyka nabierała boskiego wręcz brzmienia. Sprawiała, że Caitlin całkowicie się rozluźniła. Czuła się zrelaksowana, każdą cząstką ciała. Słuchała i zastanawiała się, jak to możliwe by tak cierpiąca osoba mogła tak cudownie oddać piękno muzyki. Jak to w ogóle było możliwe?

Obserwowała go. Widziała, jak na jego twarzy pojawiały się i znikwały różne emocje i zaczynała zdawać sobie sprawę z jego głębokiej i skomplikowanej natury. Najwyraźniej skrywał w sobie jeszcze wiele tajemnic, wiele spraw, których nie potrafił wyjawic.

Tylko dlaczego się z tym krył? Co takiego spowodowało, że był taki, jaki był?

Godzina upłynęła tak szybko, że kiedy muzyka ucichła, Caitlin nie mogła uwierzyć, że już się skończyła. Miała wrażenie, że dopiero co się zaczęła.

Ostatnia, głęboka nuta przebrzmiała w leśnym powietrzu, zmieszała się z pluskiem fal rzeki Hudson. Zapanowała kompletna cisza. Żaden z wampirów ani drgnął.

W końcu, po chwili ciszy, wszyscy wstali powoli i zaczęli głośno klaskać.

Caitlin nadal była w szoku. Niełatwo było jej dojść do siebie, powrócić do normalności po tym, czego przed chwilą doświadczyła. Blake stał i wpatrywał

się w nią i Caitlin zorientowała się nagle, że była jedyną siedzącą jeszcze osobą.

Która w dodatku nie biła mu brawa. Nie dlatego, że muzyka jej nie poruszyła –

raczej dlatego, że właśnie tak było. I to za bardzo. Sprawiała, że powróciły lawiną wspomnienia. O Jonahu, o Calebie. I jeszcze jedno, całkiem świeże: o Blake'u.

Miała wrażenie, że brakowało jej tchu i nie wiedziała, co zrobić z tymi wszystkimi uczuciami.

Czuła, że za chwilę wybuchnie, zapłacze. Nie mogła już dłużej tego znieść.

Nie chciała też rozkleić się na oczach całego klanu. Podskoczyła i uciekła między drzewa. Róża popędziła zaraz za nią. Biegając, pomyślała z obawą, co sobie teraz oni wszyscy o niej pomyślą. Była pewna, że ją znienawidzą, za to, że wykazała się takim brakiem przyzwoitości. Ale nie miała wyboru. Tego było już za wiele.

Po kilku minutach Caitlin wbiegła na niewielki, piaszczysty brzeg po drugiej stronie wyspy. Oddychając ciężko, starła łzy z policzków. Tak bardzo tęskniła za Calebem. I teraz, co gorsza, jeszcze ta fascynacja Blake'iem. Czuła, że coś ją z nim łączyło. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Miało mroczną i tragiczną naturę. I było niezwykle potężne. Jego moc ją przerażała. A nie chciała, by łączyło ją cokolwiek z kimkolwiek poza Calebem.

Szła brzegiem rzeki, wsłuchując się w plusk fal, rozkoszując blaskiem księżyca i z wolna przestała płakać. Odetchnęła głęboko

kilka razy.

– Caitlin? – usłyszała nagle czyjś głos. Był tak łagodny, że pomyślała, iż się przesłyszała.

Odwróciła się na pięcie.

I oto ujrzała go przed sobą. Blake'a. Stał zaledwie kilka kroków dalej i przyglądał się jej z z troskaniem.

Nie. Dlaczego musiał przyjść akurat tutaj? Dlaczego nie mógł zostawić jej tak po prostu w spokoju?

Miała wrażenie, że utknęła w pajęczynie przeznaczenia, że bez względu na to, jak bardzo się starała, była bezsilna i nie mogła umknąć przed swym losem.

Dostrzegła budzące się między nimi uczucie, widziała je jak na dłoni, i to ją przerażało.

Szybko starła łzy, odetchnęła głęboko i odezwała się, starając się by jej głos brzmiał zdecydowanie.

– Co ty tu robisz? – spytała.

Podszedł bliżej. Caitlin nie odsunęła się od niego.

– Widziałem, jak wybiegłaś – powiedział poważnym głosem – Chcę wiedzieć, czy wszystko w porządku.

– Dlaczego? – odparła. – Nawet nie chciałeś ze mną rozmawiać dziś rano.

– To dlatego uciekłaś? – spytał. Miał nieznośny nawyk odpowiadania pytaniami na jej pytania. – A może zagrałem kiepsko?

Roześmiała się wbrew sobie. Był zabawny. Nie spodziewała się tego po nim.

– Grałeś przepięknie – powiedziała.

Zauważyła, że rysy jego twarzy nieco złagodniały. Najwyraźniej właśnie to chciał usłyszeć.

– A więc, o co chodzi? – spytał.

– Ja... – zaczęła.

Lecz naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. Co z resztą miałyby powiedzieć? Że strasznie tęskniła za Calebem? Że równocześnie poczuła coś do niego, do Blake'a? Że przeczuwała, iż coś ich łączy? I że nienawidziła go tak samo jak kochała?

Zamiast tego więc stała oniemiała. Odwróciła się i rozejrzała po rzece.

Blake podszedł do niej o kolejnych kilka kroków, podniósł dłoń i kciukiem starł łzę z jej policzka.

Caitlin zamknęła oczy. Dotyk jego ręki – był wyjątkowy. Elektryzujący. Taki miękki, i gładki. Zmusiła się, by odwrócić wzrok, patrzeć wszędzie, byle nie w jego oczy.

Na szczęście odwrócił się nagle, cofnął o krok i również spojrzął na rzekę.

Stali razem, ramię przy ramieniu, oboje wpatrzeni w dal.

– Przepraszam za moje dzisiejsze zachowanie – powiedział. – Powinienem być bardziej uprzejmy.

– To dlaczego nie byłeś? – zapytała zbyt ostrym tonem. Natychmiast tego pożałowała. I znowu przesadziła. Nie tylko powiedziała to, czego nie miała na myśli, ale też w zbyt szorstki sposób, jak zwykle, kiedy była podenerwowana.

Odetchnął głęboko. – Przybyłem na wyspę – zaczął. – Przyłączyłem się do tego klanu, bo musiałem uciec od świata. Była pewna dziewczyna. Była człowiekiem. Kochałem ją bardzo. Ale moja miłość sprowadziła na nią zagładę.

Zawahał się na chwilę. – Zginęła z mojego powodu Caitlin spojrzała na niego. – Dlaczego? – spytała. – Przemieniłeś ją?

Potrząsnął głową.

– Żałuję, że tego nie zrobiłem. Nie chciała się na to zgodzić. Stało się to powodem mojej największej rozpacz. Ale nie mogłem postąpić wbrew jej życzeniu. Chciała umrzeć, pozostać śmiertelniczką. Nie, to nie ja ją zabiłem. To jej ludzcy pobratymcy. Jej wioska. Odkryli nasz związek i potraktowali ją jak wiedźmę. Zanim zdołałem ją uratować... już nie żyła.

Caitlin pograżyła się w myślach. *Jej wioska*. Zdziwiła się.

– Kiedy to się stało? – zapytała.

– Cztery lata temu – odparł Blake.

Caitlin zaniemówiła z wrażenia. Oto stał przed nią, rozpaczając, nie mogąc się pozbierać – po tylu latach.

Pomyślała, że zapewne odczuwał wszystko znacznie głębiej.

– Jak widzisz – powiedział. – Czuję, że stanowią zagrożenie dla ludzi.

Każdemu, kto się do mnie zbliży, przytrafiają się okropne rzeczy. Bez względu na to, jak bardzo się staram. Dlatego też... dystansuję się od wszystkich.

Trzymam się z dala od ludzi, na których mi zależy. Włączając w to wampiry.

– A jeśli to nieprawda? – spytała. – Jeśli tylko ty w to wierzysz? Jeśli wszystkie okropieństwa, które wydarzyły się w przeszłości były jedynie skutkiem pecha?

Potrząsnął głową. – Nie.

– Ale skąd możesz to *wiedzieć*? – spytała. – Znaczący, mieszkasz tu i nic złego nie spotkało żadnego z bliskich ci członków klanu.

– Bo przez większość czasu trzymam się na uboczu.

– Nie wierzę – powiedziała Caitlin. – Żyjesz na wygnaniu, na które sam siebie skazujesz. A nawet nie wiesz, czy to prawda. A gdyby zbliżenie się do kogoś miało przynieść tej osobie szczęście? I tobie? Nie możesz tak po prostu zrezygnować, pozwolić, by tak to zostało.

Widziała, że obserwował rzekę ze zmarszczonymi brwiami, że zastanawiał

się nad jej słowami. Jego oczy nagle rozbłysły nadzieją.

– A ty? – spytał. – Dlaczego tu jesteś?

Nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Przerastało ją to wszystko. Nie wiedziała nawet, od czego powinna zacząć.

– Nie wiem tak naprawdę – powiedziała w końcu, spoglądając na rzekę.

Skinął głową powoli i też skierował wzrok na wodę. Zapadła cisza.

– Cóż, cieszę się, że tu jesteś – powiedział i uśmiechnął się do niej nieznacznie.

Spojrzała na niego, w jego jasnoniebieskie oczy i poczuła, jakby robiła to już setki razy przedtem. Wrażenie swojskości zaskoczyło ją zupełnie,

– Ja również – odpowiedziała drżącym głosem.

Spuścił wzrok i wskazał coś na wyciągniętej dłoni. – To należało do niej –

powiedział tak po prostu.

Caitlin spojrzała w dół i zobaczyła niewielki kawałek wytartego, morskiego szkła.

– Chcę, abys je wzięła – powiedział.

Następnie wyprostował rękę i położył odłamek na jej dłoni. Był taki gładki.

– Nie mogę go przyjąć – odparła.

Ale on nie odpowiedział. Zamiast tego podniósł dłoń i przesunął wierzchem po jej policzku. Patrzyli sobie głęboko w oczy i Caitlin czuła, jakby Blake zaglądał w głąb jej duszy. Była zagubiona w czasie i przestrzeni. I całkowicie niezdolna do panowania nad sobą.

Czy chciał ją pocałować?

Dokładnie w tej chwili uświadomiła sobie, że jeśli rzeczywiście miał taki zamiar, to nie potrafiłaby mu się oprzeć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Caleb, Samuel i setki towarzyszących im wampirów szybowwały nad Manhattanem, kierując się w stronę śródmieścia. Żaden wampir nie śmiał stanąć im na drodze od wydarzeń na Times Square. Caleb widział na dole zamęt ogarniający całe miasto, który pogłębiał się w miarę rozprzestrzeniania na kolejne dzielnice. Nie mógł jednak ryzykować i jeszcze raz zatrzymać się, by pomóc ludziom. Klan Blacktide wiedział już o ich obecności. Musieli jak najszybciej dotrzeć do Ratusza i pojmać Kyle'a zanim będzie za późno – oraz odzyskać miecz, tym razem na dobre. Jak dotąd, mieli szczęście, nie napotkawszy w powietrzu żadnych wampirów.

Kiedy jednak lecieli najszybciej, jak się dało, mijając po drodze Broadway, ich dobra passa dobiegła końca. W oddali zauważyli szybujące w ich kierunku setki wampirów z klanu Blacktide. A na ich czele, w samym środku, leciał Kyle, wymachując mieczem. Po jego jednej stronie leciał Sergei, po drugiej zaś Samantha oraz – co wydawało się niemożliwością – Sam, brat Caitlin. Caleb poczuł niepokój – był gotów zabić z ochotą wszystkich, ale Sama? Zabicie Sama mogło zniszczyć jego związek z Caitlin. Musiał postępować ostrożnie. Z

pewnością wiadomość ta skomplikowała całą sytuację.

– Wojownicy! – krzyknął ponad odgłosem tysięcy trzepoczących skrzydeł. –

Gotujcie się do bitwy!

Wyjął laskę i podniósł wysoko przed siebie. Samuel podniósł swoją rękawicę. Obydwie grupy wampirów zbliżały się do siebie w zastraszającym –

niesamowicie wręcz szybkim – tempie. Caleb spiął się, gotując na uderzenie.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim rozległ się mdlący odgłos uderzenia ciał

wampirów, była wykrzywiona wściekłością twarz Kyle'a.

A potem rozległ się huk. Setki wampirów zderzyły się ze sobą z rykiem, wymachując bronią, szarpiąc się nawzajem, wydrapując oczy, mocując się ze sobą z nadludzką siłą. Caleb wybrał jednego przeciwnika i skupił się na nim, tak jak czynił to w każdej bitwie.

Dostrzegł Kyle'a unoszącego miecz wysoko. Wiedział, że żaden z jego wampirów, może za wyjątkiem Samuela, nie był w stanie stawić mu czoła. Caleb sam nie był pewien, nawet z laską w dłoni, czy zdoła oprzeć się Kyle'owi. Ale musiał spróbować.

Kyle ciął jak szalony i Caleb zablokował cios laską, która cudem wytrzymała i nie pękła. Trzask uderzenia broni rozległ się jako pierwszy w tej bitwie i zapoczątkował ogłuszającą kakofonię dźwięków.

Po kilku sekundach splątane ze sobą i pogrążone w powietrznej walce wampiry zaczęły opadać na ziemię. Łoskot uderzających o cement ciał

wampirów był ogłuszający.

Caleb i Kyle zwarli się w zapaśniczym uścisku i razem walnęli o twardy beton. Caleb zdołał pochwycić Kyle'a w ramiona i ścisnął go teraz mocno, unieruchamiając jego rękę i uniemożliwiając skorzystanie z miecza. Pomyślał, że tak długo, jak trzymał go w uścisku, tak długo miał jakąś szansę.

Wciąż mocując się ze sobą, przeturlali się po betonie wśród setek otaczających ich wampirów, tak samo zwartych w walce w wręcz. Panował

jeden wielki, powodowany furją i rozlewem krwi zamęt. Wampiry nacierały na siebie na lewo i prawo, rzucały na przeciwników, unikały ich ciosów i padały na ziemię. Ich nieziemskie krzyki i wrzaski przepęłniły nocne powietrze. Walczyły brutalnie, jak tylko wampiry to potrafią.

Kyle miał wieloletnie wojenne doświadczenie i był zaprawionym w boju wojownikiem. Po kilku sekundach zdołał odchylić się i uderzyć głową prosto w nos Caleba. Wystarczyło, by sprawić mu ból i wykorzystać moment zaskoczenia, przetoczyć się na bok i zrzucić go z siebie.

Caleb uderzył o ziemię. Zachował wystarczająco przytomności umysłu, żeby przetoczyć się dalej i chwycić swą broń. Wstał, obrócił się na pięcie i w ostatniej chwili podniósł laskę. Miecz Kyle'a opadał na niego w potwornym ciosie.

Ponownie udało mu się zablokować go laską, wydobywając z obu broni głośny dźwięk.

Kyle był jednak zbyt szybki. Jednym, błyskawicznym kopnięciem wybił

laskę z dłoni Caleba. Caleb obejrzał się, zorientowawszy się, że był bezbronny.

Laska leżała kilka stóp dalej.

Kyle podniósł miecz i przygotował się do zadania ostatecznego ciosu.

Caleb zaś zrozumiał, że oto nadeszła jego ostatnia chwila na Ziemi.

Nagle pojawił się Samuel. Zanim Kyle zdążył opuścić miecz, rozpędzony Samuel grzmotnął rękawicą w krtani Kyle'a i odepchnął go do tyłu. Nadal na niego nacierał. Po chwili był już na Kyle'u.

Caleb przetoczył się kilka stóp, chwycił laskę i skoczył na nogi, by pomóc bratu.

Ale na to było już za późno. Kyle zrzucił z siebie Samuela i zanim ten zdążył

zadać kolejny cios, Kyle uchylił się i wbił w niego miecz.

Caleb widział, jak jego brat osunął się na kolana i z niedowierzaniem spojrzął na ostrze miecza. Potem upadł, pozbawiony swej niezwykłej mocy.

Caleb poczuł przytłaczającą gorycz. Samuel. Jego brat. Od wieków stojący przy jego boku.

I wtedy, spojrzawszy na Kyle'a, dostał szału.

Kyle natarł na niego z podniesionym mieczem. Tym razem jednak, gniew Caleba znacznie przewyższył jego własny. Caleb usunął się z drogi w ostatniej sekundzie, sprawiając, że Kyle chybił, po czym

wziął zamach laską i zdzielił go dokładnie za kolanem. Kolana Kyle'a ugięły się i wampir poleciał na ziemię.

Caleb wykonał kolejny obrót i rąbnął Kyle'a w tył głowy. Wszystko potoczyło się szybko i w idealnej kombinacji ciosów z obu kierunków. Kyle wylądował jak długi twarzą na ziemi. Na sekundę miecz wypadł z jego dłoni na beton.

Caleb był zaskoczony własnym szczęściem. Miał już skoczyć po miecz i chwycić go w dłoń, kiedy nagle, kątem oka, coś dostrzegł. Podniósł wzrok.

Stała tam, a on nie mógł w to uwierzyć.

Stała w odosobnieniu, sama pośrodku bitewnego jazgotu. Caitlin. Patrzyła na niego swymi wielkimi, smutnymi oczyma.

Jego serce zamarło. Znieruchomiał. Nie potrafił pojąć, co ona tu robiła. Czy została więźniem Kyle'a?

– Caitlin? – zapytał.

Uśmiechnęła się i podeszła kilka kroków.

Caleb obserwował, jak się do niego zbliżała, całkowicie zapomniawszy o bitwie, o wszystkim. Była tutaj. Naprawdę tu była.

Nagle coś zakłóciło ten obraz. Jednocześnie poczuł, jak całe jego ciało pokrywa coś metalicznego i szorstkiego, i jak ktoś chwycił go od tyłu.

Zorientował się, że właśnie zarzucono na niego wampirzą sieć i kiedy szamotał

się w niej, zdał sobie sprawę, że była zrobiona ze srebra, wzmocniona metalem.

Nie było sposobu, by się z niej wydostać. Zwijał się i obracał ze wszystkich sił, ale nie było z niej ucieczki.

Poczuł, jak sieć zaciska się na nim od tyłu, tak ciasno, że ledwie mógł

oddychać. Wyciągnął szyję na tyle, żeby dostrzec stojącego za nimi, wyszczerzonego w uśmiechu Kyle'a.

Spojrzał znowu na Caitlin, zastanawiając się, jak mogła w ten sposób go zdradzić, jak mogła pozwolić, by Kyle podkradł się i pojmał go.

Kiedy jednak patrzył na nią, Caitlin zaczęła powoli się zmieniać, wprost na jego oczach. Przekształciła się w swego brata, Sama.

Caleb był zszokowany. Caitlin nigdy tu nie było. To była sztuczka. To Sam.

Musiał posiadać zdolność zmiany kształtu.

Była to jego ostatnia klarowna myśl. W następnej chwili dopadły go wampiry, rzuciły się na niego, przytrzymały i powlekły ku płataninie walczących. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, były wrzaski jego braci, zarzynanych przez dzierżącego miecz Kyle'a.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Caitlin biegła przez pole usiane cierniami. Ranity jej ciało, a zadawany przez nie ból był nie do zniesienia. Otaczały ją coraz ciasniej, ale wiedziała, że musi biec, że to jedyny sposób, by się stąd wydostać.

Na horyzoncie zawisło wielkie, krwistoczerwone słońce, a na jego tle zauważyła sylwetkę swego ojca. Biegła wciąż, starając się dotrzeć do niego.

Lecz nagle słońce zaszło, za szybko, a niebo pokryła czerń. W tym samym miejscu wzniósł się wielki, krwistoczerwony księżyc i wypełnił sobą całe niebo.

Ciernie stały się grubsze i ranity ją głębiej. Wiedziała, że jeśli zdoła dotrzeć do ojca, wszystko będzie w porządku.

Był coraz bliżej, o wiele bliżej, aż w końcu stanęła przed nim.

Kiedy jednak podniosła wzrok i spojrzałam w twarz, nie zobaczyła ojca.

Tylko Caleba. Ciernie zbliżały się i do niego, oplątując jego nogi, talię, ramiona, ściskając go coraz bardziej. Wtem wystrzeliły zza jego głowy i owinęły się dokoła niej, raniąc i rozdrapując skórę. Z jego policzków i czoła trysnęła krew.

Widziała, jak cierpiał. Sięgnęła dłońmi w jego kierunku, starając się mu pomóc, ale ciernie przytrzymały ją w miejscu.

Wyrzucił przed siebie dłoń i krzyknął: – Caitlin, ratuj!

W tej samej chwili, nagle, otworzyła się pod nim ziemia i ciernie pociągnęły go w dół, niczym ruchome piaski, w czeluście ziemi.

Walczyła ze wszystkich sił. Ciernie nie przestawały szarpać jej ciała, ale zdołała upaść na kolana i wyciągnąć rękę.

Chwycił ją niczym tonący. Ich dłonie spotkały się, owinięte cierniami, a ból był nie do zniesienia.

Ale trzymała go ze wszystkich sił, na które było ją stać.

A mimo to, nie wystarczyło. Caleb krzyknął, kiedy ziemia wessała go do środka. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie była w stanie wyciągnąć go stamtąd.

– Caitlin! – wrzasnął.

Sekundę później znikł całkowicie pod jej powierzchnią. Jego krzyki zdławił

piach.

– Caleb!

Caitlin usiadła wyprostowana na łóżku, wykrzyknawszy jego imię. Jej twarz pokrywał pot.

Rozejrzała się wokół, szukając go wszędzie, lecz wkrótce zorientowała się,

że to był tylko sen.

Wydawał się taki sugestywny. Taki prawdziwy. Nigdy jeszcze nie miała tak realnego snu. Był niczym wiadomość.

Skoczyła na nogi i zaczęła chodzić po kamiennej posadzce pokoju. Przez okno sączyło się poranne, słoneczne światło. Była zlane potem. Ponownie starła go z czoła. Czuła wielką rozpacz i niepokój. I nie wiedziała, co robić. Czuła każdą cząstką swego ciała, że Caleb miał kłopoty, że potrzebował jej pomocy. W

zasadzie ten sen nie był tylko snem. I pomimo tego, co Caleb zrobił, pomimo, że zdradził ją z Serą, czuła palącą potrzebę pospieszenia mu na ratunek.

Róża musiała wyczuć jej poruszenie, gdyż chodziła po ich małym pokoju razem z nią.

Caitlin odsunęła włosy z twarzy, odetchnęła głęboko i zebrała myśli. Czy Caleb rzeczywiście mógł być w niebezpieczeństwie? Czy naprawdę jej potrzebował?

Wiedziała, że, wybierał się na wojnę wampirów, ale jednocześnie, jak przypuszczała, miał przecież poparcie całego klanu. Miałby za sobą tysiące wampirów. Co dobrego miałoby wyniknąć z jej obecności przy nim w tej chwili?

A mimo to, coś cały czas nie dawało jej spokoju. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale wiedziała, że był w tarapatach. A może ona to wszystko sobie tylko wyobrażała? Może były to tylko jej pobożne

zyczenia. Może miała nadzieję, że w jakiś sposób była mu potrzebna, że chciał, by do niego wróciła?

Spróbowała oczyścić umysł, wyciszyć się. Wspomnienie snu nie dawało jej spokoju i czuła, że prędko nie da. Musiała coś zrobić. Lecz nie wiedziała co takiego. Zaczęła zastanawiać się, czy istniał jakiś sposób, by dowiedzieć się, co u niego. By wysłać mu wiadomość?

Wówczas przypomniała sobie sokoła. I list od Caleba.

Obejrzała się w stronę biurka, na którym spoczywało starannie złożone zawiniątko.

Podbiegła do niego i rozwinęła je trzęsącymi się rękoma. Zdecydowanie przyszła pora, by przeczytać list od Caleba.

Przejrzała go pobieżnie.

Najdroższa Caitlin... między mną i Serą nic nie ma... przykro mi bardzo, jeśli sprawiła inne wrażenie... wiedz, że bardzo cię kocham... myślę wciąż o tobie... z niecierpliwością wyczekuję... nowego życia gdzieś daleko stąd... z tym listem oddaje ci moje serce

Caitlin przeczytała list raz, potem drugi i trzeci. Rozbierała każde słowo na cząstki, a po jej policzkach ciekły łzy.

Jaka była głupia. Dlaczego nie przeczytała tego wcześniej?

Dlaczego nie

obdarzyła go zaufaniem? Dlaczego po prostu go nie wysłuchała, nie sprawdziła, co miał do powiedzenia?

Wyszła na idiotkę. Przeczytawszy ten list zrozumiała, że Caleba z Serą już nic nie łączyło. Że nie mieli dziecka – a przynajmniej od setek lat. Sera wszystko przekreśliła. Caleb zaś był całkowicie niewinny.

Dlaczego nie mogła poświęcić mu ani jednej chwili?

Była wściekła na Serę, ale jeszcze bardziej na siebie. Zawdzięczała Calebowi tak wiele, że powinna dać mu szansę wszystko wytłumaczyć, ale nawet na to nie było ją stać. Po tym wszystkim, co dla niej uczynił. Po tym, jak ocalił jej życie i troszczył się o nią, kiedy wracała do zdrowia – już po raz trzeci.

Była taka ograniczona, tak dumna i niecierpliwa. Nienawidziła siebie.

Ponad wszystko, to ona zdradziła *jego*, rozkazując mu zostawić ją w spokoju po wszystkim, co dla niej zrobił. I jeszcze do tego pozwoliła

sobie na obdarzenie uczuciem kogoś innego. Blake'a. Wróciła myślami do poprzedniej nocy i zdała sobie sprawę, że i ona zdradziła go z Blake'iem.

Ale czy na pewno?

Usiadła na krawędzi łóżka z głową złożoną w dłoniach i rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie wszystko. Co takiego się wydarzyło?

Przypomniała sobie ich rozmowę. Spacer na plaży. A potem? Pocałował ją?

Pamiętała jak podniósł dłoń, jak pogłaskał ją po twarzy, przeczucie, że zamierzał ją pocałować...

Ale nie zrobił tego. Przypomniała sobie. Spojrzeli sobie głęboko w oczy, potem, nagle, w zagadkowy sposób odwrócił się i znikł.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła niewielki kawałek wytartego, morskiego szkła, które jej podarował. Potarła je i poczuła niewielką ulgę.

Przynajmniej nie zdradziła Caleba z Blake'iem. Nadal jednak myśli o Blake'u kłębiły się w jej głowie. Czy nie była to zdrada sama w sobie?

Zaczęły targać nią różne uczucia i z każdą chwilą nienawidziła siebie coraz bardziej. Dlaczego nie potrafiła być silna? Bardziej zdyscyplinowana?

Cierpliwsza?

W jednej chwili wszystkie te uczucia przeobraziły się w coś realnego, w coś zalegającego w jej wnętrzu. Zrobiło jej się niedobrze, podbiegła do otwartego okna, wychyliła się i wymiotowała.

Wytarła usta, z trudem łapiąc powietrze. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek zebrało jej się na tak obfite wymioty, tak długo trwające. I zawierające samą krew.

Nie czuła się sobą. Przez chwilę pomyślała, że może rzeczywiście była chora. Jej organizm rozregulował się; równowaga chemiczna została zakłócona, mimo, że była wampirem.

Usiadła, oddychając głęboko, i uświadomiła sobie jedną rzecz: to nie był

tylko sen. Otrzymała wiadomość. Caleb potrzebował jej, była tego pewna.

I była gotowa zrobić wszystko, co trzeba, aby go uratować.

*

Pokonała szybko leśny szlak, w nieodłącznym towarzystwie Róży i dotarła na niewielką polanę, na której położony był dom Aiden. W porannym słońcu wydawał się taki spokojny, taki cichy, że zaczęła się zastanawiać, czy Aiden spał.

Wątpiła, w to jednak. Wydawało się, że nigdy się nie kładł. Co prawda, widywała go rzadko, ale z drugiej strony wyczuwała jego wszechobecność na wyspie. Doglądał, by życie na wyspie przebiegało bez zakłóceń.

Kiedy pierwszy raz z nim rozmawiała, powiedział, żeby nie wahała się przyjść, jeśli czegoś będzie potrzebować. Że drzwi do jego domu będą zawsze otwarte. Miała nadzieję, że mówił to poważnie. Nigdy nie myślała, że skorzysta z zaproszenia, tym razem jednak naprawdę potrzebowała jego pomocy. Kiedy stanęła przed jego drzwiami, zawahała się. Zaczęła obawiać się tego spotkania.

Nabrała dużo powietrza, podniosła dłoń i zapukała – w tej samej chwili drzwi otworzyły się same. Aiden stał w nich, spoglądając na nią stalowymi oczyma, pełnymi zdecydowania, a jednak pozbawionymi wyrazu. Niełatwo było cokolwiek z nich wyczytać. Błyszczały w porannym słońcu, sprawiając, że jeszcze raz urósł do rozmiarów góry, jakby żył na tej ziemi od tysięcy lat.

Odwrócił się powoli i przeszedł przez pokój, pozostawiając drzwi otwarte.

Weszła za nim wraz z Różą u boku i zamknęła za sobą drzwi.

Aiden siedział już za biurkiem z rękoma założonymi na piersi i obserwował

ją cierpliwie. Caitlin zajęła miejsce naprzeciwko. Była podenerwowana.

Oczywiście nie spał. I oczywiście oczekiwał jej. Jak zwykle zapomniła o psychicznych mocach wampirów – a zwłaszcza tej jednej. Prawdopodobnie wiedział już o wszystkim, co zamierzała mu powiedzieć. Jednakże musiała to zrobić. Choćby po to, aby usłyszeć to na własne uszy.

Odchrząknęła ze zdenerwowania.

– Przypuszczam, że wiesz, dlaczego tu jestem? – zaczęła ostrożnie.

Wpatrywał się w nią z obojętnością. – Dlaczego mi nie powiesz? – zapytał.

– Zeszłej nocy przyśnił mi się Caleb – powiedziała. – Coś mu groziło.

Myślę, że to nie był tylko sen. Był taki... *rzeczywisty*.

– Wampiry nie odwiedzają się nawzajem we śnie z byle powodu – odpowiedział Aiden. – Każdy sen ma charakter wizyty. Celowego spotkania. I każdy niesie ze sobą wiadomość. Nie jesteśmy podobni do ludzi. Potrafimy kontrolować sny.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– W takim razie... to prawda? – spytała. – Coś grozi Calebowi?

Aiden skinął głową z powagą.

– Tak – odparł beznamiętnie. – Jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Caitlin poczuła, jak wraz z tymi słowami zamarło jej serce. Wstała. Była zbyt poruszona, by siedzieć. Jak Aiden mógł mówić to z takim spokojem?

– Cóż... co... ja... co masz na myśli? Co wiesz? – spytała.

– Tyle, co i ty – powiedział jedynie.

– Jeśli zatem to prawda – powiedziała, chodząc po pokoju, – ja... nie mogę tak po prostu tu siedzieć. Muszę się z nim zobaczyć. Muszę mu pomóc.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – spytała zmieszana. – Jak to dlaczego?

– Kim on dla ciebie jest? – zapytał spokojnym tonem.

Caitlin spojrzała gniewnie na Aiden. Była zła. Dlaczego wypytywał ją o to?

Wiedział przecież, jak bardzo jej zależało na Caleb. I wiedział też, ile ona znaczyła dla niego. Aiden nie mógł mówić poważnie.

Zorientowała się, że jednak nie. Wszystko, co Aiden mówił niosło ze sobą jakąś wiadomość, jakąś wskazówkę. Jego pytanie było czysto retoryczne. Starał

się zachęcić ją do czegoś, jak zwykle zresztą. Chciał, by sama do tego doszła, by wypowiedziała to na głos. Chciał, by przypięła etykietkę do ich związku, sprecyzowała go. Aiden podpuszczał ją, prowokował.

– Caleb jest moim... – zaczęła, ale zaraz się wycofała. Co miała powiedzieć? Chłopakiem? Mało powiedziane. Mężem? Nieprecyzyjne. Kim on tak naprawdę dla niej był? Nie przychodził jej do głowy żaden termin.

– Jest moim ukochanym – powiedziała ostatecznie.

Aiden skinął głową, najwidoczniej zadowolony z takiej odpowiedzi.

– Jesteś pewna? – spytał.

Caitlin spojrzała na niego ponownie, czując, że do czegoś ją zachęcał, do odkrycia jakiejś prawdy. Chciał wiedzieć, na ile była tego pewna, na ile pewna była swoich uczuć. Musiał wyczuć coś jeszcze. Tak. Musiało właśnie o to chodzić: musiał wyczuć jakieś niejasne do końca uczucie łączące ją i Blake'a.

Ganił ją. Chciał, żeby jasno określiła swoje uczucia, by podjęła decyzję, by była świadoma, komu w pełni oddaje swoje serce.

Zdała sobie sprawę, że miał rację. Darzyła Blake'a jakimś tłącym się wciąż uczuciem. Jeśli Caleb rzeczywiście był jej ukochanym, nie mogła pozwolić sobie na tego rodzaju uczucia wobec kogokolwiek innego. Wymagało to wewnętrznej dyscypliny i właśnie tego od niej żądał.

– Tak – powiedziała w końcu, pewnym siebie i stanowczym głosem.

– Caleb i tylko Caleb.

Aiden skinął głową. – Dobrze. Bardzo dobrze – powiedział. – Wampirza

miłość to święta rzecz. Nie należy obdarzać nią nikogo zbyt pochopnie.

– Muszę mu pomóc – powiedziała jeszcze raz dobitnie. – Czuję, że mnie potrzebuje.

– Tak – powiedział Aiden. – Ale nie jesteś w stanie mu pomóc.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Caleb dokonał wyboru. Wyzaczył swoją ścieżkę. Zdecydował się walczyć o swój klan, swoją rodzinę. Wybrał wielce szlachetną misję, ale nie uda mu się zwyciężyć. Siły ciemności są zbyt potężne, zbyt liczne. Poza tym, nie ma pełnego poparcia ze strony własnego klanu. Wpadł w pułapkę, z której nie ma wyjścia. Nikt i nic nie jest w stanie go teraz ocalić.

Caitlin patrzyła na niego w osłupieniu, czując, jakby ktoś wyssał z niej całe powietrze.

– Tej bitwy nie wygrasz – kontynuował. – Sama zostałabyś pochłonięta przez mrok. Jeśli spróbujesz, z pewnością zginiesz.

Poczuła, jak gorąca łza popłynęła jej po policzku. Nie potrafiła wydusić z siebie ani jednego słowa. W głębi serca czuła, że Aiden mówił prawdę.

– Przykro mi, że ci to mówię, ale musiałaś się tego wszystkiego dowiedzieć.

Twoja misja jest zbyt ważna. Caleb nie mylił się ani trochę: jesteś Wybrańcem.

A to oznacza, że jesteś jedyną osobą, która może doprowadzić nas do tarczy. Bez niej miecz dokona niewyobrażalnego spustoszenia na świecie. Jesteś nam potrzebna. Całej wampirzej rasie. Gatunkowi ludzkiemu. Ten klan – który stał

się twoją nową rodziną – liczy na ciebie. Jesteś tu, gdzie powinnaś, gdzie *musisz* być. Musisz trenować, nabrać sił, aby pewnego dnia poprowadzić nas do niej.

Tak zostało napisane.

– Ale ja muszę zobaczyć Caleba – powiedziała.

– Nie. Nie mogę pozwolić ci narażać siebie, ani, co ważniejsze, naszego ludu. Zabraniam ci.

Caitlin spojrzała na niego. Jej smutek ustąpił miejsca zniechęceniu, te zaś złości. Nienawidziła wszelkich przejawów zwierzchnictwa. Nie mogła znieść, kiedy ktoś czegoś jej zabraniał. Wyprowadzało ją to z równowagi.

– Nie możesz mi niczego zabronić – powiedziała. – Mogę zostać lub odejść wedle własnego uznania. Sam to powiedziałeś, kiedy tu przybyłam.

– Powiedziałem, że możesz odejść kiedy chcesz, ale jeżeli odejdziesz bez mojej zgody, nigdy nie wolno ci tu powrócić. Nigdy. Czy gotowa jesteś na takie poświęcenie?

Caitlin stała zszokowana. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Porzucić to wszystko? Tę wyspę, swój nowy dom, swój nowy klan? Wszystkich dopiero co poznanych przyjaciół? Rzucić się na pastwę mrocznych mocy, spróbować ocalić Caleba, kiedy Aiden twierdzi, że jest to niemożliwe? Kiedy upiera się, że

wówczas i ona umrze?

Wiedziała, że, logicznie rzecz biorąc, miał rację. Powinna tu zostać.

Jednak czuła głęboko w sercu, że nie potrafiła zignorować swoich uczuć do Caleba, jej poczucia obowiązku. Musiała spróbować go uratować, nawet jeśli byłoby to bezowocne. Nie potrafiłaby spojrzeć sobie w oczy, gdyby nie spróbowała. Nie potrafiła też pogodzić się z myślą, że już nigdy nie miała go zobaczyć.

Nagle poczuła, jak robi się jej niedobrze i bez żadnego ostrzeżenia podbiegła do okna Aiden, podniosła okiennice i wymiotowała. Kilka razy. Krew obryzgała kamienny podokiennik.

W końcu złapała oddech i wytarła usta. Pokój wirował dokoła. Czuła się nieswojo.

Aiden stanął za nią i kiedy się odwróciła, popatrzył na nią z góry. Jego oczy

– zawsze pełne spokoju i opanowania – nagle spojrzały na nią z zaskoczeniem.

Nigdy jeszcze takim go nie widziała.

– Rany – powiedział, patrząc prosto na nią. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Wpatrywał się intensywnie w jej oczy, czym tylko ją zdenerwował.

– Twoje oczy... – powiedział – są żółte.

Na samą myśl o tym Caitlin przeraziła się. Czuła, jak wewnątrz cała drży.

Czy coś jej dolegało, coś poważnego?

– Nie czuję się... dobrze – powiedziała, mam zawroty głowy. Czuła się tak, jakby ktoś ją otruł.

– Oczywiście – odpowiedział. Powoli uniósł jedną dłoń i przyłożył do jej czoła. Zamknął oczy i odetchnął głęboko. W końcu spojrzał na nią i skinął głową.

– Tak, jak podejrzewałem – powiedział.

– Co? – spytała zdenerwowana.

– Jesteś w ciąży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gdyby Kyle był w stanie odczuwać radość, to właśnie w tej chwili jego samopoczucie było temu najbliższe. Jeszcze kilka tygodni temu został ukarany, jego twarz oblano kwasem, a potem wyrzucono go z

klanu – niczym dziwoląga, pariasa i zabroniono kiedykolwiek wracać. A teraz, stał tu, z powrotem pod zabudowaniami Miejskiego Ratusza, jako nowy przywódca klanu Blacktide.

Zdołał obalić Rexiusa, zemścić się na wszystkich starych wrogach i umocnić swoją pozycję jako właściciela miecza. Poprowadził nawet tysięczną armię, a wszystkie miejscowe klany okazały mu szacunek. Miał świat u swych stóp.

A był to dopiero początek wojny. Ostatnia bitwa przyniosła mu chwałę.

Kiedy zabił Samuela i uwięził Caleba, potyczka przeistoczyła się w pogrom.

Jego żołnierze zgotowali rzeź wszystkim walczącym. Walczyli godnie, ale w ostatecznym rozrachunku jego wojownicy po prostu przewyższyli ich liczebnością. Niewiarygodnie umocnił swoją pozycję, dzięki czemu przyłączało się do niego coraz więcej sąsiednich klanów. Jego armia już zaczęła zajmować lepsze ziemie, przecznicę za przecznicą, niczym stado szarańczy, przynosząc wszystkim ludziom śmierć. Zaczęła zwierać szeregi i kierować się do Cloisters, gotując się do zadania ostatecznego ciosu Białemu klanowi. Już wkrótce całe miasto miało należeć do niego. A potem mógł zacząć wprowadzać w życie swój główny plan.

Uśmiechnął się szeroko. Apokalipsa, o której zawsze marzył, właśnie nadeszła.

I tylko jeden, niewielki cień mu zawadzał. Najmniejszy ze wszystkich, ale jednak, nie dawał mu spokoju. Caitlin. Ta dziewczyna. Nie cierpiał

przepowiedni, a już zwłaszcza tej mówiącej o niej. Nienawidził jej rodu. Tego, że była Wybrańcem. Jedyńą osobą, która, jeśli wierzyć świętej księdze, mogła położyć kres jego planom. Wiedział, że to błahostka, lecz problem polegał na tym, że inne wampiry wierzyły w to, że Caitlin jest Wybrańcem. I tak rozpętał

wojnę psychologiczną.

Wiedział od samego początku, że będzie musiał ją odszukać i zabić, skończyć z nią raz na zawsze. Wtedy i tylko wtedy będzie mógł odetchnąć z ulgą, i zacznie się totalna zagłada.

Z tego też powodu wpadł w wielki zachwyty, kiedy udało mu się schwytać Caleba. Był o wiele lepszym wojownikiem, niż do tej pory sądził. Kyle musiał

przyznać, że w trakcie utarczki był moment, kiedy obawiał się, że przegra. Ale wtedy pojawił się Sam. Sam stał się nie tylko jednym z jego najlepszych

żołnierzy, ale też jego najwierniejszym i zaufanym wojownikiem. Sam uratował

mu życie. Udowodnił swoje oddanie. I za to Kyle będzie mu zawsze wdzięczny.

Co ważniejsze, Sam dał mu okazję, by schwytać Caleba. Mając go w swoich rękach, Kyle był pewien, że Caitlin wkrótce się zjawi. Musiał tylko poczekać na właściwy moment. Był przekonany, że się pokaże, że przyleci jak ćma do płomienia.

Ponownie wyszczerzył zęby. O tak. Jego plan działał.

Jeśli mogło być coś lepszego niż własnoręczne zabicie Caitlin, kiedy już do niego przyjdzie, to tylko bycie świadkiem, jak Sam, jej własny brat, zabija ją na jego oczach. Ach, pomyślał, dzięki temu ten dzień byłby wręcz idealny. Radość z niego płynąca i pamięć o tym wystarczyłyby mu na długie lata. Tak, cóż za wspaniały koniec. Śmierć z ręki własnego brata.

Co więcej, czyn ten umocniłby lojalność Sama wobec niego na wieki. Dzięki temu Sam stałby się wiernym i zaufanym doradcą, w którym Kyle miałby oparcie podczas przenoszenia działań wojennych poza Nowy Jork. Załatwiłby dwie sprawy za jednym razem. Kyle był zadowolony z siebie, że akurat jemu przyszło to do głowy.

I nie było lepszej broni, od której miała zginąć, niż ta, do której *sama* go doprowadziła. Miecz miał zgładzić ją tym razem na dobre.

Siedząc w wielkiej sali pośród zaaferowanych wampirów, Kyle nachylił się i szepnął coś do ucha Sergeia. Wkrótce przez tłum zaczęło przeciskać się kilku strażników. Mieli rozkaz odszukać Sama i Samanthę.

W przeciągu kilku sekund pojawili się przed tronem Kyle'a.

W pomieszczeniu zaległa cisza, kiedy wszyscy odwrócili się, by popatrzeć.

Nie często zdarzało się, aby Kyle wzywał kogoś do siebie.

– Samie z klanu Blacktide – powiedział powoli Kyle apodyktycznym tonem głosu. – Dowiodłeś swej lojalności w dzisiejszej bitwie. Jesteśmy ci za to zobowiązani.

W sali rozległy się głośne okrzyki aprobaty zebranych wokół wampirów.

Sam spoglądał na niego beznamiętnym wzrokiem, tym samym, który nie zniknął z jego twarzy od chwili przemiany. Nadal wyglądał, jakby był pogrążony w amoku.

– Została jeszcze jedna rzecz, którą musisz zrobić, by udowodnić lojalność wobec naszego klanu – dodał Kyle.

Po chwili podbiegł do niego Sergei z mieczem w dłoni.

Kyle nachylił się, wziął go w obie dłonie i pokazał Samowi. Broń lśniła w świetle pochodni.

– Któregoś dnia zjawi się u nas twoja siostra. To nieuniknione. A kiedy przybędzie, zabijemy ją. Kyle pochylił się do przodu. – A dokładniej, to *ty* ją

zabijesz. Tym oto mieczem.

Sam patrzył wciąż na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Tym czynem – kontynuował Kyle – przypieczętujesz swoją lojalność wobec mnie na wieki. A kiedy to się stanie, wynagrodzę cię, mianując generałem i zapewnię władzę i bogactwo, o jakich nigdy nie marzyłeś.

– Samie z klanu Blacktide, czy zgadzasz się podjąć tej misji?

Sam stał, wpatrując się w niego bez jednego mrugnięcia okiem. Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

Kyle zaczął odczuwać irytację. Czuł, jak gniew wypełza mu na twarz.

Nagle, między nich weszła Samantha i ukłoniła się nisko.

– Mój mistrzu – powiedziała – Sam jest nadal pod wpływem szoku spowodowanego przemianą oraz swoją pierwszą bitwą wampirów. Nie rozumie w pełni jeszcze wszystkiego. Proszę cię, byś pozwolił mi rozmówić się z nim w cztery oczy i wszystko wyjaśnić. Obiecuję, że cię nie zawiodę – powiedziała i ponownie ukłoniła się przed nim.

Kyle odetchnął głęboko. – Dobrze więc. Masz kilka minut. Nie więcej. A jeśli odpowiedź nie będzie taka, jakiej oczekuję, ty i twój luby zapłacicie za to.

Zapewniam cię.

*

Samantha odprowadziła Sama do bocznej komnaty głównego holu. Zamknęła za sobą drzwi i, stojąc sam na sam z Samem, przemówiła do niego szybkim, pełnym poruszenia szeptem.

– Samie, chcę, byś się skupił, byś mnie wysłuchał – błagała.

Nadal gapił się pozbawionym wyrazu wzrokiem, a ona zaczęła się zastanawiać, jak bardzo negatywnie wpłynęła na niego przemiana. Zachowywał

się, jakby w ogóle jej nie rozumiał.

Podeszła do niego, objęła jego twarz dłońmi, nachyliła się i pocałowała mocno. I przez długi czas.

Cofnęła się i spojrzała mu w oczy. Zauważyła w nich niewielki błysk, jakby ją rozpoznał. Może złamała nieco zaklęcie.

– Samie, grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Musisz przyjąć ten miecz.

Musisz powiedzieć Kyle’owi, że zabijesz siostrę.

Sam patrzył na nią, mrugając powiekami, jakby coś zaczęło do niego docierać.

– Samie, musisz to zrobić. Inaczej nas zabiją. A kiedy już miecz będzie w naszych rękach, nic nas nie powstrzyma. Kiedy zabijesz siostrę, będziemy mogli obalić Kyle’a. Z tym mieczem będziesz potężniejszy od niego. Zostaniesz nowym przywódcą klanu, a ja będę stać u twego boku. Razem wzniesiemy się na wyżyny wszystkiego.

– Samie, proszę, posłuchaj mnie!

Potrząsnęła jego ramionami, próbując uzyskać jakąś reakcję.

– Powtarzaj za mną: Przyjmę miecz – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Zabiję moją siostrę.

Sam spojrzał na nią. Był nadal w transie. – Przyjmę miecz – powtórzył

niczym echo powoli. – Zabiję moją siostrę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Caitlin siedziała w szerokiej kamiennej wnęcie, z Różą u boku, i obserwowała rzekę. Natknęła się na tę niewielką, rozsypującą się ruinę w opuszczonej części wyspy, na brzegu, niemal na wysokości powierzchni wody.

Czuła, że będzie w stanie zebrać tutaj myśli, w samotności, a rozpaczliwie tego potrzebowała. Niebo mieniło się różowymi odcieniami zachodzącego słońca.

Miała wrażenie, że siedzi na krawędzi świata.

W jej głowie kotłowały się różne myśli. Musiała zastanowić się, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

Była w ciąży. Te słowa wywróciły jej świat do góry nogami. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że to możliwe – minął zaledwie tydzień, czy dwa od tej nocy, którą spędziła wspólnie z Calebem.

Była w szoku, kiedy Aiden oznajmił

jej, że ciąża wampira przebiega znacznie szybciej. Nie trzeba było trzech miesięcy, żeby się o tym przekonać. Wystarczyły trzy dni. A ponieważ wampir nie może zapłodnić innego wampira, tej nocy, kiedy była razem z Calebem, była jeszcze pół krwi mieszańcem. Przynajmniej tak wytłumaczył to Aiden.

Caitlin przełknęła ślinę ze strachu. Jakie dziecko mogło narodzić się z takiego związku? Ludzkie? Mieszaniec? Czy wampir? I jaką matką ona się okaże? Ledwie co potrafiła zadbać o samą siebie, nawet nie wiedziała zbyt dobrze, kim jest. I jakim ojcem będzie Caleb? Czy w ogóle będzie obecny w życiu tego dziecka? Czy przeżyje, by zobaczyć je na własne oczy? I ona również?

Myśli te, jak i wiele innych, nie dawały jej spokoju. Co gorsza, nade wszystko uporczywie nękała ją myśl, że Caleb był w niebezpieczeństwie.

Znaczenie słów Aiden. Nie potrafiła o nich zapomnieć. *Caleb w niebezpieczeństwie... żadnego sposobu, by mu pomóc... zabronił jej... nigdy już nie będzie mogła wrócić...*

Każda cząstka ciała zdawała ponaglać ją, by pospieszyła za Calebem, by iść mu na ratunek – zwłaszcza po tym, jak przeczytała list od niego, jak poznała jego najskrytsze, najprawdziwsze uczucia, którymi ją darzył. Jak mogła tak po prostu go zawieść, zwłaszcza po tym wszystkim, co dla niej zrobił?

Z drugiej strony jednak przytłaczała ją myśl, jakiego poświęcenia to od niej wymagało. Musiałaby opuścić to miejsce, swój nowy dom, nową rodzinę, już na zawsze. Mogła czekać ją śmierć, jeśli wierzyć Aidenowi. A to oznaczało, że skazałaby na śmierć również swoje dziecko.

Czy powinna to wszystko poświęcić i spróbować ocalić Caleba?

Tylko znowu, dlaczego *nie*?

Siedziała, przeklinając swój pech i roniła łzy płynące obficie po policzkach, lśniące w zachodzącym słońcu. Taki już był jej los. Wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy pokochała jakąś cząstkę swego życia – czy to nowy dom, nową szkołę, nowego przyjaciela – zawsze ją traciła. Życie obdarowywało ją wspaniałościami, ale tylko na chwilę, która wystarczyła, by uświadomiła sobie, że jej na nich zależy. Wówczas kładło jej kłody pod nogi. Jediną pewną rzeczą wydawały się nieustanne zmiany.

Logicznie rzecz biorąc wiedziała, co musi zrobić. Powinna zostać na miejscu. Dla siebie. Dla dziecka. Dla przyjaciół z klanu. Dla jej rasy. Dla przeznaczenia.

Jednak w głębi serca nie potrafiła zapomnieć o Calebie.

Siedziała więc tak i rozmyślała godzinami.

I w końcu jej serce zwyciężyło.

Była gotowa pomóc Calebowi.

*

Caitlin stała w swoim małym pokoju, po raz ostatni sprawdzając swój dobytek. Miała na sobie strój bitewny, który dostała na treningu, a który od razu jej się spodobał. Był cały czarny, uszyty z materiału, którego nie potrafiła ani nazwać, ani rozpoznać. Wiedziała też, że był najlżejszy z możliwych i mocniejszy niż kamizelka kuloodporna. Tkanina dopasowała się jak ulał do jej nóg, tułowia, rąk i szyi i zakryła jej ciało od stóp do podbródka. Do kompletu miała parę czarnych butów. Zapięła strój na całej długości aż do szyi i wygładziła rękawy. Czuła się niezwyciężona.

Po raz ostatni omiotła wzrokiem pokój, chwyciła swój dziennik i kilka osobistych rzeczy, po czym wyszła, kierując się w stronę szerokiego, kamiennego podestu.

Spojrzała na rozległe niebo i przygotowała się do skoku, ostatecznego pożegnania, kiedy nagle usłyszała skomlenie. Spuściła wzrok i zobaczyła siedzącą przy niej Różę. Patrzyła na Caitlin błagalnym wzrokiem. Jakby prosiła, żeby Caitlin nie odchodziła, jakby wiedziała, co ją czeka.

Caitlin przykucnęła przy niej, wyciągnęła dłoń i pogłaskała Różę po pyszczku. Róża polizała ją, wciąż skomląc.

– Już dobrze, Rózo – powiedziała. – Będzie dobrze.

– Nie zamierzałaś się nawet pożegnać? – usłyszała nagle.

Caitlin podniosła wzrok, zaskoczona. Zobaczyła Polly, która podeszła do niej ze łzami w oczach.

– Przykro mi – powiedziała Caitlin. – Naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie wiedziałam też, jak to przyjmiesz.

Polly skinęła głową. – Dowiedziałam się od Aideny. – powiedziała.

Caitlin otworzyła szeroko oczy.

– Aideny? Ale przecież nic mu jeszcze nie powiedziałam. Skąd mógłby wiedzieć–

– On wie wszystko – przypomniała Polly.

Więc wiedział przez ten cały czas, że odejdę, pomyślała Caitlin. Ciekawa była, jak bardzo był nią rozczarowany. I poczuła się źle, jakby go zawiodła.

– Wiesz, on zawsze mówi poważnie – powiedziała Polly. – Jeśli odejdziesz, nie będziesz mogła tu wrócić.

Caitlin poczuła, że zbiera się jej na płacz.

– Wiem – powiedziała cicho. – Ale muszę odejść. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Polly skinęła głową, zbliżyła się i uściskała Caitlin. Caitlin odwdzięczyła się tym samym i obie zapłakały, tkwiąc w swoich ramionach.

W końcu odsunęły się od siebie. – Czy inni już wiedzą? – spytała Caitlin.

Polly przytaknęła.

– Trudno, aby nie. Takie wibracje szybko się rozprzestrzeniają. Oni wszyscy cię kochają. Każdemu z nich jest teraz ciężko.

Caitlin pomyślała o Blake'u. Zastanawiała się, jak on to zniesie.

– Tak, nawet Blake – odparła Polly, czytając jej w myślach. – Zaszyl się w odległym zakątku wyspy i nikt od tej pory go nie widział.

Caitlin wyczuła mały kawałek morskiego szkła w swojej kieszeni i poczuła się źle. Starła łzę z oka. – Zajmiesz się Różą? – spytała, z ledwością powstrzymując się od łez.

Róża zaskomlała jeszcze głośniej.

– Oczywiście – odparła Polly.

Caitlin skinęła głową. Odetchnęła głęboko. Była zdecydowana.

Podeszła do Polly, położyła rękę na jej ramieniu i spojrzała w oczy.

– Kocham cię – powiedziała. – I to miejsce. Całym sercem.

Po czym odwróciła się i skoczyła nad krawędzią, rozwinąwszy skrzydła, unosząc się coraz wyżej i wyżej na nocnym niebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Przelatując nad Bronksem, Caitlin obserwowała z przerażeniem rozmiar spustoszenia, jakie dokonywało się na ulicach poniżej. Przeznica za przecznicą stawały się świadkami rozlewu krwi, niepoohamowanej, nocnej uczty wampirów obżerających się ludźmi. Ludzie walczyli ze sobą, próbując ratować się ucieczką z ogarniętego chaosem miasta. Zapanowała anarchia. A ona nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że ponosiła za to odpowiedzialność. Gdyby tylko utrzymała miecz w dłoni, nie upuściła go, może nic z tego nie miałoby teraz miejsca.

Przeleciała nad Cloisters, zniżyła lot i ponownie okrążyła jego zabudowania.

Zawahała się. Biła się z myślami, czy powinna wylądować, i czy był tu Caleb. Z

jednej strony, przyszło jej do głowy, że już dawno opuścił to miejsce i walczył w tej chwili w jakiejś bitwie. Zgadywała, że jeśli rzeczywiście groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, to z pewnością nie tutaj.

Z drugiej strony, nie miała pojęcia, gdzie mogłaby go szukać w całym Manhattanie. Cloisters był najlepszym tropem, jaki miała. Była pewna, że wampiry z jego klanu wiedziały dokładnie, gdzie się udał i wskażą jej właściwy kierunek. Logicznie rzecz biorąc, było to najlepsze miejsce, by rozpocząć poszukiwania.

Mimo to poczuła niepokój na myśl o tym, że znów spotka Serę. Była tak wściekła na nią, że nie wiedziała, jak zareaguje na jej widok – i nie ufała sobie na tyle, by wiedzieć, że zdoła powstrzymać emocje. Poza tym, kiedy ostatni raz przybyła do Cloisters, spotkała się z niezbyt ciepłym powitaniem i podejrzewała, że ludzie Caleba mogą tym razem wściec się jeszcze bardziej z powodu jej obecności. I może nawet potraktują ją z otwartą wrogością.

Zdecydowała jednak, że musi podjąć to ryzyko. Obniżyła lot, nurkując nisko i wylądowała na szerokim, zewnętrznym tarasie wznoszącym się nad rzeką Hudson.

Przeszła przez średniowieczny ogród i skierowała się wprost ku wielkim drzwiom, przed którymi stało na baczność kilkunastu żołnierzy wampirów.

Nie pamiętała, aby ostatnim razem było tu aż tylu wartowników. Klan musiał

być w najwyższej gotowości.

Jeden z żołnierzy wystąpił do przodu i z długa włócznią w dłoni zagroził jej drogę. Był śmiertelnie poważny.

– Podaj swoje imię, klan i cel przybycia – powiedział.

Widziała, jak spięci byli pozostali, stojący za nim wartownicy.

– Mam na imię Caitlin, jestem z klanu Pollepel i pragnę zobaczyć się z

Calebem.

Żołnierz zlustrował ją od stóp do głów i po chwili powiedział stanowczo: –

Zaczekaj tutaj.

Obrócił się na pięcie, pospiesznym krokiem wszedł przez drzwi i zatrzasnął

je za sobą.

Caitlin zaś stała i czekała w otaczającej ją, pełnej napięcia ciszy. Wkrótce drzwi otworzyły się ponownie i pojawiło się dwóch kolejnych żołnierzy.

– Chodź z nami – powiedział jeden z nich i odwrócił się.

Caitlin ruszyła za nimi przez drzwi, które zamknęły się za nią z łoskotem.

Podążyła za idącymi szybkim krokiem dwoma strażnikami przez długi, kamienny korytarz, potem wewnętrzny dziedziniec. Wszędzie dokoła widziała dziesiątki wampirów jawnie wałęsających się po dworzu. Wszyscy zdawali się poruszeni.

Poprowadzili ją kolejnym korytarzem w kierunku schodów, gdzie usłyszała dochodzące skądś, kobiece zawodzenie, odbijające się echem od sufitu.

Strażnicy zatrzymali się przy stopniach.

– Tędy – powiedział jeden z nich, patrząc prosto przed siebie.

– Dokąd one prowadzą? – spytała.

Czy gdzieś tam był Caleb? przemknęło jej przez myśl. Dlaczego nie przyszedł się ze mną przywitać?

Strażnicy gapili się dalej, całkowicie ją ignorując. Najwyraźniej nie mieli ochoty powiedzieć jej nic więcej.

Zeszła po starożytnych kamiennych stopniach, zanurzając się w mroku słabo rozświetlonym przez płonące pochodnie. Okrzyki robiły się coraz głośniejsze.

Minęła róg i znalazła się w wielkiej, kamiennej komnacie, podłużnej i wąskiej, zwieńczonej wysokim, strzelistym stropem. Ponure pomieszczenie wypełniały sarkofagi – wielkie, misternie rzeźbione grobowce o różnorodnym kształcie i rozmiarze. Poza nimi nie było tu nic.

Oprócz jednej osoby. Lub raczej wampira.

Sery.

Zauważyła ją klęczącą na twardej, kamiennej posadzce, samotną, na środku pomieszczenia, wypełniającą krzykami całe wnętrze.

Zanim zdołała na dobre wejść, Sera obróciła się gwałtownie, rozrzucając długie, rude włosy i ukazując wykrzywioną gniewem i zapłakaną twarz.

– To twoja wina! – krzyknęła, skoczywszy na nogi, i wskazała ją palcem. –

To wszystko przez ciebie.

Jednak Caitlin musiała zmierzyć się oko w oko ze swoim strachem. Z Serą.

Nadszedł czas, by obydwie szczerze ze sobą porozmawiały. Caitlin czuła, jak wzbiera w niej złość. Łzy Sery jakoś jej nie łagodziły.

Zanim zdążyła zareagować, Sera znowu wrzasnęła.

– Pojmali mojego Caleba! A to wszystko przez ciebie!

Serce Caitlin zamarło, kiedy usłyszała te słowa. Poczowała, że świat zawirował

dokoła niej. Była tak zaskoczona, że niemal zapomniała, co chciała powiedzieć.

Zabrakło jej słów.

Pojmany. Mogło to oznaczać tylko jedno. Najpewniej zamierzali go zabić.

Sera podeszła kilka kroków i stanęła przed Caitlin. Wpatrywała się w nią z głęboką nienawiścią, a jej smutek przeobraził się w szal.

– Dlaczego po prostu nie mogłaś zostawić go w spokoju? – zażądała odpowiedzi Sera. – To ty rozpętałaś ten zamęt. Z twojego powodu mają miecz. Z

twojego powodu Caleb musiał zaryzykować życiem, by spróbować go odzyskać.

Patrz, gdzie to go doprowadziło. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

– To *ty* przybyłaś po niego na naszą wyspę – odfuknęła Caitlin. – To ty go w to wszystko wciągnęłaś. Dlaczego to *ty* nie mogłaś zostawić go w spokoju? Nie mogłaś znieść, że jest szczęśliwy u boku innej osoby. To twoja wina, w takiej samej mierze, jak i moja – wykrzyczała Caitlin równie wzburzona.

Sera trzęsła się ze złości.

– Sprowadziłam go tu, by został ze *mną*, jego oddaną żoną. I z własnym dzieckiem.

– Już *nie* jesteś jego żoną – powiedziała Caitlin. – I znam prawdę o twoim dziecku. Twój syn zmarł setki lat temu. Opowiadasz same kłamstwa.

– Mój syn żyje! – wrzasnęła Sera. – Nigdy nie waż się temu przeczyć!

Nagle dotarło do Caitlin, że Sera straciła kontakt z rzeczywistością, że przygnębił ją smutek. Wpłynął na jej osobowość. Caitlin dostrzegła, jak żalowaną osobą stała się Sera i nagle, wbrew sobie, poczuła dla niej litość. Jej złość nieco przeszła.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedziała cicho.

Zauważyła, że Sera nie spodziewała się tego. Jej wyraz twarzy nagle złagodniał. Usiadła na podłodze po turecku, złożyła głowę w dłoniach i zaczęła szlochać.

– Calebie. Mój Calebie – łkała. – Jak mogli mi cię zabrać?

Caitlin widziała, jak bardzo zależało jej na Calebie. Naprawdę. Na widok Sery krajało się jej serce. Bez względu na to, jak wielkie były jej urojenia, przynajmniej jej uczucia do Caleba były prawdziwe. A to sprawiało, że obie miały ze sobą wiele wspólnego.

Caitlin usiadła obok niej, wyciągnęła dłoń i położyła na ramieniu Sery.

– Sero – powiedziała. – Musimy odszukać Caleba zanim będzie za późno.

Nie ma czasu do stracenia. Powiedz, gdzie on jest?

– U Blacktide – powiedziała Sera. – Schwytali go. Jego całą armię. Nigdy go nie odzyskamy. Mój cały klan boi się tam iść. Nikt nie chce nawet spróbować.

To straszne. Ich jest po prostu zbyt wielu.

Klan Blacktide, pomyślała Caitlin. To oznaczało Ratusz Miejski. Wiedziała, dokąd pójść. Wstała z podłogi.

– Cóż, nie potrzebna mi ich pomoc – powiedziała bez strachu. – Sama tam pójdę.

Sera wzięła się w garść i spojrzała na Caitlin oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Żartujesz? Zarzną cię – powiedziała. – To misja samobójcza.

– Więc niech tak będzie – odparła Caitlin. – Przynajmniej nie będę siedzieć tu jak jakiś tchórz.

Po czym odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

Nagle poczuła dłoń na ramieniu.

– Poczekaj – powiedziała Sera.

Caitlin odwróciła się, a Sera spojrzała jej głęboko w oczy na kilka sekund w pełnej napięcia ciszy.

– Naprawdę ci na nim zależy, prawda? – spytała.

Caitlin jedynie wpatrywała się w nią.

– Tak, widzę, że tak.

Sera patrzyła na nią, po czym skinęła głową powoli, podjąwszy decyzję.

– W takim razie dobrze – powiedziała. – Idę z tobą.

Caitlin zamurowało. – Co?

– Pójdziemy razem – powiedziała Sera. We dwie mamy większe szanse niż ty jedna. Nie, żebyś zmartwiła się, jeśli zginiesz. Ale nie chcę, aby cokolwiek stało się Calebowi.

Caitlin spojrzała na nią. Jej słowa były ostatnią rzeczą, której mogłaby się spodziewać. Im dłużej jednak o tym myślała, tym

bardziej była przekonana, że mądrze byłoby mieć jakieś wsparcie. Ostatecznie, chodziło przecież o Caleba, a nie o nią.

– Świetnie – odparła.

Sera odwróciła się nagle i przeszła przez komnatę. Stała przy małym sarkofagu, na tyle dużym, by pomieścił dziecko, i przeżegnała się. Zaczęła się modlić, schylając głowę tak, aż dotknęła grobowca.

Caitlin obserwowała ją i nagle coś sobie uświadomiła. To musiał być grób jej syna. Syna Caleba.

Zdała sobie sprawę, że przez te setki lat Sera nie była w stanie pozwolić mu odejść. Dla niej on wciąż jeszcze żył.

Po kilku chwilach Sera wstała i przeszła obok Caitlin, kierując się schodami

do góry.

Kiedy dotarły na szczyt, Sera ruszyła przed siebie innym korytarzem.

– Chodź ze mną – powiedziała. – Jeśli mamy umrzeć, to przynajmniej z odpowiednią bronią w dłoni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Caitlin i Sera przeleciały nad zachodnią stroną Manhattanu, kierując się do centrum. Opuszczenie Cloisters nie przyszło im łatwo.

Członkowie klanu Sery chcieli ją zatrzymać, jednak ona zdecydowanie się im przeciwstawiła. Caitlin musiała jej to przyznać – Sera potrafiła być uparta.

Sera wyprowadziła Caitlin na górę, na główną kondygnację Cloisters. Potem podeszły do ogromnego, misternie rzeźbionego w kamieniu kominka. Sera wetknęła tam dłoń i pociągnęła za ciężkie, żelazne ucho. Kiedy otworzyła się tajemna skrytka, Sera wyjęła z niej: krótki miecz pokryty starodawnymi rytami i krótką, srebrną włócznię. Caitlin patrzyła na nie zdumiona. Była to straszna, średniowieczna broń niosąca spustoszenie, jednakże piękna w swojej prostocie.

Następnie Sera zaprowadziła ją do innego pokoju. Otworzyła schowek w czymś, co wyglądało na wysoki na sześć stóp lichtarz i wyjęła z niego potężny topór wojenny. On również był zrobiony ze srebra i błyszczał, odbijając światło.

Caitlin odniosła wrażenie, sądząc po sposobie, w jaki Sera chwyciła za trzonek, że ta używała go już przedtem. I to wiele razy.

W ten sposób obie były już uzbrojone. Skoczywszy z blank Cloisters, wzniosły się w powietrze wbrew protestom członków klanu i odleciały na południe, mknąc przez nocny nieboskłon.

Przeleciały nad ulicą sto pięćdziesiątą, potem sto czterdziestą i kiedy Caitlin spojrzała w dół, coś sobie uprzytomniła. Mijały właśnie jej dawne okolice. Na samą myśl o tym zadrżała. W zasadzie, szybowały teraz nad jej dawnym liceum.

Zdała sobie sprawę, że nie miałyby nic przeciwko zburzeniu go tu i teraz.

Nagle coś sobie przypomniała. Jonah. Zapomniała o nim zupełnie i ta myśl wywołała szok w całym ciele. Zorientowała się, że musiał gdzieś tu być.

Spojrzała w dół i widząc szerzącą się anarchię, ludzi ustępujących pod naporem wampirów, zdała sobie sprawę, że rodzaj ludzki nie miał szans. Pamiętała, że mieszkał tu niedaleko, na sto trzydziestej pierwszej, i poczuła się zobowiązana mu pomóc. Nie żywiła już żadnych uczuć do niego, ale jednocześnie nie mogłaby żyć ze świadomością, że pozwoliła, by zginął.

– Musimy wylądować – powiedziała nagle do Sery.

Sera obejrzała się i popatrzyła na nią. – Dlaczego? – spytała. – Nawet nie dotarliśmy jeszcze w pobliże. Nie mamy czasu i nie możemy pozwolić sobie na dekoncentrację.

– Stary przyjaciel – powiedziała Caitlin. – Muszę mu pomóc.

Sera zmarszczyła brwi jeszcze bardziej. – Nie mamy na to czasu. Nie

możemy też ryzykować wdaniem się w jakąś bójkę. Musimy pozostać skupione.

Caitlin wiedziała, że Sera ma rację. A mimo to poczuwała się do obowiązku.

Bez zbytecznej dyskusji zanurkowała, obniżając lot wprost na ulicę. Miała nadzieję, że Sera pójdzie w jej ślady – przydałoby się jej wsparcie – w przeciwnym przypadku i tak byłaby zadowolona. Byłaby sama, jak zwykle.

Wylądowała na skrzyżowaniu sto trzydziestej pierwszej i Broadwayu, w samym środku ich przecięcia. W tej samej chwili

jakiś samochód, lawirujący w tym całym chaosie, zaczął zbliżać się do niej szybko.

Caitlin odwróciła się i zauważyła nadjeżdżające auto, ale nie miała już czasu na reakcję. Z szeroko otwartymi oczyma przygotowała się na paskudne zderzenie.

Hamulce pojazdu zapiszczały, ale było już za późno. Niecałą sekundę później samochód uderzył w Caitlin z prędkością czterdziestu mil na godzinę.

Otworzyła oczy powoli. Nadal stała tam gdzie przed chwilą, nawet niezadrażnięta, czy choćby przewrócona. Samochód jednak zatrzymał się w miejscu, w którym zetknął się z jej ciałem. Jego zderzak owinął się wokół

Caitlin.

W najmniejszym stopniu jej nie zranił – za to ona zniszczyła go dokumentnie. Była zszokowana, zdumiona i wdzięczna, że już nie jest człowiekiem.

Właściciel pojazdu wyskoczył na zewnątrz, spojrzał szeroko otwartymi oczyma na Caitlin, potem na swoje auto.

– Przepraszam! – krzyknął, rozglądając się szaleńczo. – Nie widziałem cię!

Przysięgam! Jakbyś spadła prosto z nieba. Nie mogłem się już zatrzymać!

Wszystko w porządku?

Caitlin dokładnie się obejrzała, odeszła kilka kroków od samochodu i stwierdziła, że wszystko było w idealnym porządku. Uśmiechnęła się w myślach. Nieśmiertelność miała też swoje dobre strony.

– W porządku. Niech się pan nie martwi – odparła.

– Zaczekaj – zawołał zdumiony, wciąż próbując zrozumieć, co się stało. – To niemożliwe. Uderzyłem w ciebie. Jechałem tak szybko. Jak mogłaś wyjść z tego cało? I dlaczego mój samochód jest cały wgnieciony?

Przyglądał się szeroko otwartymi oczyma pojazdowi i jej.

Nagle rozejrzał się i zdał sobie sprawę, jak niebezpieczne stały się ulice.

Podbiegł do samochodu, wsiadł do środka i odjechał z dymem wydostającym się wciąż spod maski. Miał szczęście, że auto w ogóle ruszyło.

Caitlin rozejrzała się, próbując zebrać myśli. Wszędzie panował chaos.

Ludzie uciekali na wszystkie strony, plądrując sklepy, wybijając okna; na krawężnikach leżały sterty pojazdów. Wampiry uganiały się za ludźmi po

wszystkich ulicach. Ludzie zaś uciekali przed innymi ludźmi, obawiając się zarazy. Wyglądało to niczym apokalipsa.

Zauważyła go. Budynek Jonaha. Kiedy już miała rzucić się w jego kierunku, usłyszała jakiś hałas. Obok niej wylądowała Sera. Caitlin poczuła ulgę, Sera zaś spoglądała na nią spode łba.

Wylądowałam tylko dlatego, że przydasz mi się w odszukaniu Caleba. Nie myśl, że cię lubię. Ani że zmartwi mnie twoja ewentualna śmierć – powiedziała.

– Już to mówiłaś – powiedziała Caitlin. – Ale dzięki, tak czy owak.

– Lepiej załatw to szybko – dodała.

I obie pobiegły w kierunku domu Jonaha.

Kiedy Caitlin dotarła do drzwi frontowych, uchylonych, zauważyła, że zamek został wyrwany. Weszła i w holu, na podłodze zobaczyła kilku martwych ludzi. Niewielka grupa wampirów właśnie na nich sobie ucztowała.

Kiedy weszły, wampiry natychmiast wyczuły ich obecność. Nagle odwróciły się od swojej ucztę i spojrzały na kobiety zaczerwienionymi oczami, sycząc i pokazując długie kły. To były złe stworzenia, wampiry nieprzypominające żadnych, które Caitlin dotąd spotkała. Wyczuła, że należały do innej wampirzej rasy. Pomyślała, że przybyły tu, by wziąć udział w ogarniającym Manhattan piekło, że pochodziły z któregoś z podmiejskich klanów, a może nawet z innego miasta.

Czymkolwiek były, Caitlin poczuła jak na ich widok przeszedł ją dreszcz po plecach. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie tak wyglądać.

Zanim wampiry zdążyły rzucić się na nie, Caitlin i Sera, obie dobrze wyszkolone wojowniczkami, natarły w tej samej chwili. Caitlin trzymała w dłoniach swą włócznię i miecz, natomiast Sera topór uniesiony wysoko nad głowę.

Wampiry stanęły do walki. Caitlin cięła mieczem na prawo i lewo, robiąc uniki, obracając się i robiąc w powietrzu nad nimi koziołki. Była zbyt szybka.

Odrąbywała kończyny, ścinała głowy, nie dając im żadnej szansy. W mgnieniu oka zabiła trzech z nich.

Sera radziła sobie niezgorzej. W tym samym czasie zrobiła wypad i uderzyła wojennym toporem, rozcinając jednego wampira idealnie na pół. Poznać było po niej jeszcze większy gniew niż u Caitlin. Po chwili obydwie były obryzgane krwią, a na ziemi leżało sześć martwych wampirów.

Caitlin ruszyła korytarzem i spojrzała na windę, lecz wiedziała, że to zły pomysł. Utknęłyby w niej, gdyby ktoś zaatakował je z zewnątrz. A i prąd mógł

wysiąść.

Skoczyła na długie, szerokie, marmurowe schody, a Sera podążyła za nią.

Obydwie pokonały sześć pięter dzielących je od mieszkania Jonaha w

ułamku sekundy. Caitlin otworzyła drzwi na klatkę kopniakiem i wpadła do środka. Sera weszła tuż za nią.

Caitlin rozejrzała się gotowa odeprzeć niebezpieczeństwo. Światła awaryjne na korytarzu co rusz włączały się i gasły, i przy ich migoczącym świetle Caitlin zdołała dostrzec kilka ciał rozrzuconych na podłodze. Skręciła w prawo i podążyła zgodnie z numeracją mieszkań. Na końcu korytarza dostrzegła trzy wampiry przy metalowych drzwiach jednego z mieszkań. Próbowaly staranować je, uderzając barkami. Drzwi były solidne, żelazne i nie ustępowały. Zaczęły jednak wyginać się i jasne było, że długo nie wytrzymają.

Caitlin spojrzała na numer mieszkania i zdała sobie sprawę, że należało do Jonaha.

Natarła na wampiry, z Serą u boku, i tym razem wyjęła włócznię i rzuciła przed siebie. Ostrze przebiło krtań jednego z wampirów, po czym w magiczny sposób do niej wróciło. Pozostałe dwa wampiry odwróciły się i zaatakowały.

Jeden skoczył w powietrze wprost na Serę. Ta jednak była na to przygotowana.

Kucnęła i wzniosła topór, który utkwiał dokładnie w brzuchu napastnika.

Caitlin wydobyła swój miecz. Kiedy drugi wampir skoczył na nią, ona również podskoczyła i w powietrzu przebiła mu mieczem krtań.

Zabiwszy całą trójkę wampirów, Caitlin i Sera rzuciły się do drzwi.

– Jonah! – krzyknęła Caitlin.

Nie było żadnej odpowiedzi.

– Jonah! – wrzasnęła ponownie. – To ja, Caitlin. Wpuść mnie!

Po sekundzie usłyszała szelest, po czym: – Caitlin?

To był jego głos. Nadal żył.

– To ja! Wpuść mnie, szybko!

Usłyszała jak mechanizm zamkowy się obraca, po czym nagle kilka zamków otworzyło się jednocześnie i drzwi stanęły otworem.

Weszła z Serą szybko do wnętrza i Jonah zamknął za nimi drzwi.

Spoglądali na siebie z obopólnym zdumieniem. Jonah był jednak o wiele bardziej zszokowany widokiem Caitlin stojącej przed nim z Serą, z bronią w rękach, całych pokrytych krwią. Zaniemówił z wrażenia.

Caitlin zlustrowała wzrokiem mieszkanie i zauważyła jego ojca ledwie przytomnego, leżącego na kanapie. Zobaczyła rany na twarzy, widoczne oznaki zarazy. Zrobiło się jej go żal. I Jonaha. Przynajmniej jeszcze żyli.

– Ty żyjesz – powiedziała. Była zaskoczona, ale szczęśliwa.

– Co ty tu robisz? – zapytał. – Jak tu dotarłaś? Jakim cudem jeszcze żyjesz?

Caitlin potrząsnęła głową. – Nie ma czasu. Musimy iść. Musimy zabrać was stąd.

– Gdzie – w jaki sposób udało ci się przeżyć? – spytał, nadal zszokowany.

Caitlin musiała coś wymyślić i to szybko. I przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Arsenał – powiedziała. – Będziecie tam bezpieczni. Tam jest mnóstwo amerykańskich żołnierzy i czołgów.

– Ale... jak my tam dotrzemy? – spytał ojciec Jonaha. – Nigdy nie wydostaniemy się stąd żywi! A nawet jeśli, to przecież zbyt daleko.

Caitlin odwróciła się i spojrzała na Serę. Sera odwzajemniła spojrzenie i widać było, że pomyślały o tym samym w tej samej chwili.

– To po drodze – Caitlin powiedziała do Sery. – I nie zajmie dodatkowego czasu.

Sera potrząsnęła głową ze zdenerwowania.

-Wiedziałam, że tak będzie.

*

Leciały na północ, Caitlin z Jonahem na plecach, Sera zaś dźwigając jego ojca. Caitlin uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie minę Jonaha, kiedy przerzuciła go przez ramię, a Sera zrobiła to samo z jego ojcem, i razem wyskoczyły przez okno. Jonah i jego ojciec wrzasnęli, myśląc, że za chwilę poniosą śmierć na miejscu.

I byli równie zszokowani, kiedy okazało się, że przeżyli i lecą w powietrzu.

Oczy wyszły im z orbit. Tego po prostu nie dało się opisać. Ani wyjaśnić. Ale obaj byli też wyraźnie wdzięczni, że są w powietrzu i oddalają się od domu i pewnej śmierci.

Lecieli szybko przez centrum miasta i kiedy dotarli do dwudziestej ósmej, skręcili na wschód i skierowali się ku arsenałowi leżącemu na Lexington Avenue.

Wylądowały i postawiły ich w pobliżu wejścia do arsenału. Budynku strzegły liczne oddziały żołnierzy oraz dziesiątki jeepów i czołgów. W całym tym zamieszaniu nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Stali tak przez krótką chwilę. Jonah i jego ojciec, nadal będąc pod wpływem szoku, nie wiedzieli, jak im dziękować.

– Będziecie tu bezpieczni – powiedziała Caitlin.

Jonah otwierał kilka razy usta, żeby coś powiedzieć, ale potem od razu je zamykał.

W końcu jednak odezwał się.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć. Nigdy o tobie nie zapomniałem. I nigdy nie zapomnę.

Caitlin poczuła szarpnięcie na ramieniu. Odleciała wraz z Serą, unosząc się w powietrzu.

Zmierzając do Ratusza Miejskiego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Caitlin i Sera przeleciały niemal całe centrum miasta bez jakichkolwiek przeszkód, aż w końcu trafiły na wrogów. Na ulicy Huston pojawili się żołnierze z klanu Blacktide i natychmiast je

zaatakowali. Było ich może dwa tuziny i żadnego sposobu, by ich wyminąć.

– Przygotuj się na walkę – rzuciła Sera w powietrzu i z twarzą wykrzywioną bitewnym szałem wzniosła wojenny topór.

Caitlin chwyciła miecz i włócznię, próbując przypomnieć sobie wszystkie zasady, jakich nauczył ją Aiden na wyspie. *Skup się. Oddychaj głęboko. Wycisz emocje. Jeśli przeciwnik przewyższa cię liczebnie, skup się na tym środkowym. W*

walce nie ma miejsca na emocje.

Wampirów było znacznie więcej, jednak Caitlin ścisnęła broń w spoconych dłoniach, czując, że mogą zwyciężyć.

Sekundę później zderzyły się z impetem z całą grupą. Caitlin cięła mieczem z dużą wprawą, pozbawiając głowy jednego wampira. Wykorzystując swój impet, rzuciła włócznię i przebiła nią krtań kolejnego przeciwnika. W tym czasie Sera jednym zamachem topora ścięła głowy dwóm innym wampirom.

Za nimi jednak pojawiło się znacznie więcej następnych wampirów i w chwili, kiedy Caitlin i Sera zdołały uporać się z pierwszymi przeciwnikami już miały na głowie kilku kolejnych – zbyt wielu i zbyt szybko się poruszających, aby zdążyły zareagować. W ułamku sekundy zaczęły opadać po spirali, w dół na ziemię.

Uderzyły mocno o cementową powierzchnię z dwudziestką wampirów na sobie.

Dusząc się na samym spodzie sterty ciał, Caitlin pomyślała o Calebie, o tym, że został pojmany, i że potrzebował jej pomocy. Pomyślała o swoim nienarodzonym dziecku w brzuchu. I poczuła gniew wzbierający w jej ciele.

Oślepiającą, niepohamowaną furję. Poczła jak jej mięśnie prężnieją, jak żyły wyskakują na zewnątrz, jak przepęlnia ją niewiarygodna wręcz siła.

Skoczyła na nogi, zrzucając wszystkich z siebie jednym ruchem, odchyliła się i zaryczała. Pierwotnym rykiem matki broniącej swego dziecka, żony chroniącej swego męża. Świat zatonął w czerwieni, a ona straciła całkowicie panowanie nad sobą.

Natarła na grupę zdumionych wampirów, wymachując mieczem na oślep, ciskając włócznią raz po raz, która zawsze do niej wracała. Wampiry rzucały się na nią z lewej i prawej strony, jednak za każdym razem Caitlin była szybsza,

silniejsza, bardziej rozjuszona. Czowała, że ją rozszarpują, okaleczają, drapią, a nawet gryzą, ale nic nie mogło równać się z tym, co ona robiła im. Ścinała głowy jedna za drugą i po chwili zdającej się trwać kilka sekund, cała grupa atakujących ją wampirów nie żyła.

Sera radziła sobie niezgorzej. Była niewiarygodnie silna. Wymachiwała toporem szaleńczo i z zabójczą wprawą, dźgała, cięła, używała nawet drewnianego trzonka, by blokować ciosy. Kiedy to nie wystarczało, odchyłała się i kopała, uderzała głową, czy łokciem. Była jednoosobowym oddziałem kobiecym, który również powalił kilku wampirów na ziemię.

Nie dorównywała jednak Caitlin. Kiedy kilka kolejnych wampirów skoczyło na nią od tyłu i powaliło na ziemię, jeden z nich sięgnął po miecz, gotując się do zadania ciosu.

Caitlin ruszyła z odsieczą. Skoczyła i odrąbała mu głowę jednym cięciem miecza. Cięła bez opamiętania, zabijając kilku kolejnych napastników, tym samym dając Serze czas, by stanęła na nogi. Od razu wróciła w wir walki.

W kilka minut wszystkie wampiry leżały martwe. Tylko Caitlin i Sera stały, oddychając ciężko, pokryte zadrapaniami, siniakami i ugryzieniami, obryzgane krwią. Caitlin poczuła, jak jej gniew powoli gaśnie.

Obejrzała się i zauważyła, że wyraz twarzy Sery zmienił się. Nie była już na nią zła. Przeciwnie, wyczuwała u niej wdzięczność. Patrzyła na nią jak przyjaciel.

– Ocaliłaś mi życie – powiedziała zaskoczona. – Dlaczego?

Caitlin uśmiechnęła się. – Cóż, pewnie dlatego, że i ja potrzebuję ciebie, by znaleźć Caleba.

Sera uśmiechnęła się do niej. Obie wiedziały, że nie dlatego to zrobiła.

Caitlin najwyraźniej dobrze sobie radziła. W tej jednej chwili uświadomiła sobie, że naprawdę polubiła Serę, wbrew wszystkiemu. I że Sera poczuła to samo.

Nagle, Caitlin poczuła zawroty głowy. Zachwiała się i zgięła w pół, chwyciwszy się za brzuch.

Sera podbiegła do niej i położyła dłoń na plecach. Chwyciła ją za ramię i przytrzymała.

– Co jest? – spytała z troską.

Ból w jej brzuchu był okropny. Powoli wyprostowała się i zaczęła oddychać miarowo. Odetchnęła głęboko kilka razy.

Caitlin zauważyła wyraz twarzy Sery, kiedy ta wpatrywała się jej w oczy.

Podniosła dłoń i przyłożyła ją do czoła Caitlin – i na jej twarzy zarysowało się zdumienie.

– Jesteś w ciąży – powiedziała szeptem. – To dziecko Caleba.

Caitlin skinęła głową

Oczy Sery zaszkliły się łzami.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A czy to zmieniliby cokolwiek? – spytała Caitlin.

– Oczywiście. Nosisz dziecko Caleba. Jego częśćkę. A to zmienia wszystko.

Sera starła łzę.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam za to, jak się zachowywałam.

Proszę, wybacz mi.

– Nie chowam do ciebie urazy – powiedziała Caitlin.

– Wiem – odparła Sera. – Jesteś kimś lepszym ode mnie.

Caitlin uśmiechnęła się. Brzuch przestał ją boleć. Położyła dłoń na ramieniu Sery. – Ty też nie jesteś taka zła – powiedziała.

Sera uśmiechnęła się.

Obie uniosły się w powietrze i skierowały wprost do Miejskiego Ratusza, zdecydowane uratować Caleba bez względu na konsekwencje. Teraz jednak Caitlin czuła, że były kimś więcej niż wojowniczkami złączonymi wspólną misją. Teraz były prawdziwymi przyjaciółkami.

*

Wylądowały na stopniach Ratusza. Wokół panowała cisza. Było zbyt cicho.

Spojrzały na siebie ze zdziwieniem. Wyczuwały napięcie wiszące w powietrzu. Było wręcz upiornie. Jakby za chwilę miały wpakować się w zasadzkę.

Spodziewały się, że zastaną to miejsce strzeżone przez dziesiątki żołnierzy, że będą świadkami wzmożonej aktywności ganiających w różne strony wampirów. Choć z drugiej strony, ich wampiry rozpiechły się teraz po całym mieście. Może opuściły już siedzibę i może nie czuły już, zapewne słusznie, konieczności jej ochrony. Jakby nie było, kto śmiałyby teraz ich zaatakować?

Kiedy tak stały i zastanawiały się, drzwi Ratusza otworzyły się i wyszedł

przez nie jeden wampir.

Zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się i spojrzał na Caitlin.

Caitlin nie mogła w to uwierzyć.

Caleb.

Stał i uśmiechał się, trzymając w dłoni miecz. Tak, ten miecz. To był jakiś cud. Zdołał uciec.

Caitlin poczuła wielką, przytłaczającą wręcz ulgę. Wybuchnęła płaczem i pobiegła do niego po schodach. Jej miłość do niego odżyła. Było jej przykro, że zostawiła go wtedy. Biegając coraz wyżej, zdecydowała, że już nigdy go nie opuści. Już miała rzucić się mu w ramiona, kiedy nagle usłyszała krzyk: NIE!

Krzyk Sery.

Caitlin poczuła, jak została przez nią odepchnięta na bok w chwili, kiedy niemal objęła Caleba.

Uderzyła mocno o ziemię kilka stóp dalej. Odwróciła się natychmiast i spojrzała na Serę.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Sera stała przed Calebem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed chwilą była Caitlin.

Na jej twarzy jednak pojawił się grymas okropnego bólu. Kiedy Caitlin spojrzała niżej, zauważyła, że Caleb dźgnął Serę. W samo serce. Mieczem.

To pchnięcie przeznaczone było dla Caitlin. Sera spostrzegła je i odepchnęła Caitlin z drogi, uratowała ją i przyjęła cios za nią. Poświęciła się dla niej.

Caitlin podniosła wzrok. Była przerażona. Czas zwolnił tempo, kiedy Caitlin spojrzała na twarz Caleba. Jak mógł to zrobić? Dlaczego chciał ją zabić? Jak mógł zabić Serę?

Kiedy przyjrzała się mu dokładnie, szczeka opadła jej z niedowierzania.

Wprost na jej oczach, jego twarz zaczęła się zmieniać. To nie był jednak Caleb.

Tylko jakaś sztuczka. A kiedy rozpoznała nową twarz, poczuła dreszcze na plecach.

Jej brat. Sam.

Próbował ją zabić.

Caitlin poczuła, jakby ktoś pchnął ją ostrzem, kiedy uświadomiła sobie ogrom jego zdrady. Jej własny brat. Schowany za maską Caleba. Próbował ją zabić. I zabił Serę.

Sam niejako zareagował na widok wyrazu twarzy Caitlin i otrząsnął się z transu. Wydawało się, że nagle zdał sobie sprawę z tego, co właśnie uczynił. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie i głęboka nienawiść do samego siebie, kiedy zobaczył zakrwawiony miecz w dłoni i swoje ostatnie dzieło.

Upuścił miecz na cement. Rozległ się metaliczny dźwięk. Jego twarz wykrzywił żal i przerażenie, wybuchnął przenikliwie.

– Caitlin! – wrzasnął. – Wybacz mi!

Po czym odwrócił się i wbiegł z powrotem do Ratusza, pozostawiając Caitlin samą sobie, leżącą na schodach miecz i umierającą Serę tuż obok.

Caitlin podbiegła do Sery i usiadła przy niej zapłakana. Uniosła głowę Sery i położyła na swoich kolanach.

Sera podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej.

– Przepraszam – powiedziała Caitlin. – Nie wiedziałam...

Sera starała się coś powiedzieć, ale z jej ust popłynęła krew. W końcu otworzyła usta i słabym głosem powiedziała: – To była sztuczka... zmiana

kształtu... pamiętaj... Caleb... jest więźniem... w kajdanach... pamiętaj... jest zakuty w kajdany... jeśli jest wolny... to nie jest Caleb... nie daj się zwieść...

– Wiem, wiem – powtórzyła Caitlin, wciąż płacząc. – Teraz już to wiem. I przepraszam.

Sera uniosła głowę po raz ostatni, usiłując powiedzieć coś na koniec.

– Twoje dziecko – powiedziała – wychowaj je dobrze.

Po czym osunęła się w dół i umarła.

Caitlin odchyliła się i zawyła z rozpacz. Tego było już za wiele. W tak krótkim czasie nawiązała tak silną więź z Serą. I teraz czuła, jakby na jej oczach zabito jej siostrę. Zamiast niej.

I jednocześnie poczuła się zdradzona przez własnego brata.

Obejrzała się i jej wzrok utkwił w mieczu spoczywającym ot tak sobie na cementowej płycie.

Delikatnie położyła Serę na ziemi, podeszła do niego i chwyciła oburącz. Po czym wydała z siebie pierwotny ryk.

W tym samym momencie drzwi do Ratusza otwarły się z hukiem i na zewnątrz wypadły dziesiątki wampirów z klanu Blacktide. I rzuciły się na Caitlin.

Ale ona była już gotowa. A nawet więcej. Poczuła niewiarygodny gniew –

straszniejszy ponad wszystko – a w dłoni dzierżyła miecz. Natrafili na niewłaściwą kobietę, i to w niewłaściwym momencie.

Chwilę później dziesiątki ich ciał wyścielały podłogę. Byli bezsilni wobec miecza.

Mimo to, wciąż przybywali nowi i Caitlin kontynuowała walkę.

Kilka chwil później setki ich ciał zalegały ziemię. Leżały jedne na drugich w stertach, a Caitlin siała spustoszenie ponad wszelkie wyobrażenie. Jakby nie była sobą.

W końcu potok wylewających się z Ratusza wampirów skończył się.

Caitlin nie była jednak tym usatysfakcjonowana. Chciała więcej.

Nie miała zamiaru kończyć, zanim nie wejdzie do sanktuarium i własnoręcznie uśmierci Kyle'a.

Najpierw jednak chciała znaleźć Caleba. Zakutego w łańcuchy zgodnie ze słowami Sery. Był gdzieś tam na dole, a ona musiała go uratować.

Teraz, kiedy miała miecz, nic nie było w stanie jej zatrzymać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sam biegł korytarzami podziemi Ratusza Miejskiego. Gnał coraz szybciej, skręcając raz w tę, raz w drugą stronę. Nie mógł uwierzyć

w to, co przed chwilą chciał zrobić. Próbował ją zabić. Swoją własną siostkę. Ale dlaczego? Czy aż tak się zatracił?

Aż do tej chwili czuł, że nad sobą nie panuje, jakby przemiana otumaniała go permanentnie. Tak ciężko było zebrać myśli, odnaleźć się w nowej skórze, nowym życiu, jakby przed chwilą spętała go potężna fala.

Skutki przemiany w końcu zaczęły ustępować i nareszcie mógł spojrzeć na wszystko wyraźnie, myśleć sam za siebie. Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by coś takiego zrobić. Gardził Kyle'em i całym jego klanem. Co więcej, uświadomił sobie, że stał się marionetką w rękach Samantha. Potrzebowała go, by wspiać się po szczeblach władzy, dla własnych interesów, własnych ambicji. Wykorzystała go..

Jemu nie zależało jednak na władzy, na mieczu ani czymkolwiek innym.

Chciał tylko, żeby zostawili go w spokoju. I jak najdalej od niej. Lecz najpierw musiał dokończyć jedną sprawę.

W tym momencie, kiedy przebiegał jednym z kolejnych korytarzy, z przeciwka wyskoczyła Samantha i z przerażeniem na twarzy rzuciła się w jego kierunku.

– Sam! Gdzie miecz? – spytała szybko. – Zabiłeś Caitlin?

Sam zderzył ją w twarz, posyłając w powietrze. Przeleciała w poprzek korytarza, łupnęła w mur i osunęła się na ziemię.

Siedząc na ziemi, podniosła wzrok i spojrzała na niego z wyrazem zranienia i zaskoczenia.

Odwrócił się do niej.

– Nigdy nie wymawiaj mojego imienia! – krzyknął.

Próbowała coś odpowiedzieć, błagać go, ale on nie chciał słuchać. Nie chciał

widzieć jej na oczy. Już nigdy.

– Samie! – jęknęła, a jej głos poniósł się echem przez korytarze. – Pozwól mi wytłumaczyć!

Ale było na to za późno. Z każdym jego kolejnym susem, jej zawodzenie, słyszalne w całym pomieszczeniu, stopniowo cichło.

Pragnął zemsty. Chciał pustoszyć. Chciał zlikwidować klan Blacktide i chciał, aby jego członkowie cierpieli przed śmiercią.

Nagle dotarło do niego w jaki sposób najlepiej mógł się zemścić, zrekompensować wyrządzone – lub niemal wyrządzone – zło swojej siostrze.

Caitlin nigdy mu tego nie wybaczy. Tyle wiedział na pewno. Ale i tak chciał

choć spróbować.

Skreślił za kolejny róg, zbiegł po schodach i wkrótce znalazł się na dole, w lochach.

Minął pospiesznie kilka drzwi, aż w końcu dotarł do tych właściwych.

Jednym pchnięciem ramienia otworzył je z impetem.

I tam, w tym niewielkim pomieszczeniu, przykuty łańcuchem do ściany, siedział Caleb.

Bez wahania podbiegł do niego i zerwał krępujące go łańcuchy. Nie minęło kilka sekund, a Caleb odzyskał wolność.

Spojrzał na Sama podejrzliwie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał poważnie.

– Dla Caitlin – odparł Sam. – Proszę, powiedz jej, że ją kocham.

Po czym wyskoczył na zewnątrz i ruszył korytarzem, potem następnym i schodami do góry. Po chwili wydostał się na zewnątrz na tyłach Ratusza. Wziął

rozbieg i uniósł się w powietrze, lecąc coraz dalej i dalej w mroczną noc.

*

Caitlin biegła przez korytarze podziemi Ratusza Miejskiego z mieczem w dłoni. Była zdecydowana zabić jak najwięcej wampirów z Blacktide i samego Kyle'a. Najpierw jednak musiała uratować Caleba. Zdecydowała, że tym razem nie da się nabrać. Ta zmiennokształtność była okrutnym i chytrym wybiegiem.

Nie zamierzała drugi raz dać się zwieść. Ostrzeżenie Sery dzwoniło jej w uszach z każdym krokiem, kiedy zanurzała się coraz głębiej w katakumby. *Caleb będzie w kajdanach.*

Kiedy wyminęła kolejny róg, przed nią pojawiła się pojedyncza postać, która zaczęła biec w jej stronę.

Caitlin uniosła miecz, gotując się do walki i nagle znieruchomiała. Opuściła broń.

Kilka kroków dalej, stał przed nią Caleb. Znowu. Był wolny i błędził po korytarzach.

Czuła w głębi serca, że to on i odetchnęła z wielką ulgą.

Z drugiej strony, rozum podpowiadał jej, by pamiętała ostatnie słowa Sery.

To nie mógł być Caleb. Tylko kolejny podstęp. Tak, na pewno. Caleb nie mógł

być wolny. Bo z jakiego powodu? To by nie miało żadnego sensu.

Bądź silna, powiedziała do siebie. *To nie może być on.*

– Caitlin – powiedział, nie posiadając się z radości. – To naprawdę ty!

Jego głos – był taki podobny. Chciała rzucić mu się w ramiona, ponad wszystko i wyprowadzić go stąd.

Ale przypomniała sobie słowa Sery i, rozumując logicznie, zmusiła się, by zlekceważyć uczucia. To nie mógł być *on*. Z pewnością był to kolejny wybieg.

To Sam, albo nawet Kyle lub jakiś inny wampir. Zmienił kształt i zamierzał ją zabić.

– Caitlin – powiedział znowu Caleb i zbliżył się o kolejne kilka kroków, chcąc objąć ją ramionami.

I kiedy podszedł, Caitlin odciągnęła miecz i zadała cios.

Wbiła go gładko, przesywając jego serce. Zamknęła oczy, nie mogąc znieść widoku Caleba, nawet jeśli ktoś go tylko udawał.

A kiedy otworzyła oczy, jej świat rozpadł się na kawałki.

Patrzyła na jego twarz, kiedy osuwał się na podłogę, kiedy życiodajna siła zaczęła opuszczać jego ciało.

Jego twarz miała zmienić się ponownie. W Sama. Lub Kyle'a. Lub kogokolwiek, kto potrafił zmieniać kształt.

Ale się nie zmieniła. To wciąż był Caleb.

Umierał. I to naprawdę był on.

Caitlin osunęła się na kolana obok niego i zawyła długo i przeraźliwie. Jej jęk brzmiał niczym lament torturowanego zwierzęcia. To cały czas był Caleb. Jej jedyna miłość.

A ona go zabiła.

Caleb leżał na podłodze, spoglądając w górę, i mimo tego, że umierał, mimo, że to ona odebrała mu życie, uśmiechnął się do niej.

Caitlin płakała. – Caleb, proszę. Nie wiedziałam, że to ty... Myślałam, że to...

– Wiem – wykrztusił. – Nie obwiniaj się.

Taki już był. Do końca silny, nieobwiniający nikogo o nic. Jego dobroć wystarczyłaby za nich oboje.

I to zabolalo ją nawet bardziej. Sprawilo, że wybuchnęła niekontrolowanym płaczem.

Podniósł dłoń i chwycił ją za nadgarstek. Przemówił do niej coraz bardziej słabnącym głosem.

– Caitlin – powiedział. – Chcę, żebyś wiedziała... że Sera... nie kochałem jej.

– Wiem – powiedziała Caitlin między kolejnymi wybuchami płaczu.

Caleb skinął głową i jego oczy zaczęły się zamykać.

Caitlin nie mogła uwierzyć, że odchodził. Jedyną osobą, którą pokochała najbardziej w życiu, którą obdarzyła miłością zdolną złamać jej serce, umierała.

Nieodwołalnie. I to śmiercią zadaną z jej ręki.

– Caleb! – jęknęła, starając się sprawić, by otworzył oczy.

Zamrugał oczami i otworzył je odrobinę.

– Jestem w ciąży – powiedziała. – Musisz wiedzieć... Spodziewam się dziecka.

Oczy Caleba rozwarły się jeszcze jeden, ostatni raz. Spojrzał na nią rozumnie i uśmiechnął się. – Dziecka – powtórzył cicho.

I wtedy, ostatkiem sił powiedział: – Zawsze będziemy razem.

I Caitlin poczuła, jak jego ciało zwiotczało w jej ramionach.

Każdą cząstką swego ciała wiedziała, że odszedł.

Obejrzała się i dostrzegła miecz. Poczula niewysłowioną nienawiść do tego przedmiotu, który wniósł tyle spustoszenia w jej życie.

Sięgnęła po niego, chwyciła obiema rękoma, odchyliła się i z całych sił wbiła w kamienną podłogę, głębiej i głębiej, aż po samą rękojęść. W tej samej chwili cały budynek zatrzęsł

się w posadach, aż jego ściany zaczęły pękać.

Odchyliła głowę i zawyla głosem zwierzęcia, które straciło jakikolwiek powód, by żyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Caitlin przeleciała nad rzeką Hudson, kierując się w stronę wyspy Pollepel.

W ramionach trzymała martwe ciało Caleba. Po chwili zanurkowała i skierowała się na zamkowy dziedziniec. Zimne, rzeczne powietrze musnęło jej policzki, starło łzy, jednak tym razem nie przyniosło ukojenia. Nic już nie było w stanie jej tego zapewnić.

Zauważyła poniżej członków swego klanu trenujących w świetle pochodni.

Wiedziała, że jest banitą, że być może dostali nawet rozkaz ją zabić bez ostrzeżenia, tak, jak ostrzegwał Aiden, ale nie miała wyboru. Nie miała do kogo innego się zwrócić. I musiała porozmawiać z Aidenem. Musiała wiedzieć, czy istniał sposób, jakikolwiek, aby przywrócić Caleba do życia. Nie chciała pozwolić mu odejść. A gdyby okazało się, że nie ma, zamierzała i sobie odebrać życie.

Zapomniawszy o głosie rozsądku, wylądowała wprost na dziedzińcu ku zdumieniu jej byłych kolegów z klanu. Wszyscy jak jeden przestali ćwiczyć i wpatrywali się w nią z szeroko otwartymi oczyma. Wokół zaległa martwa cisza.

Musieli dostrzec jej cierpienie, smutek wyrysowany na twarzy, kiedy tak stała z ciałem Caleba na rękach. Wylądowała w samym środku ziemistego dziedzińca zapłakana i w ułamku sekundy pojawił się Aiden, maszerując wprost do niej.

– Ostrzegałem cię! – powiedział. – Mówiłem, że nic dobrego z twojego odejścia nie wyniknie. Powiedziałem ci też, że Caleb umrze – powiedział

surowym tonem. – Mógłbym rozkazać cię zabić za to, że wróciłaś. Złamałaś mój zakaz.

– Więc mnie zabij! – odkrzyknęła Caitlin. – Już mi nie zależy. Nie dbam o twoje zasady. Ani o tę wyspę. Zależy mi tylko na nim. Calebie. Nie żyje. Musisz sprowadzić go z powrotem. Musisz mi pomóc! – wykrzyczała, cały czas łkając.

Wszystkie wampiry z klanu spojrzały na nią zaszokowane. Nawet Polly była w szoku, zbyt osłupiała, aby cokolwiek z siebie wydusić. Aiden skinął głową: –

Zostawcie nas samych – powiedział.

W kilka sekund dziedziniec opustoszał.

Zostali tylko Caitlin i Aiden, i ciało Caleba między nimi.

Aiden pochylił się i położył dłoń na czole Caleba. Caitlin spojrzała na niego, płacząc, mając nadzieję, że istnieje choć niewielka nadzieja.

W końcu, po kilku sekundach, Aiden potrząsnął głową.

– Nie żyje. Życiodajna siła opuściła jego ciało. Został pchnięty potężną bronią. Mieczem, jak mniemam?

Caitlin pokiwała głową, wciąż roniąc łzy.

– I co z nim zrobiłaś? – zapytał.

– Zostawiłam go tam! – krzyknęła.

Aiden wstał nagle i spojrzał na nią gniewnie.

– Ty głupia dziewczyno. Wszystkich nas naraziłaś na niebezpieczeństwo!

Teraz zaatakują moją wyspę! Sprowadziłaś na nas wojnę. Postąpiłaś głupio.

Samolubnie.

– Wiem. Przepraszam. Proszę, tylko mi pomóż – odparła.

– Nic już nie mogę zrobić – powiedział.

– PROSZĘ! – błagała. – Musi być jakiś sposób. MUSI!

Na kilka chwil zaległa cisza przerywana jedynie odgłosem jej płaczu.

– Obawiam się, że nie ma żadnego – odpowiedział w końcu.

– Ale powiedziałaś mi kiedyś, że wampiry mogą cofać się w czasie. Czy to prawda? Powiedziałaś, że mój ojciec gdzieś tam jest. A to znaczy, że Caleb i ja możemy wrócić, razem, prawda? *Prawda?*

Wpadła w histerię.

Aiden wpatrywał się w nią, rozważając coś w myślach.

– Sposób, o którym mówisz, jak już wspomniałem, należy do bardzo niebezpiecznych. Większość wampirów umarło, tylko

próbując.

Caitlin spojrzała na niego z nadzieją.

– Ale istnieje jakaś szansa, prawda? – błagała.

– Jesteś gotowa oddać swe życie? – zapytał.

– Tak – odparła bez wahania.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie – powiedziała.

– Więc dobrze – powiedział. – Chodź ze mną.

*

Niosąc ciało Caleba na rękach, podążała leśną ścieżką za Aidenem.

Towarzyszyła jej Róża oraz pozostali członkowie klanu.

Wyszli na leśną polanę. Caitlin ruszyła za Aidenem na środek, a inni otoczyli ją luźnym kręgiem.

Aiden stanął naprzeciw niej, a ona złożyła ciało Caleba na trawie.

Nad nimi zawisł wielki księżyc w pełni i oświetlił całą polanę.

– W świecie wampirów istnieje pewien starożytny rytuał, który z rzadka tylko się odprawia – powiedział Aiden. – Ludzie stosują go jako sposób na zadanie wampirowi ostatecznej śmierci. Jednak wśród wampirów jest to środek służący ich zmartwychwstaniu.

– Połóż się tu, obok Caleba. Urządzimy wam obojgu ceremonię pogrzebową.

I powtórzmy ją trzykrotnie. Jeśli zadziała, za trzecim razem zostanieie

wskrzeszeni, oboje. Albo umrzecie już na wieki.

– JEŚLI przeżyjesz, musisz pamiętać, że to nie będą już obecne czasy. Oboje obudzicie się w nowym, innym życiu, innym miejscu i czasie. Nie można podróżować w przyszłość, więc cofniecie się w przeszłość. Nie wiemy, dokąd, ani w który wiek.

– Ale będziemy razem? – spytała Caitlin.

– Tak. Oboje będziecie w tym samym miejscu i czasie. Ale wspomnienia ulegną całkowitemu zatarciu. Może nie twoje, ale z pewnością jego. Umarł już, więc jeśli zobaczysz go w nowym życiu, nie będzie ciebie pamiętał. Będzie tak, jakbyś spotkała go po raz pierwszy. Będziesz całkowicie mu obca. Możesz nawet mu się nie spodobać. Rozumiesz?

– Nie dbam o to – powiedziała Caitlin.

– Nie będziesz również mogła powrócić do obecnych czasów. A więc pożegnasz się z tym życiem, obecnym życiem, na dobre. Musisz poświęcić wszystko, co znasz, by przenieść się w inne miejsce i czas, by być z Calebem, który cię nie pozna, i który może ciebie nie polubi. Możliwe, że ty przeżyjesz tę podróż, a on nie. Może okazać się, że skończysz całkiem sama w jakimś innym okresie historii. Czy jesteś na to wszystko gotowa? A zwłaszcza, czy jesteś gotowa przyjąć to, co cię czeka, jeśli to nie zadziała? Czy jesteś gotowa na śmierć, wieczną i nieodwołalną?

Caitlin spojrzała na niego przez łzy. – Proszę. Zrobię wszystko.

Aiden popatrzył na nią poważnie przez kilka sekund, a wokół zapanowała pełna napięcia cisza.

– Dobrze więc – powiedział w końcu powoli. – Połóż się obok niego.

Caitlin położyła się na trawie, tuż obok Caleba. Podniosła wzrok na niebo, na wielki, okrągły księżyc i zasłaniające go, płynące chmury.

– Weź go za rękę.

Sięgnęła dłonią, chwyciła jego zimną rękę i ścisnęła mocno.

Róża podbiegła nagle i położyła się między nią a Calebem, spojrzała na Caitlin i zaskomlała.

– Utwórzcie krąg – powiedział Aiden do pozostałych członków klanu.

Zamknęli krąg, stanąwszy o kilka stóp od Caitlin i Caleba i wszyscy spojrzeli w dół na parę.

– Caitlin, zamknij oczy. Pomyśl o jakimś miejscu i czasie. Wyobraź sobie miejsce, w którym chciałabyś się znaleźć, i czasy, w których chciałabyś żyć.

Skup się na tym i nie puszczaj jego dłoni. A wy wszyscy powtarzajcie za mną.

Leżąc i spoglądając na księżyc w pełni, Caitlin starała się rozpaczliwie o czymś pomyśleć. Serce waliło jej mocno. Nie miała pojęcia, gdzie chciałaby być, w jakich czasach żyć. Wiedziała tylko jedno. Że chciała być z Calebem. Tak

bardzo tego pragnęła, że jej serce omal nie pękło.

– Dziś tu składamy wasze ciała na spoczynek – odezwał się Aiden cichym głosem.

- Dziś tu składamy wasze ciała na spoczynek – powtórzyły wampiry zgodnym chórem.
- Caitlin i Caleba, na zmartwychwstanie w nowy dzień.
- Caitlin i Caleba, na zmartwychwstanie w nowy dzień.
- Najwyższą łaską Boga obdarowani.
- Najwyższą łaską Boga obdarowani.

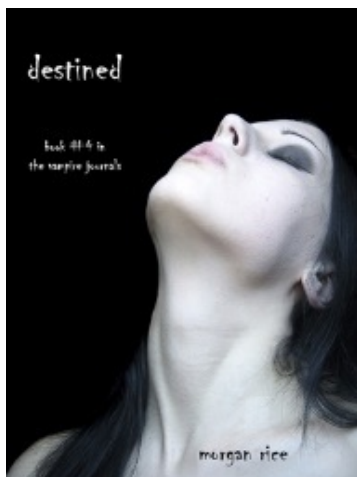
Caitlin słyszała ciche głosy członków klanu powtarzających mantrę po raz drugi. Poczła obezwładniający ciężar i jej oczy zaczęły się zamykać.

I wówczas usłyszała muzykę. Uroczą i słodką melodię. Piosenkę, którą Caleb grał kiedyś w kościele w Edgartown. Sonatę Patetyczną Beethovena.

I kiedy usłyszała mantrę powtarzaną po raz trzeci i ostatni, kiedy usłyszała ostatni wers – Najwyższą łaską Boga obdarowani – poczuła, jak świat zaczął

wirować wokół niej. Wyczuła obecność Caleba, intensywniej, niż kiedykolwiek dotychczas i wiedziała, po prostu wiedziała, że gdzieś, w jakiś sposób będą znowu razem ze sobą.

I wtedy jej świat pochłonął mrok.



[PRZEZNACZONA](#)

(część 3 Wampirzych Dzienników)

W PRZEZNACZONA (część 3 Wampirzych Dzienników) Caitlin Paine budzi się ze snu i odkrywa, że przeniosła się w przeszłość. Musi uciekać z cmentarza przed zgrają wieśniaków. Schronienie znajduje w wiekowym klasztorze w Asyżu, położonym w okolicy Umbrii, we Włoszech. Tam dowiadyuje się o swoim przeznaczeniu i

swojej misji: ma odnaleźć ojca i starożytną tarczę, dzięki której ocaleje ludzka rasa.

Jej serce wciąż usycha z tęsknoty za utraconą miłością życia: Calebem.

Rozpaczliwie pragnie dowiedzieć się, czy przeżył podróż w przeszłość.

Dowiaduje się również, że jej misja wymaga, by udała się do Florencji. Sercowe sprawy każą jej natomiast spojrzeć w stronę Wenecji. I wybiera Wenecję.

Caitlin jest poruszona tym, co tam zastaje. Osiemnastowieczna Wenecja jest osobliwym miejscem, w którym mężczyźni i kobiety noszą wyszukane kostiumy i maski, i bawią się wystawnie. Ku swej wielkiej radości rozpoznaje kilkoro najbliższych przyjaciół i spotyka się z ciepłym przyjęciem w ich klanie. Z

przejęciem uczestniczy w Weneckim Balu Maskowym, najważniejszym, dorocznym tańcu kostiumowym, gdzie jej nadzieja na odnalezienie Caleba odżywa na nowo.

Jednak nie tylko Caitlin potrafi podróżować w czasie. Wkrótce zjawia się Kyle, zdecydowany wytropić ją i definitywnie pozbawić życia. Sam również cofa się w czasie. Zamierza uratować siostrę zanim będzie za późno.

Kiedy nadchodzi Bal, Caitlin rozpoczyna poszukiwania, jednak nie natrafia na żadne oznaki obecności Caleba. Aż do ostatniego tańca. Tańczy z zamaskowanym mężczyzną, który kradnie jej serce. Jest przekonana, że to Caleb. Kiedy jednak następuje zmiana partnerów w tańcu, znów go traci. Ale czy na pewno?



Wkrótce staje przed wyborem między dwiema miłościami swego życia i odkrywa, że należy uważać, czego się pragnie. Radość z

odzyskania ukochanego może wiązać się również z tragedią i złamanym sercem.

W kulminacyjnym, tętniącym wartką akcją momencie, Caitlin jest zmuszona zmierzyć się z prawdziwym złem, starożytnym klanem z Rzymu, najpotężniejszym, jaki kiedykolwiek istniał. Warunkiem przeżycia będzie użycie wszelkich środków będących do jej dyspozycji. Będzie musiała poświęcić o wiele więcej, niż kiedykolwiek, aby ocalić tych, których kocha...

PRZEZNACZONA to wspaniała opowieść. Naprawdę wciągająca! Niewiele jest serii dla młodzieży, które mi się podobały, ale ta jedna jest zdecydowanie na tej liście! MUSISZ JA PRZECZYTAĆ! MUSISZ! MUSISZ! Nie zapomnij, MUSISZ!

—werevampsromance.org

[PRZEZNACZONA](#)

(Czwarta Część Serii Wampirze Dzienniki)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Kliknij tutaj by pobrać książki Morgan Rice z Play!](#)

Książki autorstwa Morgan Rice

KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVESRUNNERS (BOOK 1)
ARENA TWO (BOOK 2)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARĘCZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE

SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

[PRZEMIENIONA](#) (pierwsza część serii Wampirze Dzienniki)),
[ARENA ONE](#)

(Księga 1 cyklu Survival Trilogy), [WYPRAWA BOHATERÓW](#)
(Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz [RISE OF THE DRAGONS](#) (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie na Google Play!

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie

Document Outline

- [ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)
- [ROZDZIAŁ ÓSMY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE](#)
- [ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCIE](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)